

#171 7-8/2020

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 12 007 indeks 211060 #171 7-8/2020

Agnieszka
Kowalczyk
SERCE POLSKI
BIJE NA JASNEJ GÓRZE



Piotr
Lisiewicz
KAJNAR, CZYLI MŁODA
POLSKA PIĘŚĆ



NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



BEZPIECZNA
POLSKA I EUROPA
TYLKO W SOJUSZU **Z AMERYKĄ**



ILUSTRACJA MARUSZ TROJANSKI, ADOBE STOCK (3)



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Mocne zamknięcie epoki rosyjskiej dominacji

Tak najkrócej można podsumować zapowiedziane przez prezydentów Polski i USA porozumienia dotyczące współpracy energetycznej, gospodarczej, naukowej i w końcu wojskowej. Nasz kraj staje się bowiem coraz mocniejszym punktem na mapie militarnej obecności Ameryki na świecie, a za tym podążają inwestycje, nowe technologie i bezpieczeństwo rozumiane także w kontekście energetycznym. To kompleksowe zwiększanie wszelkiej aktywności podmiotów amerykańskich – czy to publicznych, czy prywatnych – nie tylko na naszym terenie, lecz także w naszym

bami Federacji Rosyjskiej byłoby zainteresowani i zdolni do tego, by utrzymać ten niezależny i prorozwojowy kurs? Czy politycy posilający się ich radą byłiby w stanie realnie przeciwstawiać się interesom Kremla czy też interesom realizowanym na linii Berlin–Moskwa? To zdaje się pytania retoryczne. Ale gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, to warto rzucić okiem na opublikowany tuż przed ciszą wyborczą program prezydenta Warszawy. Trzaskowski zdaje się lekceważyć opinię, jakoby obie zagraniczne stolice prowadziły politykę sprzeczną z racją stanu Rzeczypospolitej. W jego wyobrażeniu takie czasy już minęły i jesteśmy w jakiejś

SILNA REALNYMI SOJUSZAMI RZECZPOSPOLITA POLSKA, KONSEKWENTNIE ROZWIJAJĄCA SIĘ GOSPODARCZO I INFRASTRUKTURALNIE, UMACNIAJĄCA STATUS EKONOMICZNY SWYCH OBYWATELI – TO NAJLEPSZY GWARANT BEZPIECZEŃSTWA. BĘDZIEMY BEZPIECZNI, GDY BĘDZIEMY SILNI. BĘDZIEMY SILNI, GDY BĘDZIEMY TWARDO REALIZOWAĆ SWÓJ INTERES, NIE CZAPKUJĄC INNYM, A WCHODZĄC Z NIMI W KORZYSTNE DLA NAS POROZUMIENIA.

regionie jest po pierwsze ostatecznym zamknięciem epoki rosyjskiej dominacji, a po drugie będzie procesem stałym. U.S. Army i bezpieczne wysokie technologie będą – bez dwóch zdań – owocować intensyfikacją relacji gospodarczych pomiędzy naszymi państwami. Prezydent Andrzej Duda wraz z większością parlamentarną przez ostatnie pięć lat z sukcesem wykonał strategiczną misję uwolnienia Rzeczypospolitej od nacisków i szantaży Kremla. Będąc ciągle pod ich groźbą Polska nie mogłaby się rozwijać tak dynamicznie, jak o tym marzymy. Ten nasz, można by rzec, odwieczny problem właśnie staje się ponurą przeszłością. Ale trzeba mieć świadomość, iż z tej najlepszej od wieków drogi można jeszcze nasz kraj zawrócić.

Warto zerknąć w biogramy ludzi tworzących zaplecze w sprawach bezpieczeństwa dla partii opozycyjnych. Czy ludzie wyszkoleni w Związku Sowieckim lub stojący pod zarzutami nielegalnej współpracy ze służ-

nowej rzeczywistości, w której choćby Nord Stream jest dobrodziejstwem dla Polski, a w najgorszym wypadku zwykłym biznesowym przedsięwzięciem, wobec którego – nie wiedzieć czemu – ktoś ma jakieś zastrzeżenia. Platforma i inne współpracujące z nią formacje starają się przekonać Polaków o tym, iż Rosjanie zawsze byli i są nam bliscy. A przecież historia Rzeczypospolitej ostatnich trzech wieków zdaje się dramatycznie przeczyć tej tezie. Co oczywiście nie znaczy, że jesteśmy w beznadziejnej sytuacji. Tragiczne doświadczenia wielu pokoleń naszych przodków winny być wskazaniem na teraźniejszość i przyszłość. Silna realnymi sojuszami Rzeczpospolita Polska, konsekwentnie rozwijająca się gospodarczo i infrastrukturalnie, umacniająca status ekonomiczny swych obywateli – to najlepszy gwarant bezpieczeństwa. Będziemy bezpieczni, gdy będziemy silni. Będziemy silni, gdy będziemy twardo realizować swój interes, nie czapkując innym, a wchodząc z nimi w korzystne dla nas porozumienia. ■

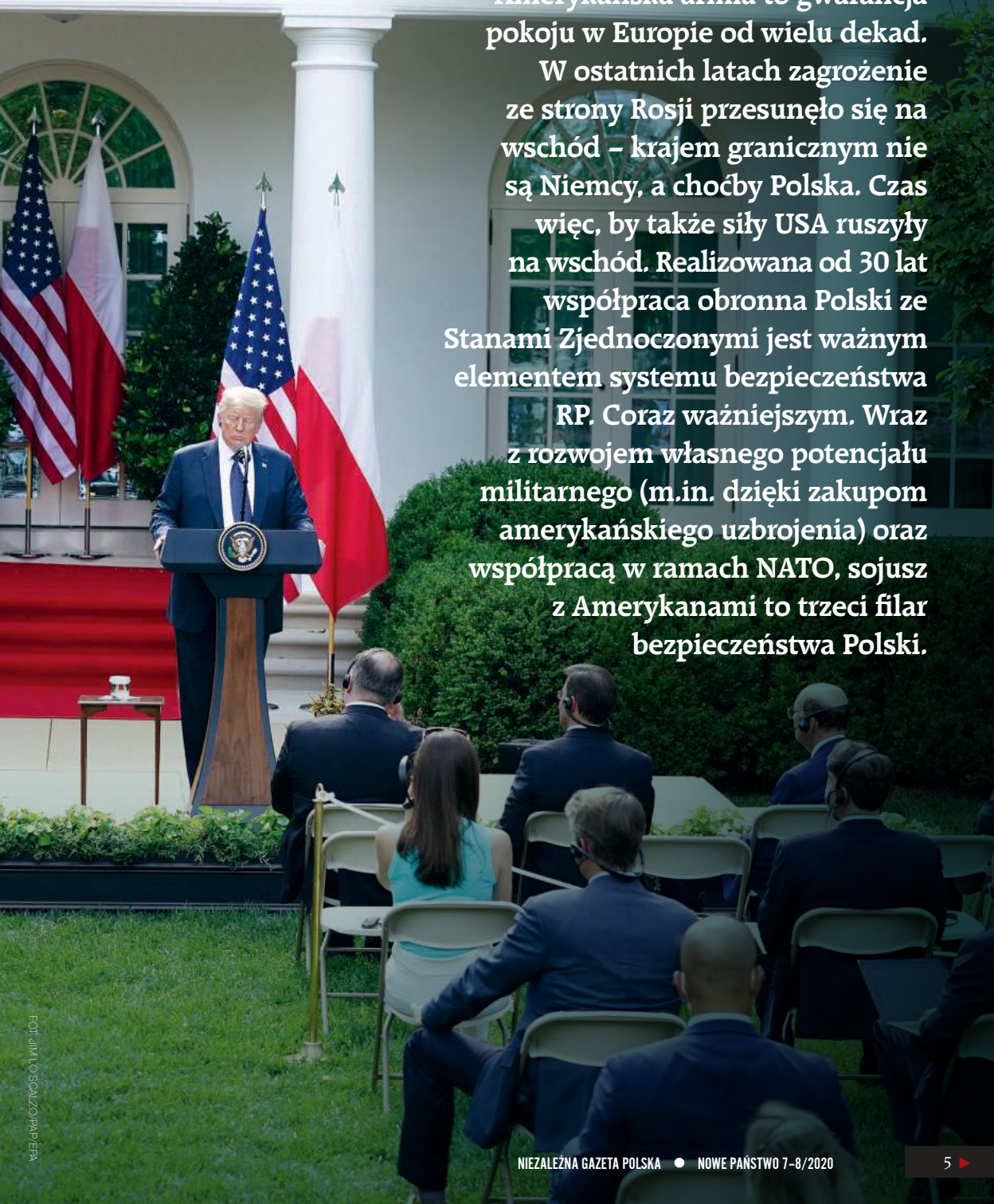
BEZPIECZNA POLSKA I EUROPA? TYLKO W SOJUSZU Z AMERYKĄ

Antoni Rybczyński



Amerykańska armia to gwarancja pokoju w Europie od wielu dekad.

W ostatnich latach zagrożenie ze strony Rosji przesunęło się na wschód – krajem granicznym nie są Niemcy, a choćby Polska. Czas więc, by także siły USA ruszyły na wschód. Realizowana od 30 lat współpraca obronna Polski ze Stanami Zjednoczonymi jest ważnym elementem systemu bezpieczeństwa RP. Coraz ważniejszym. Wraz z rozwojem własnego potencjału militarnego (m.in. dzięki zakupom amerykańskiego uzbrojenia) oraz współpracą w ramach NATO, sojusz z Amerykanami to trzeci filar bezpieczeństwa Polski.



24 czerwca 2020 roku prezydent Donald Trump przyjął w Białym Domu prezydenta Polski Andrzeja Dudę. To było pierwsze oficjalne spotkanie przywódcy USA po wywołanym pandemią koronawirusa zamrożeniu bezpośrednich kontaktów z zagranicznymi liderami. Jedenaste już spotkanie Trumpa i Dudy, podkreślające wyjątkowy charakter stosunków USA-Polska i umacniające sojusz obu krajów, jak też wzmacniające bezpieczeństwo i znaczenie Polski w Europie. Tego samego dnia w Moskwie odbyła się przełożona z 9 maja defilada zwycięstwa – na którą Rosjanie usiłowali zaprosić Trumpa, ale bez skutku.

To symbol stanu obecnych relacji USA z Polską i z Rosją. W dniu bardzo ważnym dla reżimu Władimira Putina, który rocznicę zakończenia II wojny światowej usiłuje wykorzystać do swych celów politycznych, nawet osłabienia sankcji i powrotu Rosji do stołu mocarstw na starych zasadach, spotkanie Trumpa z prezydentem Polski dla Rosji to policzek. Tym mocniejszy, że potwierdzające wcześniejsze decyzje o zwiększeniu liczebności sił amerykańskich w Polsce. Tego właśnie zawsze najbardziej bali się Rosjanie: realnej, a nie tylko papierowej przynależności Polski, ale też innych krajów wschodniej flanki NATO, do Sojuszu Północnoatlantyckiego i zachodniego systemu bezpieczeństwa. Rozwój dwustronnego sojuszu wojskowego Polski i USA temu też służy. Podobnie zresztą Rosjanie najmocniej atakują elementy projektu amerykańskiej tarczy antyrakietowej w polskim Redzikowie. Dlaczego? Bo militarna trwała obecność USA w Polsce oznacza, że Rosja nie może nas tknąć. No chyba, że zdecydowałaby się na wojnę z najpotężniejszym mocarstwem wojskowym na świecie.

W trakcie konferencji w Białym Domu nie padły konkretne deklaracje dotyczące wzmocnienia amerykańskiej obecności w Polsce, potwierdzono jedynie wcześniejsze ustalenia z 2019 roku, dotyczące wzmocnienia amerykańskiego kontyngentu o 1000 żołnierzy. W kontekście ewentualnego przeniesienia części wojsk amerykańskich z Niemiec do Polski przed wizytą wymieniano m.in. eskadrę myśliwców F-16 z bazy Spangdahlem, która miała być przeznaczona do wycofania z terenu Niemiec, pojawiał się też wątek obecności w Polsce dowództwa V Korpusu. W tej sprawie nie padły konkretne deklaracje, ale Trump między wierszami potwierdził, że co najmniej część z wycofywanych z Niemiec żołnierzy skieruje właśnie do Polski.

► Tarcza Europy

„Jeżeli tutaj będą wojska amerykańskie, amerykańskie bazy i armia ze swoją infrastrukturą, to cały świat będzie widział wyraźnie, że to nie jest już rosyjska strefa wpływów” – tak mówił śp. prezydent Lech Kaczyński. To on w 2008 roku w Tbilisi przestrzegał, że po Gruzji następnym celem Rosji może być Ukraina. To on za swej prezydentury budował relacje w Międzymorzu i zdawał sobie sprawę z bezpieczeństwa energetycznego (m.in. zakup rafinerii w Możejkach i pomysł budowy terminalu LNG). Tak samo miał rację, mówiąc o wojskowej obecności USA. Nie tylko w Polsce. Bez amerykańskich żołnierzy cała Europa stałaby się bowiem rosyjską strefą wpływów. Przede wszystkim należy pamiętać, że armia Stanów Zjednoczonych, niemająca sobie równych na świecie, jest filarem, jest rdzeniem potencjału militarnego NATO. Jeśli w zestawieniach Rosji i NATO państwo Władimira Putina wypada militarnie dużo słabiej – a to dobry hamulec dla imperialnych zapędów Kremla – to jest to zasługa USA. Choć dawno minęły czasy, gdy w samych Niemczech stacjonowało ponad 200 tys. żołnierzy USA, obecność amerykańska jest kluczowa dla bezpieczeństwa Europy. Nie chodzi tylko o 70 tys. żołnierzy. Za rządów Trumpa obecność wojskowa USA w Europie zwiększyła się – także w postaci częstszych patroli bombowców strategicznych. Ważniejsza jest jednak być może obecność amerykańskiej broni atomowej. To swoista polisa bezpieczeństwa na wypadek agresywnych działań Rosji. Jeśli Amerykanie nie zapewniają nawet pokoju na całym kontynencie (vide Gruzja 2008 czy Ukraina 2014), to na pewno dają takie gwarancje członkom NATO. Jak by wyglądała Europa bez żołnierzy USA? Wizja może być przygnębiająca. Koncert europejskich mocarstw z Rosją, wpływy rosyjskie w Europie Środkowej i Wschodniej, siłowy szantaż Moskwy stosowany wobec całej Europy. To amerykańska obecność wojskowa w Europie zapewnia jej pokój.

Do czego może doprowadzić znacząca redukcja sił USA w Europie, pokazała polityka Baracka Obamy. Był słynny reset, a za nim wycofanie się z projektu budowy tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach – niemal równo rok po napaści Rosji na Gruzję. Potem, w styczniu 2012 roku, była nowa wojskowa strategia oznaczająca redukcję sił amerykańskich w Europie. Tylko podczas drugiej kadencji Obamy ich liczba spadła z 80 tys. do 62 tys. Zmniejszenie sił USA ośmieliło Rosję. W 2014 roku napadła na Ukrainę. Agresja Rosji na Ukrainę pogrzebała politykę resetu i zmusiła Obamę do

zmiany kursu. W Warszawie w czerwcu 2014 roku ogłosił on program odbudowy sił amerykańskich w Europie. Administracja Trumpa nie tylko wykonała plany poprzedników, lecz także zwiększyła finansowanie programu. Ale nie to było najważniejsze. Za Obamy były to symboliczne działania mające uspokoić sojuszników (pojawienie się małych oddziałów na wschodniej flance). Donald Trump za priorytet przyjął rzeczywiste odstraszanie Rosji. Ważnym tego elementem jest odbudowa potencjału wojskowego w Europie. Siły amerykańskie były stale redukowane od zakończenia zimnej wojny. Po przyjeździe Trumpa zaczęły rosnąć – do około 70 tys. obecnie. Nową jakością jest większe zaangażowanie w krajach wschodniej flanki (Polska, Rumunia, Łotwa), a nie tylko skupianie się na tradycyjnych lokalizacjach, czyli po zachodniej stronie dawnej żelaznej kurtyny.

W Niemczech stacjonuje dziś największa część amerykańskiego kontyngentu w Europie (34,5 tys.). Więcej swoich żołnierzy w innym kraju USA posiadają tylko w Japonii. Od 2006 roku liczba Amerykanów w Niemczech spadła o połowę (z 72 tys.) – głównie za sprawą decyzji Obamy. Ale już wcześniej, w 2004 roku, George W. Bush wycofał prawie 70 tys. żołnierzy z Europy i Azji, w tym około 30 tys. ciężkich oddziałów z Niemiec, część sprowadzając do kraju, a część przemieszczając tak, żeby mogli skuteczniej odpowiadać na punkty zapalne na świecie. Teraz Trump ogłasza kolejną redukcję, do 25 tys. Przy czym wiadomo, że część z opuszczających Niemcy żołnierzy trafi do Polski. Oczywiście generalne zmniejszenie liczby wojsk USA w Europie nie jest w interesie NATO, także Polski. Zawsze jednak lepiej, jeśli część z wycofywanych z Niemiec Amerykanów trafi właśnie nad Wisłę, a nie wróci za ocean. Jak zaznaczył 17 czerwca Jens Stoltenberg, amerykańska obecność wojskowa w Europie to przecież nie tylko Niemcy. – W ostatnich latach widzieliśmy tak naprawdę zwiększenie obecności USA w Europie, w tym w krajach bałtyckich, Polsce i w regionie Morza Czarnego – mówił sekretarz generalny NATO podczas narady ministrów obrony Sojuszu. Sekretarz obrony USA Mark Esper jasno powiedział, że Stany Zjednoczone cały czas pozostają zaangażowane w bezpieczeństwo europejskie. Ostatnio w Niemczech na stałe rozmieszczono batalion artylerii rakietowej (drugi jest formowany) i batalionu obrony przeciwlotniczej krótkiego zasięgu. Ambasador USA przy NATO Kay Bailey Hutchison podkreśliła, że jeśli „spojrzeć na pełny obraz, to zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Europie wzrosło, nie

zmałało”. Choćby poprzez wysłanie oddziałów do Polski i krajów bałtyckich.

► Wyjątkowy sojusznik

Obecnie jest w Polsce około 4,5 tys. Amerykanów, w tym około 900 pod flagą NATO w batalionowej grupie bojowej rozmieszczonej w Orzyszu/Bemowie Piskim. Te siły nie przypadkiem rozlokowano w północno-wschodniej części Polski. Mają bronić – w razie wojny z Rosją – przesmyku suwalskiego łączącego kraje bałtyckie z resztą NATO. Obecność wojskowa USA w Polsce jest zwiększana od paru lat w zasadzie przez cały czas. Z Mirosławca operują już drony typu Reaper, rozmieszczane okresowo również w innych państwach wschodniej flanki. Wiadomo, że są już jednostki łączności i siły specjalne – czego z oczywistych względów się nie nagłaśnia. To zasługa także prezydenta Andrzeja Dudy, który starania o ulokowanie amerykańskiego kontyngentu rozpoczął bezpośrednio po swoim zaprzysiężeniu w 2015 roku. Wbrew niektórym krytycznym głosom, Polska nie robi niczego – gdy mowa o współpracy z USA – co mogłoby szkodzić NATO. Wręcz przeciwnie. Zresztą dowodem na to jest rozmowa, jaką Duda przeprowadził ze Stoltenbergiem dzień przed wylotem za ocean. Widać jednak, że dla Amerykanów coraz bardziej kluczowym sojusznikiem w Europie staje się właśnie Polska. Nie Niemcy. Nie chodzi tylko o współpracę wojskową. Wszak to Warszawa, a nie Berlin, wydaje 2 proc. PKB na obronność. To Polska decyduje się na miliardowe kontrakty na zakup amerykańskiego uzbrojenia (Patrioty, F-35). To Polska była głównym partnerem US Army podczas największych od wielu lat ćwiczeń wojskowych Defender Europe 2020. Dlatego trwają ustalenia ostatecznego kształtu projektu Fort Trump i dlatego rok temu w Waszyngtonie prezydenci obu państw zawarli porozumienie windujące sojusz militarny USA z Polską na najwyższy poziom. Podpisane w czerwcu 2019 roku przez prezydentów Trumpa i Dudę porozumienia przewidują wzmocnienie obecności militarnej USA w Polsce. Wspomniana umowa sprzed roku przewiduje zwiększenie obecności żołnierzy amerykańskich w Polsce o 1000, do poziomu około 5,5 tys. Ma to być już trwała obecność, o czym świadczy wskazanie lokalizacji dla poszczególnych elementów US Army w Polsce: Wysunięte Dowództwo Dywizyjne w Poznaniu, Centrum Szkolenia Bojowego w Drawsku Pomorskim, baza załadunkowo-rozładunkowa Sił Powietrznych we Wrocławiu, eskadra dronów bojowych w Łasku, bazy sił specjalnych w Powidzu i Lublińcu.

Pod rządami PiS Polska zaczęła importować z USA skroplony gaz. Pierwszy transport amerykańskiego LNG wpłynął do terminalu im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu w czerwcu 2017 roku. Jesienią 2018 roku PGNiG podpisało umowy długoterminowe (co najmniej 20 lat) z trzema spółkami z USA. To jeden z filarów energetycznej niezależności Polski, która dzięki także dostawom amerykańskiego LNG uniezależnia się od rosyjskiego gazu. Dzięki LNG ze Stanów Zjednoczonych, w 2019 roku udział w imporcie polski gazu z Rosji spadł do około 60 proc. z około 67 proc. w 2018 roku. Dzięki LNG, również Baltic Pipe i własnemu wydobywaniu, Polska stanie się w pełni niezależna od rosyjskiego gazu, a nawet będzie mogła wspomóc dywersyfikacyjne wysiłki sąsiadów (należy pamiętać o prowadzonej budowie gazociągu łączącego Polskę z Litwą). Zresztą także ewentualna elektrownia atomowa w Polsce – rozmowy w tej sprawie toczą się właśnie z Amerykanami – także mogłaby wspomóc energetycznie Litwę. Polskę i USA łączy sprzeciw wobec Nord Stre-

ych na obecną politykę USA także wobec Polski. Podkreślić należy, że politykę USA, a nie tylko Trumpa. Większość bowiem posunięć amerykańskich dotyczących Polski, a powiązanych z rosyjskim niebezpieczeństwem, ma poparcie obu obozów politycznych w Stanach Zjednoczonych. Polska stała się jednym z frontów rywalizacji USA z Rosją – co oczywiście dla nas jest korzystne. Wystarczy przypomnieć, czym dla nas skończyła się polityka Obamy. Zresztą nie tylko dla nas – reset ośmielił Putina do napaści na Ukrainę i aneksji Krymu. Jak bardzo obecna sytuacja różni się od tej sprzed 2014 roku, jak bardzo umocnione zostało bezpieczeństwo Polski dzięki wsparciu USA, widać najbardziej w dwóch obszarach: militarnym i energetycznym. W obu tych kwestiach coraz mocniejsza współpraca amerykańsko-polska jest bardzo nie w smak Moskwie. Biorąc pod uwagę pozycję Polski w regionie i jej wiodącą rolę w Trójmorzu, to dla ambicji rosyjskich zagrożenie wręcz śmiertelne. Kolejne tysiące żołnierzy amerykańskich

„JEŻELI TUTAJ BĘDĄ WOJSKA AMERYKAŃSKIE, AMERYKAŃSKIE BAZY I ARMIA ZE SWOJĄ INFRASTRUKTURĄ, TO CAŁY ŚWIAT BĘDZIE WIDZIAŁ WYRAŹNIE, ŻE TO NIE JEST JUŻ ROSYJSKA STREFA WPŁYWÓW” – TAK MÓWIŁ ŚP. PREZYDENT LECH KACZYŃSKI.

am 2, projektu rosyjsko-niemieckiego uderzającego w bezpieczeństwo całego naszego regionu. To Amerykanie nałożyli sankcje, które zatrzymały budowę gazociągu, a na początku czerwca w Senacie przedstawiono projekt ustawy znacząco rozszerzającej zakres sankcji. Jej przyjęcie *de facto* już na dobre uniemożliwiłoby dokończenie Nord Stream 2. No i jest teraz także kwestia ewentualnego zaangażowania amerykańskiego w projekt pierwszej w Polsce elektrowni atomowej. Wizyta prezydenta Andrzeja Dudy w USA i poczynione tam ustalenia potwierdzają, że strategicznym partnerem w polskim projekcie jądrowym będą firmy amerykańskie i kapitał amerykański. Wartość kontraktu polsko-amerykańskiego dotyczącego budowy elektrowni jądrowej w Polsce to około 30 mld dolarów.

► Wspólnie przeciwko Rosji

Rosja jest oczywiście jednym z najważniejszych czynników, jeśli nie najważniejszym, wpływają-

nad Wisłą to także dobra informacja dla naszych sąsiadów z NATO, przede wszystkim najbardziej narażonych na rosyjską agresję krajów bałtyckich. To wzmocnienie całej wschodniej flanki. Z kolei rozwój importu amerykańskiego LNG oznacza zmniejszanie uzależnienia od rosyjskiego gazu przez Polskę, ale też w przyszłości przez cały nasz region – gdy sprowadzanym z terminali w Luizjanie gazem skroplonym będzie można, za pośrednictwem polskich gazociągów, zasilać naszych sąsiadów.

Rosjanie nie kryją, że irytuje ich bardzo zwiększenie potencjału wojskowego USA w Polsce. Już po spotkaniu Trumpa i Dudy szef komisji Rady Federacji ds. międzynarodowych Konstantin Kosaczow powiedział: „Problem w tym, gdzie dokładnie zostaną wyprawione wojska z Niemiec. Jak zauważył sam Trump, część wróci do domu, a część będzie wysłana w inne miejsca. Polska będzie jednym z nich. A to już inna historia. Jedno – do domu, a drugie – jeszcze bliżej naszych granic”. Wice-

minister spraw zagranicznych Rosji Aleksandr Gruszko oświadczył, że jego rząd będzie uważnie śledził wydarzenia następujące po oświadczeniu prezydenta USA Donalda Trumpa o możliwym przemieszczeniu części wojsk amerykańskich z Niemiec do Polski. Strach widać także w rosyjskiej prasie. „Niezawisimaja Gazieta” wyraża przekonanie, że „amerykańskie myśliwce w Polsce zostaną wycelowane w rosyjską obronę przeciwlotniczą”. Dziennik powołuje się na przypuszczenia, że do Polski mogłyby zostać skierowane amerykańskie myśliwce F-16CJ z bazy Spangdahlem. Dziennik przypomina o samolotach już znajdujących się na wyposażeniu polskiej armii i o kontrakcie przewidującym otrzymanie przez Polskę maszyn F-35A Lightning II. Zatem, „ogólna liczba nowoczesnych ofensywnych samolotów bojowych w Polsce może przekroczyć 100”. Większość z tych maszyn jest zdolna do przenoszenia jądrowych bomb lotniczych B61-12. „W Zachodnim Okręgu Wojskowym Rosji skoncentrowano kilka pułków lotniczych, które wyposażone są w nowoczesne samoloty bojowe czwartej generacji. Jednak ich ogólna liczba nie jest o wiele wyższa od tych sił, jakie za kilka lat mogą znaleźć się w Polsce” – powiedział ekspert wojskowy Jurij Nietkaczew.

► „Podwójna ochrona”

W ostatnich latach Polska i szereg innych krajów – głównie ze wschodniej flanki NATO – wreszcie przestały być członkami Sojuszu kategorii B. Trzeba było czekać ponad 15 lat, aż Rosja napadnie na Ukrainę, by wreszcie namówić zachodnich sojuszników do umieszczenia na naszym terytorium jakichś wielonarodowych oddziałów. A i to tak naprawdę symbolicznych. W razie wojny z Rosją nie miałyby one znaczenia obronnego. Można też zadać pytanie, na ile mają funkcję odstraszającą? Szczególnie jeśli są tam żołnierze z Niemiec czy Francji. Jaka jest polityka Berlina i Paryża wobec Rosji – wszyscy wiemy. Bez amerykańskich oddziałów w Europie NATO miałoby poważny problem, by obronić się przed agresją rosyjską. A już na pewno nie miałyby na to szans kraje wschodniej flanki. Wszak trudno wyobrazić sobie, że Niemcy czy Francuzi umierają za Gdańsk. Skończyłoby się tak, jak w latach 1939–1940, gdy Hitler podbijał kolejne kraje, m.in. dlatego, że Ameryki wtedy w Europie politycznie nie było. Narastający konflikt niemiecko-amerykański tylko to potwierdza. W imię współpracy z Moskwą Berlin, broniąc Nord Stream 2, nie dość że gotów jest pójść na poważne zwarcie,

to na dodatek chce do tego wciągnąć inne kraje europejskie. Rząd Angeli Merkel rozważa nakłanianie krajów UE do zastosowania wspólnych retorsji wobec USA, jeśli prezydent Donald Trump zrealizuje groźbę stoperdowania budowy gazociągu Nord Stream 2 poprzez kolejne sankcje – informuje agencja Bloomberg. Powołując się na dwóch przedstawicieli niemieckich władz, Bloomberg podał, że zdaniem Berlina perspektywa bezpośredniej amerykańskiej ingerencji w politykę energetyczną Unii Europejskiej powinna skłonić państwa unijne do wspólnej, skoordynowanej reakcji. Członkowie komisji gospodarczej Bundestagu 17 czerwca debatowali na temat reakcji na amerykańskie sankcje, związane z budową Nord Stream 2. Przewodniczący komisji Klaus Ernst poinformował, że deputowani wszystkich partii zgodnie uznali, iż restrykcje takie stanowiłyby pogwałcenie prawa międzynarodowego.

Możliwość wycofania części wojsk amerykańskich z Niemiec i zwiększenia militarnej obecności USA w Polsce nie spowoduje kontrowersji w NATO. Takie niebezpieczeństwo pojawiłoby się, gdyby Polska zaczęła preferować wzmocnienie relacji z USA kosztem obecności NATO, ale tak się nie dzieje. Chociaż rząd w Warszawie od dawna zabiega o wzmocnienie amerykańskiej obecności wojskowej w swoim kraju – co ma służyć przede wszystkim odstraszaniu Rosji – władze Polski podkreślają, że nie powinno się to odbywać kosztem Niemiec. Szkoda tylko, że same Niemcy niezbyt starają się, by zatrzymać Amerykanów. Czwarta gospodarka świata w zeszłym roku wydała na obronność 1,38 proc. PKB, co do których kraje Sojuszu porozumiały się w 2006 roku. Za to sojusznicy z Europy Wschodniej, w tym Polska, Bułgaria, Rumunia, Litwa, Łotwa i Estonia, wywiązują się ze zobowiązania w sprawie wydatków na obronność, a nawet je przekraczają. Biorąc to wszystko pod uwagę, nikt nie powinien dziwić się Polsce, że nie chce polegać tylko na gwarancjach NATO i takich sojuszników, jak Niemcy, ale buduje sojusz dwustronny z Ameryką. Ekspert CEPA Janusz Bugajski uważa, że Polska – choć objęta artykułem 5. Traktatu Północnoatlantyckiego – potrzebuje „podwójnej ochrony”. Jedno to NATO, drugie to bezpośrednie umowy z USA. Zdaniem Bugajskiego jest to konieczne, ponieważ relacje Warszawy i Moskwy w dającej się przewidzieć przyszłości raczej się nie poprawią: „Dopóki Rosja pozostaje rewizjonistycznym krajem pod rządami Putina, z Polską nie będzie dobrych relacji, jakkolwiek by w Polsce był rząd”.



Lepiej mieć jednego sojusznika u boku niż nie mieć żadnego

Niedawno zadano mi pytanie: co się wydarzy, jeśli Polska nie wyda pieniędzy na obronność? Odpowiedziałem: Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Polska nauczyła się na podstawie swojej historii, że o wiele taniej jest wydać pieniądze, by się bronić, niż mieć tylko nadzieję, że ktoś jej pomoże – mówił **George Friedman**, prezes Instytutu Badawczego Geopolitical Futures, w rozmowie z **Michałem Rachoniem** na antenie TVP Info.

► **Panie Profesorze, oczekujemy, że zostanie podpisane porozumienie pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi, które najprawdopodobniej doprowadzi do rozlokowania kolejnych jednostek amerykańskich na terytorium Polski. Jakie będzie znaczenie geopolityczne tego porozumienia?**

Stany Zjednoczone nie chcą, by doszło do wojny z Rosją. Ale USA chcą być pewne, że Europa i NATO będą w stanie się obronić. Polska jest teraz na pierwszej linii frontu, więc trzeba mieć pewność, że ma wystarczające zasoby. Nikt bowiem nie chce, aby Europa była zdominowana przez Rosję. To pokazuje zaangażowanie Stanów Zjednoczonych względem Polski, ale też pokazuje ogromną pracę, którą wykonał prezydent Duda.

► **Z tego, co Pan mówi wynika, że ten front geopolityczny, który jednocześnie stanowi wschodnią granicę Polski, ma istotne znaczenie, gdy chodzi również o bezpieczeństwo całej Europy.**

Tak, w istocie tak jest. Kiedy Niemcy były podzielone i Niemcy Zachodnie znajdowały się w swoistym centrum, sytuacja była inna. Teraz ta strategiczna granica znajduje się na wschodniej granicy Polski i jej ochrona blokuje jakiegokolwiek agresywne działania Rosji. Jest to niezmiennie istotne dla utrzymania bezpieczeństwa Europy i Stanów Zjednoczonych.

► **Polska od dawna jest członkiem NATO, jednak przez długi czas nie było na naszym terytorium wojsk natowskich czy amerykańskich. Ale to się zmieniło po szczycie NATO w Warszawie w 2016 roku. Rozlokowanie nowych jednostek postępuje. Jaka jest różnica strategiczna między sytuacją wcześniejszą a tym, co się dzieje obecnie?**

Odpowiedź to Ukraina. Do pewnego momentu mogliśmy twierdzić, że Rosja może chciała się zbliżyć do europejskiej społeczności narodów, że nie była zainteresowana tym regionem w sensie geopolitycznym. Ale później doszło do wojny na Ukrainie. Wszyscy wiemy, że jednak Rosja była zainteresowana tym regionem, dlatego nie możemy przewidzieć, co robi Putin. I to był punkt zwrotny, gdy chodzi o relacje USA-Rosja. Amerykanie zaangażowali się w sytuację na Ukrainie, co z rosyjskiego punktu widzenia jest postrzegane negatywnie. A z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych jest to kwestia kluczowa dla bezpieczeństwa Europy.

► **Panie Profesorze, trwa istotna dyskusja o wydatkach na obronność. Polska jest jednym z sześciu państw NATO, które przeznaczają 2 proc. PKB na te wydatki. Polska rozpoczęła program modernizacji technicznej wojska na kwotę 50 mld dolarów. Chodzi o pociśki krótkiego zasięgu, okręty**

podwodne oraz samoloty F-16 i F-35. Jak Pan ocenia skalę tej inwestycji, którą Polska przeprowadza?

Zanim do tego przejdę, chciałbym powiedzieć o tych krajach, które nie podejmują takich kroków, w szczególności mówię o Republice Federalnej Niemiec. To czwarta największa gospodarka świata, a w kwestiach obronnych zachowuje się jak w 1952 roku. Nie spełnia wymogów względem NATO, względem swoich sąsiadów, a jednocześnie poucza wszystkich wokół. Z mojego punktu widzenia są takie kraje jak Polska, które bardzo dobrze rozumieją, o co toczy się gra, robią wszystko, co mogą. Są też kraje, które mają inny punkt widzenia, ale jednocześnie te państwa oskarżają Stany Zjednoczone o brak zaangażowania w ramach NATO. Jesteśmy bardzo zaangażowani w NATO, ale o wiele lepiej być zaangażowanym we współpracę z Polską, bo jest to sojusznik, który rzeczywiście robi to, co zapowiada.

► **To jedna ze stron problemu, jednak kraje, które zdecydowały, że nie zaangażują się finansowo, to państwa, które stanowią większość członków NATO. Jak to świadczy o samym Sojuszu Północnoatlantyckim?**

Z amerykańskiego punktu widzenia Europa porzuciła NATO. Europejczycy mówią, że zrobili to Amerykanie, jednak to nieprawda, ponieważ te kraje nie spełniają obietnic, które zostały przedstawione. Dlatego też Stany Zjednoczone zmieniają swoje podejście. Oczywiście nadal jesteśmy zaangażowani, jeśli chodzi o obronę Europy, a Polska jest pewną bramą do Europy i na pewno będzie bronić tej bramy. Ale niestety nie może liczyć na współpracę z innymi krajami, na pewno nie z Niemcami. Jeżeli chcecie zrozumieć nasze zaangażowanie w poprawę bezpieczeństwa Polski, to proszę zwrócić uwagę, że jesteśmy tutaj, choć innych państw nie ma.

► **Jakie znaczenie w tych stosunkach mają tak ogromne środki, które przeznaczamy na obronę? Jak według Pana zmienia to pozycję międzynarodową Polski?**

Niedawno zadano mi pytanie: co się wydarzy, jeśli Polska nie wyda tych pieniędzy? Odpowiedziałem: Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Polska nauczyła się na podstawie swojej historii, że o wiele taniej jest wydać pieniądze, by się bronić, niż mieć tylko nadzieję, że ktoś jej pomoże. I nawet lepiej wydać te pieniądze i mieć jednego sojusznika u boku niż nie mieć żadnego. Tu odwołujemy się do polskiej historii. Polska wielokrotnie stawała na inne kraje i niestety te kraje nie pomogły Polsce. Dlatego Polska stawia teraz na siebie. Nie jest to gest, lecz prawdziwe zobowiązanie wojskowe i finansowe. ■

Wywiad przeprowadzony 24 czerwca 2020 r.
opracował Hubert Kowalski



Mylą się ci, którzy myślą, że bezpieczeństwo jest dane raz na zawsze

W Waszyngtonie postrzegamy Nord Stream 2 jako dość dziwny projekt, który w sposób oczywisty powoduje, że Niemcy, ale też inne kraje, stają się zależne od gazu, który będzie płynął tym gazociągiem.

Jednocześnie są oni narażeni na ewentualne ataki ze strony Rosji. Sprzeciw polskiego rządu był naprawdę genialnym ruchem, genialną operacją – mówił w rozmowie z **Michałem Rachoniem** na antenie TVP Info **prof. John Lenczowski**, rektor uczelni Institute of World Politics w Waszyngtonie, który w czasach prezydentury Ronalda Reagana pełnił funkcję dyrektora ds. europejskich i sowieckich w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego USA.

► **Panie Profesorze, oczekujemy, że prezydent Andrzej Duda podpisze porozumienie z prezydentem Trumpem odnośnie do rozlokowania kolejnych jednostek amerykańskich w Polsce. W przeszłości reprezentował Pan administrację amerykańską, a obecnie jest Pan przedstawicielem świata akademickiego. Pamięta Pan polską walkę o powrót do świata Zachodu. Co Pan sądzi o rozlokowaniu jednostek amerykańskich na terenie państwa, które należało do Układu Warszawskiego?**

Jestem ogromnym entuzjastą i bardzo popieram ten pomysł. Jestem przekonany, że Stany Zjednoczone podejść poważnie do utrzymania oraz wzmocnienia wschodniej flanki NATO. Polska jest niezmiennie istotna, gdyż stanowi podporę całej flanki wschodniej. W Polsce funkcjonuje rząd, który przez ostatnie kilka lat naprawdę bardzo poważnie podszedł do zagadnienia bezpieczeństwa narodowego. Ponadto zależy mi na utrzymaniu niepodległości i niezależności od agresywnej Rosji, ale też od wpływów niemieckich. Dlatego też jestem przekonany, że rząd ten wykona dalszą pracę, jeśli chodzi o bezpieczeństwo energetyczne. Jest tutaj wiele wymiarów. Warto wspomnieć o Inicjatywie Trójmorza, która jest wspaniałym pomysłem dyplomatycznym integrującym wszystkie kraje na flance wschodniej. Idea zwiększenia obecności NATO w Polsce jest oczywiście bardzo logiczna, a jednocześnie stanowi krok strategiczny. Bardzo się cieszę, że obecna administracja w Waszyngtonie uznaje ten fakt i docenia wkład Polski w ramach Sojuszu.

► **Dostawy energetyczne stanowią jeden z wymiarów, o których Pan mówił. Czy jest możliwe, aby wprowadzić wielki biznes energetyczny, nie mając wcześniej rozwiązanych problemów dotyczących bezpieczeństwa? Wydaje się bowiem, że te dwie kwestie są ze sobą ściśle związane. Co Pan o tym sądzi?**

Zgadzam się w pełni. Bezpieczeństwo jest najwyższym priorytetem polityki międzynarodowej i cały czas przypominam o tym obywatelom USA, ponieważ bez bezpieczeństwa nie jest możliwy wydajny handel. Bez niego nie moglibyśmy również cieszyć się swobodami obywatelskimi, a jednocześnie nie moglibyśmy zbudować lepszej cywilizacji czy nawet wykonywać pracy dobroczynnej. I zawsze mówię o tym Amerykanom, bo często myślimy, że bezpieczeństwo jest dane raz na zawsze, a tak nie jest. Wystarczy

spójrzeć na to, co spowodował zaledwie jeden atak przy użyciu węgla. Przełożyło się to na gospodarkę i co więcej, wydarzyło się to krótko po atakach z 11 września. Wąglik zupełnie sparaliżował lokalną gospodarkę, która wcześniej działała bardzo prężnie. Polski rząd podchodzi do sprawy bezpieczeństwa bardzo poważnie i uznaje to za najwyższy swój priorytet. To postawa godna pochwały.

► **Kwestia międzynarodowych relacji energetycznych jest bliska polityce amerykańskiej. Podczas swojego przemówienia prezydent Trump zwrócił się do Angeli Merkel, krytykując umowę dotyczącą gazociągu Nord Stream 2 i pytając wprost, dlaczego Niemcy wysyłają miliardy dolarów do Rosji, która przekazuje te pieniądze na zbrojenia. Dlaczego amerykański prezydent podkreśla tę kwestię?**

Uważam, że prezydent Trump, który objął urząd, nie mając doświadczenie strategiczno-geopolitycznego, bardzo dużo się nauczył. Ma też świetny instynkt, gdy chodzi o te zagadnienia. W Waszyngtonie postrzegamy Nord Stream 2 jako dość dziwny projekt, który w sposób oczywisty powoduje, że Niemcy, ale też inne kraje stają się zależne od gazu, który będzie płynął tym gazociągami. Jednocześnie są oni narażeni na ewentualne ataki ze strony Rosji. W szczególności wchodzi w grę szantaż energetyczny, a Rosja ma naprawdę długą historię szantażu energetycznego wobec państw, których zachowanie nie podoba się na Kremlu. Sprzeciw polskiego rządu był naprawdę genialnym ruchem, genialną operacją. Polska chce stworzyć alternatywne źródło energii w postaci Baltic Pipe, terminala LNG. Sam rozwój zdolności przyjmowania dostaw skroplonego gazu jest w istocie kolejnym bardzo ważnym i wyjątkowym krokiem politycznym. Dywersyfikacja źródeł energii poprzez rozpoczęcie poważnej polityki zmierzającej w kierunku wdrożenia energii atomowej jest również bardzo ważna. Szczególnie że nowe technologie atomowe, których używa się obecnie, są o wiele bardziej bezpieczne niż te, których używano w przeszłości. Polska ma zintegrowane podejście strategiczne do wszystkich tych spraw, które rozpoczęto kilka lat temu. Wiem, że minister Piotr Naimski był jednym z liderów w tych zagadnieniach, dlatego zasługuje na ogromny szacunek. ■

Wywiad przeprowadzony 24 czerwca 2020 r.
opracował Hubert Kowalski



Maciej Kożuszek



TRUMP I POLACY

Polskę i Polaków łączy dziś z projektem politycznym o nazwie Donald Trump szczególna relacja. Wzrost bezpieczeństwa, militarnego i energetycznego, wzmacnianie polsko-amerykańskiego sojuszu nie byłyby możliwe, gdyby w Białym Domu zasiadał inny polityk. Z kolei wiele projektów politycznych Donalda Trumpa nie byłoby możliwych bez Polski i Polonii.

Gdy w 2016 roku do wyścigu o prezydenturę stawiali Donald Trump i Hillary Clinton, większość publicystów w Polsce, także tych piszących dla mediów prawicowych, uznawała albo że trudno określić, który z kandydatów byłby dla Polski lepszy, albo wręcz że bezpieczniejszym wyborem byłaby Hillary Clinton. Według tej narracji, Clinton miała być dla Polski „mniejszym złem”, bo jako doświadczona polityk byłaby bardziej przewidywalna niż Trump i nawet jeśli ideologicznie byłoby nam z nią nie po drodze, to pewnie zrobiłaby dużo mniej szkód niż miliarder celebryta, bawiący się w politycznego przywódcę.

► 2016 – kluczowe zwycięstwo Polski

Ta argumentacja już wtedy wydawała się w wysokim stopniu ulomna. Fakt, że Barack Obama był zawodowcem, nie uchronił Polski przed zatrzymaniem projektu tarczy antyrakietowej i resetem w stosunkach USA–Rosja, który doprowadził do wojny na Ukrainie. Z dzisiejszego punktu widzenia stawianie wówczas na Clinton wydaje się całkowicie absurdalne i jasne jest, że dla powodzenia projektu Dobrej Zmiany zwycięstwo Trumpa w 2016 roku było równie ważne, jak dwa zwycięstwa wyborcze w Polsce w roku 2015.

Bez wygranej kandydata Republikanów międzynarodowa presja na prawicowy rząd w Polsce byłaby wielokrotnie większa. Naprawdę nietrudno sobie wyobrazić Hillary Clinton, która na wspólnej konferencji z Fransem Timmermansem wyraża swój niepokój w sprawie kondycji demokracji i rządów prawa w Polsce. Zresztą nie trzeba wiele wyobraźni, bo pamiętamy, że urzędnicy Departamentu Stanu, mianowani w dużej mierze w czasie, gdy Clinton sprawowała funkcję Sekretarza Stanu i w późniejszych latach prezydentury Obamy, ustami rzeczniczki Heather Nauert wyrazili swój niepokój o demokrację w Polsce w 2017 roku, gdy w Białym Domu zasiadał już Donald Trump. Zresztą to właśnie m.in. nieumiejętność poradzenia sobie ze „starą kadrą” i zapanowania nad całą urzędniczą machiną zdecydowały o tym, że ze stanowiskiem Sekretarza Stanu pożegnał się Rex Tillerson.

Dzięki zwycięstwu Trumpa rząd Zjednoczonej Prawicy mógł prowadzić podmiotową politykę zagraniczną, nawet jeśli spora część elit Unii Europejskiej uznawała, że trzeba zrobić wszystko, by w Polsce jak najszybciej do władzy wróciła prounijna Platforma. Dobre relacje Polski z USA wzmacniały też Polskę w polityce europejskiej i pośrednio sprawiły, że pomimo wzajemnej niechęci relacje, szczególnie w ramach Rady Europejskiej, uległy normalizacji, a premierowi Mateuszowi Morawieckiemu udało się załatwić wiele kluczowych dla Polski spraw.

Warto jednak pamiętać, że ta relacja nie była jednostronna. Stosunki Trumpa z państwami i przywódcami „starej Unii” były popsute właściwie od samego początku. Francuzi czy Niemcy byli zakochani w proeuropejskim Obamie i w ogóle nie brali pod uwagę możliwości zwycięstwa Trumpa. Sam Trump też dawał im jasno do zrozumienia, że przyjaźń zastąpią twarde wymagania, na przykład te dotyczące łożenia na obronność. Dobre stosunki z Polską pozwalają Trumpowi pokazać, że świetnie dogaduje się z sojusznikami, którzy przestrzegają zasad. Życieliwe spoglądanie w stronę inicjatywy Trójmorza ma z kolei dowodzić, że USA nie muszą być skazane na nierówne relacje z potęgami zachodniej Europy.

► Polonijne głosy

Kluczowa rola Polonii w USA w zwycięstwie Donalda Trumpa nad Hillary Clinton dziś nie budzi większych wątpliwości. Choć nie ma danych, które pozwalałyby stwierdzić, czy Trump zgarnął większość głosów 9-milionowej grupy Amerykanów, którzy identyfikują swoje pochodzenie jako polskie, to z pewnością głosy Polonii pozwoliły mu wydrzeć z rąk Demokratów trzy, a jeśli wziąć pod uwagę jeszcze Florydę, nawet cztery kluczowe stany.

Amerykański system elektorski wymusza też specyficzne podejście do walki wyborczej, w którym każdy z kandydatów opiera swój wynik na stanach, które od wielu lat, z dużą przewagą głosują na jego partię (na przykład Kalifornia dla Demokratów czy, w mniejszym stopniu, Teksas dla Republikanów), a do tego stara się zdobyć jak najwięcej „swing states”, w których różnica w poparciu dla obydwu partii jest niewielka i obydwu kandydatów może mieć w nich szansę na zwycięstwo. Trzecia strategia, którą bardzo skutecznie zastosował w 2016 roku Trump, polega na znalezieniu słabych punktów przeciwnika, stanów, które ten już uznał za swoje, gdzie nie prowadzi intensywną kampanię, które można mu sprzątnąć spod samego nosa. To w tych kilku stanach Trumpowi udało się odskoczyć od Hillary Clinton i wygrać prezydenturę, pomimo faktu, że w całych USA zdobył globalnie mniej głosów niż kandydatka Demokratów. W tych kilku stanach głosy Polonii okazały się kluczowe.

Podczas kampanii w 2016 roku Trump spotkał się w Chicago z przedstawicielami Kongresu Polonii Amerykańskiej. Obiecywał m.in. chęć zniesienia wiz, mówił, że ma wśród Polaków wielu przyjaciół, chwalił Polskę za wypełnianie swoich zobowiązań sojuszniczych w NATO, stwierdzał, że liczy na wszystkie głosy Polonii. Wcześniej Trump zaprosił przedstawicieli organizacji polonijnych, także klubów „Gazety Polskiej”, do swojego samolotu podczas pobytu na

Florydzie, gdzie padały podobne zapewnienia. Co ważne, na ten ruch Trumpa zupełnie nie odpowiedziała Hillary Clinton. Na stronie „Dziennika Związkowego”, polonijnego medium, gdzie opisano spotkanie z Donaldem Trumpem, do dziś przeczytać można deklarację, że trwają starania, aby zorganizować podobne spotkanie z kandydatką Demokratów. Jak wiadomo, do takiego spotkania nigdy nie doszło.

Paradoks polega na tym, że choć Trump spotkał się z przedstawicielami Polonii w Chicago, to głosy Polaków z tego największego skupiska nie były dla niego kluczowe. Trzeba pamiętać, że z Chicago pochodzi Barack Obama, a Demokraci, podobnie jak w Nowym Jorku, zgarniają tam regularnie ponad 70 proc. głosów. Kluczowe natomiast okazały się głosy Polonii mieszkającej w takich stanach jak Michigan, Pensylwania czy Wisconsin. Każdy z tych stanów Trump zgarnął dzięki różnicy wynoszącej kilkadziesiąt tysięcy głosów. Każdy z nich przez ponad 25 lat wcześniej regularnie padał łupem Demokratów. Ten sukces był w dużej mierze możliwy dzięki Polonii. Trump zwyciężył m.in. w hrabstwie Macomb w Michigan, gdzie Polacy stanowią 12 proc. elektoratu, a także w hrabstwie Luzerne w Pensylwanii, gdzie stanowią 15 proc. Głosy Polonii były ważne także dla zwycięstwa Trumpa na Florydzie, to stan, gdzie zdobywa się pokazną pulę głosów elektorskich, a gdzie mieszka pół miliona Amerykanów polskiego pochodzenia.

► Kwestia wartości

Relacja Donalda Trumpa, kandydata i prezydenta, z Amerykanami polskiego pochodzenia jest jednak głębsza i nie sprowadza się do prostej transakcji: obietnica zniesienia wiz w zamian za wyborcze głosy. U jej podstaw leży wspólnota wartości i oddaje ona zmiany, które zaszły w ostatnich dekadach w amerykańskiej polityce. Trzeba choćby pamiętać, że Polonia w przeszłości wielokrotnie stawiała po stronie kandydatów Demokratów, głosując na Billa Clintona czy w 2008 i 2012 roku wybierając Baracka Obamę, a nie jego republikańskich kontrkandydatów. Wybory w 2016 roku i kandydatura Donalda Trumpa przyszedł jednak w momencie, w którym program i wartości Partii Demokratycznej w coraz większym stopniu były nie do pogodzenia z wartościami białych wyborców, wywodzących się z klasy pracującej. Można powiedzieć, że głosy Polonii przeszły na stronę Trumpa jednocześnie z głosami sporej części mieszkańców amerykańskiego interioru, Środkowego Zachodu i stanów tworzących tzw. pas rdzy.

W przeszłości głosowanie na Partię Demokratyczną było ściśle związane z działalnością związków zawodowych, w którą angażowało się wielu Polaków

amerykańskiego pochodzenia. Ta relacja legła jednak w gruzach w ostatnich latach. Po pierwsze, otwarcie się na tanie towary z Azji i globalizacja wywołały proces, w którym wiele dobrze płatnych miejsc pracy w amerykańskim przemyśle po prostu zniknęło. Po drugie, zmieniły się priorytety Partii Demokratycznej, która w dużej mierze stała się partią globalistycznie nastawionych, technokratycznych elit, które proces deindustrializacji i upadku amerykańskiego interioru uznawały za naturalny, a czasami wręcz pozytywny, a jeśli mówiły o prawach, to miały na myśli prawa imigrantów i mniejszości seksualnych, a nie prawa pracownicze.

Trump zrozumiał emocje i doskonale wiedział, jak trafić do tego pozostawionego samemu sobie elektoratu. Jego hasło „America first”, które w Polsce przede wszystkim traktowano jako manifest antynatowskiego izolacjonizmu, tak naprawdę służyło przywróceniu godności Amerykanom, którzy mieszkali poza wielkimi metropoliami Los Angeles i Nowego Jorku, i sygnałem, że jako prezydent nigdy o nich nie zapomni. To, co łączyło białe elektoraty Trumpa z takich miejsc jak „pas rdzy” z przedstawicielami Polonii, to instynktowny konserwatyzm, patriotyzm i przywiązanie do tradycyjnych, amerykańskich wartości. Ci wyborcy niekoniecznie zgadzali się z całym programem Partii Republikańskiej i w przeszłości często, za sprawą postulatów socjalnych, oddawali głos na Demokratów. Ale w momencie, gdy Partia Demokratyczna coraz bardziej osuwała się w stronę lewicowego radykalizmu, czasem wręcz antyamerykanizmu, relatywizując takie podstawowe wartości jak szacunek do flagi, hymnu czy munduru, głosowanie na nią stało się dla tych wyborców coraz mniej strawne.

Nie ma wątpliwości, że tych samych wyborców i te same emocje Donald Trump będzie chciał zmobilizować podczas zbliżającej się walki o reelekcję. Wrzuce w całych Stanach protesty przeciwko policji i na tle rasowym (o czym więcej przeczytają Państwo w artykule Wojciecha Muchy) są dla niego szansą, by zaprezentować się jako obrońca tradycji i porządku. Nie trzeba być ideowym konserwatystą, by czuć instynktowny sprzeciw, gdy pali się amerykańską flagę, gdy atakuje się policjantów i niszczy pomniki ludzi, którzy stworzyli podwaliny amerykańskiej państwowości, a liderzy protestów głoszą antyamerykańskie tyrady, które mogłyby swobodnie powstać w wydziałach propagandy w Teheranie lub Pjongjangu. Sprawa zniszczenia pomnika Tadeusza Kościuszki, reakcja Donalda Trumpa i polskich władz pokazały, że pomiędzy Polonią a resztą elektoratu Trumpa znowu istnieje wspólnota wartości i odczuwania, a jej istotną częścią jest szacunek dla historii. ■



Ryszard Czarnecki

Polska–USA: 5 lat koniunktury. I co dalej?

Polacy to racjonalny naród – to dlatego jesteśmy proamerykańscy. Nie ulegliśmy bezrefleksyjnej antyamerykańskiej fobii, obecnej od lat w Europie Zachodniej, szczególnie w ostatnich latach, gdy rządzi znienawidzony przez liberalno-lewicowy establishment Donald Trump.

Trump znienawidzony tym bardziej, że kiedyś był jego częścią, ale opuścił – trawestując Piłsudskiego – na przystanku „Ameryka”. Tak, dziś – trawestując tym razem Marksa – „widmo antyamerykanizmu krąży nad Europą”. Taką antyamerykańską historię mieliśmy już – o czym dziś się mniej pamięta – za czasów sprzed Obamy, gdy prezydentem był George Walker Bush, syn prezydenta George’a Busha. Nasiliło się to zwłaszcza podczas jego drugiej kadencji 2004–2008, po tym, jak minimalnie wygrał wybory z demokratą, nawiedzonym ekologiem Alem Gorem, i to dzięki wiktorii w stanie Floryda, gdzie głosy przeliczano tygodniami. W stanie tym gubernatorem był... rodzony brat prezydenta – Jeb Bush. Nie chciałbym, wzorem dobrego wojaka Szwejka sportretowanego przez Jarosława Haszka, snuć przypowieści, by uciekać w przypowieść kolejną, ale polityka nie jest sprawiedliwa. Gdy słuchałem młodszego o siedem lat brata prezydenta George’a W. Busha – Jęba – podczas prawyborów w Partii Republikańskiej zimą 2015 roku w wielkim kompleksie hotelowym w stanie Maryland (rzut kamieniem od Waszyngtonu) – odbywała się wtedy coroczna konwencja CPAC (Conservative Political Action Conference), czyli prawego skrzydła Republikanów – pomyślałem, że jego jedyną winą było to, że urodził się za późno, już po George’u Walkerze. Tak naprawdę intelektualnie to on bardziej pasował na lokatora Białego Domu niż jego starszy brat.

Skoro już wspominałem Szwejka i Haszka, to słowo o Czechach. Prezydent Miłosz Zeman eurosceptycyzm dzieli z niechęcią do USA, co jest rzadkością, oraz z chęcią do Rosji – co już rzadkością nie jest. Kolejne rządy w Pradze są jednak konsekwentniej pronatowskie i proamerykańskie, ale jakoś nie przeszkadza im to mieć zbliżonego eksportu do Chin (2,14 mld euro) jak Polska (2,5 mld euro), będąc od nas krajem niemal cztery razy mniej licznym. Cóż, czeski pragmatyzm. Ale nic to w porównaniu z Węgrami, którzy lojalną obecność w NATO i dbałość o dobre relacje z Białym Domem (bez wzajem-

ności) łączą z wręcz olbrzymim (4,34 mld euro) eksportem do ChRL.

Jest „oczywistą oczywistością”, by posłużyć się kultowym powiedzeniem Jarosława Kaczyńskiego, że w geopolitycznym interesie Rzeczypospolitej leżą strategiczne relacje ze Stanami Zjednoczonymi. Relacje te są w tej chwili wyjątkowo bliskie i efektywne, na co składają się czynniki subiektywne i obiektywne. Obiektywnym jest fakt brexitu i konieczność znalezienia przez Waszyngton trwałego zastępstwa za Londyn, a więc „sojusznika numer 1”. Drugim obiektywnym czynnikiem są amerykańskie interesy ekonomiczne: Jankesi chcą sprzedawać uzbrojenie i gaz, a my, po latach застоju, modernizujemy i zwiększamy armię oraz dywersyfikujemy źródła energii (a przez to poszerzamy niepodległość państwa). Nastąpił idealny spłot okoliczności. Można go określić też jako „common interest” – „wspólny interes”. To bardziej spaja niż miłe słowa o Kościuszcze i polskim umiłowaniu wolności. Jednak byłoby grzechem nie doceniać tych ważnych z punktu widzenia polskiej polityki historycznej, a więc polskiej racji stanu, korepetycji z dziejów „wielkiego narodu polskiego”, jakie parokrotnie oficjalnie udzielał światu Donald John Trump. Proszę porównać to z haniebny tekstem Barracka Husseina Obamy, który bredził – i ośobiście nie przeprosił – o rzekomych „polskich obozach śmierci”.

Mamy zatem nie tyle pięć minut, ile pięć lat wyjątkowej koniunktury w relacjach Polska–USA. Nie chcę usłyszeć zarzutu, że Czarnecki „Czarnecko widzi”, ale obawiam się, że gdy wygra Joe Biden i Amerykanie zaczną nas pouczać, co to jest demokracja, praworządność, i zaczną ostro ingerować w nasze wewnętrzne sprawy, to nie da się wytłumaczyć rodakom, że ingerencje UE są „be”, a ingerencje USA są „cacy”. I wtedy właśnie nastąpi realny wzrost nastrojów antyamerykańskich. Tyle że w przeciwieństwie do Europy Zachodniej nie będzie to efektem fobii, tylko reakcją na politykę USA.

Zatem „Boże, chroń Trumpa”...

KONTRREWOLUCJA milczącej większości

Anarchistyczna rewolta w USA paradoksalnie może przyczynić się do umocnienia władzy konserwatystów w tym kraju. Jeżeli prezydent Donald Trump postanowi twardo postawić się lewackiej rebelii, może zdobyć poparcie umiarkowanych wyborców. Musi to zresztą zrobić.

Wojciech Mucha



Mniejsze i większe rozruchy, obalanie kolejnych pomników, grabieże w sklepach i wezwania do obalenia ustroju siłą trwają w USA od czasu, gdy w Minneapolis pod koniec maja biali policjant doprowadził do śmierci czarnoskórego przestępcy George'a Floyda. Wówczas to na ulice miast USA wyszły tłumy słusznie oburzonych Amerykanów. Pokojowe protesty dość prędko przybrały krwawy obrót – część miast stanęła w ogniu, niszczone, palono i grabiono. W pewnej chwili widać było dość dobrze, że amerykańska policja, głównie w miastach zarządzanych przez demokratów, niekoniecznie kwapi się do działania, a wręcz sobie nie radzi (czego dowodem powstanie tzw. autonomicznej strefy w tradycyjnie lewackim Seattle).

► Wracają do Sieci

W chwili, gdy siadałem do pisania niniejszego tekstu (1 lipca 2020), policja w Seattle przystępowała właśnie do „likwidacji” CHAZ (Capitol Hill Autonomic Zone). Lewacka komuna powstała tam 8 czerwca bieżącego roku po tym, jak w wyniku zamieszek protestujący zajęli część zamieszkałej przez klasę średnią dzielnicy Capitol Hill. Na kilku przecznicach stworzono kuriozalny „wyjęty spod jurysdykcji władz” obszar, którego „mieszkańcy” (w większości przybysze spoza dzielnicy) postulowali m.in. likwidację policji, wywłaszczanie bogaczy, dofinansowanie środowisk LGBT i temu podobne. Natychmiast po zajęciu kilku przecznic ograbiono sklepy i wprowadzono lokalną milicję złożoną z członków Antify, Black Life Matters i lokalnych przestępców. Co ciekawe, pierwszą decyzją dotyczącą CHAZ było otoczenie kwartałów dzielnic murem, za którym przez blisko miesiąc trwała ta swoista strefa „no-go”. Z utopii wyszło niewiele, szerzyły się za to gwałty, bezprawie i pobicia, a ostatecznie policja bez większych problemów „uwolniła” miasto od okupujących je lewaków. Jedyną reakcją samozwańczych „władz” strefy była deklaracja, że „antyfaszyści” rezygnują z okupacji dzielnicy i przenoszą się do internetu, gdzie będą uprawiać „wirtualny aktywizm”.

Ale to tylko element reakcji władz. Kilka dni wcześniej Departament Sprawiedliwości USA zatrzymał ponad 100 anarchistów za udział w burdach i niszczeniu mienia federalnego. Było to pokłosie zamieszek, do jakich dochodziło przed Białym Domem, kiedy to radykalowie próbowali obalić pomnik siódmego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Andrew Jacksona. Amerykańskie media informowały, że zatrzymanym może grozić do 10 lat więzienia. Wcześniej prezydent Donald Trump napisał na Twitterze: „Upoważniłem rząd federalny do aresztowania każdego, kto dewastuje lub niszczy jakiegokolwiek pomnik, statuetkę lub inną federalną własność, karą do 10 lat więzienia”. Owe zatrzymania były

zresztą tylko jedną z reakcji, które po wielu tygodniach zamieszek w USA podjęły tamtejsze służby.

► Biały opór

Symbolem ostatnich dni jest także sytuacja z bogałego przedmieścia St. Louis, gdzie para białych prawników wyszła przed swój dom uzbrojona w karabin szturmowy i pistolet, by przegonić maszerującą przez ulicę grupę agresywnych protestujących, domagających się zmniejszenia funduszy na miejscową policję. I choć w lewicowych mediach dwójka tych ludzi stała się przedmiotem drwin, ich reakcja pokazuje, że sytuacja w USA jest naprawdę napięta i nie brakuje osób, które wbrew propagandzie pokazującej poparcie dla pełzającej rewolty, nie mają zamiaru czekać, aż „przyjdą po nich”. A chęć iść.

Wśród prowadzących i uczestników zamieszek po śmierci Floyda władze USA wskazały skrajną lewicę, w tym osoby identyfikujące się z Antifą. Prezydent Donald Trump zapowiedział nawet, że zamierza uznać ten skrajnie lewicowy ruch za „rodzimą organizację terrorystyczną”. Co takiego się dzieje, że to właśnie ci ludzie są w stanie na taką skalę porwać za sobą rozjuszony tłum?

Amerykańska Antifa to nic innego jak odprysk podobnych ruchów europejskich, które pojawiły się jeszcze przed II wojną światową, ale ich największa erupcja to okres po 1945 roku. Tradycyjnie widzimy je w Niemczech, Wielkiej Brytanii, we Włoszech i w Hiszpanii. Zawsze mają one rodowód komunistyczno-bolszewicki z zabarwieniem terrorystycznym. Najkrwawszym przykładem była oczywiście działalność Frakcji Czerwonej Armii, której kolejne pokolenia od początku lat 60. aż do samorozwiązania się w 1988 roku miały na koncie zamachy terrorystyczne, 34 ofiary śmiertelne i setki rannych.

To jednak historia. Dziś spadkobiercy tamtych marksistowsko-maoistycznych ruchów, działacze Antify organizują się w ukryciu, używając nowoczesnych środków komunikacji i nie posuwając się (na razie) do krwawych zamachów. Liczą na destabilizację społeczeństw zachodnich poprzez wzbudzanie nienawiści wobec... no właśnie. Wobec czego? Faszyzmu? Przecież ten jest powszechnie znienawidzony, a w świadomości większości ludzi dawno pokonany. Skąd popularność? Analiza europejskiej Antify zasługuje na osobne opracowanie (przyczynęk do tego znajda Państwo w tekście „Antifa. Prawdziwa twarz lewicy”, „Gazeta Polska”, 10 czerwca 2020).

► Historia i teraźniejszość

Przenieśmy się tymczasem z powrotem za ocean, by zobaczyć, jak w kraju, który szczęśliwie nie doświadczył nigdy faszyzmu, nazizmu i komunizmu, można rozpętać rzekomo antyfaszystowską rewoltę. Historia

siega 1933 roku, kiedy powstała Amerykańska Liga Przeciwko Wojnie i Faszyzmowi. Ta, jak się okazało już po wojnie, była suto opłacana przez Międzynarodówkę Komunistyczną. Ale czasy mniej odległe to lata 60., kiedy zainspirowane marksizmem bojówki Czarnych Panter miały nadzieję na „stworzenie wspólnej rewolucyjnej ideologii i programu politycznego dla wszystkich mieszkańców faszystowskiej, kapitalistycznej, rasistowskiej Ameryki”. To się nie udało m.in. dzięki „milczącej większości”, o której za chwilę. Ale dziś widzimy kolejną tego odsłonę. Zgadza się nawet postulat – likwidacja policji na rzecz autonomicznych milicji zarządzanych przez lokalne społeczności. To dokładnie to samo, co dzisiejszy postulat „defund the police”, który wybrzmiewa po śmierci George’a Floyda.

I tak jak wówczas, tak i dziś do antagonizowania wykorzystywane są mniejszości etniczne. „Oni (Antifa) przybywają z odległych miast. To przecież nie jest robione bez pieniędzy. Antifa porywa do działania czarną społeczność jako swoją armię, antagonizując tych ludzi. Każę tym młodym czarnym mężczyznom i kobietom iść tam i robić głupie rzeczy, a potem znika wraz z zachodem słońca” – tak przedstawił modus operandi Antify Bernard Kerik, były komisarz policji w Nowym Jorku.

I dowodów na to jest całe mnóstwo. W internecie znaleźć można filmy, na których zamaskowani ludzie mieszają się z tłumem, by podpalać samochody czy prowokować do zamieszek z udziałem czarnoskórej społeczności, a chwilę później znikają w tłumie.

Antifa i jej sympatycy cel mają dość jasny. Wspólnie z radykalnym ruchem społecznym Black Live Matters (który przypomina jeden do jednego działalność Czarnych Panter) wskazują, że ich bezpośrednim celem jest usunięcie prezydenta Trumpa z urzędu. Jak wskazuje w swej analizie think tank Gatestone Institute: „Antifa ma wyraźny ideologiczny program: obalić amerykański system polityczny, często z ekstremalną przemocą, w ostatecznym celu zastąpienia kapitalizmu komunizmem. W Stanach Zjednoczonych bezpośrednim celem Antify jest usunięcie prezydenta Trumpa z urzędu”.

Mówią o tym wprost także sami radykałowie: „Trump musi nie tylko nie utrzymać stanowiska w nadchodzących wyborach. On powinien teraz zrezygnować. Naszym celem jest wyeliminowanie Trumpa” – mówiła Patrisse Cullors, współzałożycielka ruchu Black Lives Matter. Dlaczego? Ano dlatego, że Trump jest dla radykalnej lewicy uosobieniem wszelkiego zła – kapitalizmu, białego człowieka, amerykańskiego pokolenia boomu demograficznego (Boomers) i wreszcie jest republikaninem opowiadającym się za silnym państwem. Jest więc według definicji Antify i BLM par excellence faszystą. Radykałowie ci mają oczywiście ciche wsparcie przeciwników politycznych Trumpa – polityków partii demokratycznej oraz liberalnych me-

diów, które nie ustają w pokazywaniu rewolty jako „słusznego oporu”, a samego Trumpa jako wcielonego zła, i niemalże suflują ich postulatami.

► Milcząca większość czeka

„Musimy dostosować się do globalnej walki, która uznaje, że Stany Zjednoczone odgrywają rolę w kapitalizmie rasistowskim. Kapitalizm rasistowski zbudowany jest na patriarchacie, białej supremacji i klasycyzmie” – mówiła Nikkita Oliver, radykalna działaczka lewicy i była kandydatka na burmistrza Seattle. Efekty podobnych słów widzimy na ulicach USA. Czy jednak ten plan ma szansę się udać? Czy radykalne protesty komunizujących radykałów są w stanie wywrócić system polityczny, będący pomimo wszelkich swych wad wzorem dla całego wolnego świata?

– Cóż, nic tak nie mobilizuje cichej większości na prawicy jak anarchia na ulicach. Zresztą cicha większość – amerykańska klasa średnia – zawsze przesuwą się na prawo, gdy do głosu dochodzi lewicowa radykalna anarchia i załamują się rządy prawa – mówi w rozmowie z „Nowym Państwem” Matthew Tyrmand, polsko-amerykański ekonomista, publicysta i działacz społeczny. Tyrmand wskazuje na analogię z rokiem 1968, gdy prezydent Lyndon B. Johnson zarządził zwrot w lewo, który pociągnął część społeczeństwa. Wówczas to lewicowi radykałowie wchodzili na uniwersytety, wybuchły protesty przeciwko wojnie w Wietnamie, a grupy bojowników, takie jak Czarne Pantery (podobnie marksistowskie jak dzisiejsze Black Live Matters) atakowały policję i angażowały się w zbrojne zastraszanie ludzi na ulicach. – I co się stało? Kraj przesunął się mocno na prawo i wybrał Nixona. Było to przytłaczające przesunięcie wahadła po dekadzie lewicowych Kennedy’ego i Johnsona. Myślę, że znajdujemy się w podobnym miejscu, z jeszcze większymi szansami na reelekcję Donalda Trumpa. Dziś już nikt nie wierzy lewicowym mediom. Ludzie widzą, że Trump wzmocnił ekonomię i że może wciąż to robić. Prawica, ta cicha większość, ma ogromny entuzjazm i ogniskuje się wokół Trumpa jako strażnika Law & Order – prawa i porządku – dodaje.

I tak jak wskazano na początku – anarchistyczna rewolta w USA paradoksalnie może przyczynić się do umocnienia się władzy konserwatystów w tym kraju. Jeżeli prezydent Donald Trump postanowi do końca postawić się lewackiej rebelii, może zdobyć poparcie niezależnych i umiarkowanych wyborców, tzw. milczącej większości. Oczywiście problemy, które doprowadziły do krwawych wydarzeń, pozostaną. To już jednak osobna dyskusja. Tak jak ta, że władze muszą zareagować, nim „milcząca większość” sama sięgnie po broń, jak para prawników z St., Louis. W kraju, gdzie na stu obywateli przypada 120 sztuk broni, to nie mogłoby się dobrze skończyć. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... umiarkowanie

Umiarkowanie przedstawiane jest alegorycznie jako kobieta rozcieńczająca wino wodą czy też mieszająca gorącą wodę z zimną, szukająca zatem właściwej proporcji składników znajdujących się w dwóch naczyniach, by nadać mieszaninie odpowiednią miarę. Tym jest bowiem umiarkowanie – poczuciem i nadawaniem właściwej miary, tak by czegoś nie było równocześnie „za dużo” i „za mało”. Jest jedną z cnot kardynalnych, czyli „jednym z czterech zawiasów, na których kołysze się brama życia”, jak nazwał umiar katolicki filozof Josef Pieper.

O cnocie umiarkowania mówili już filozofowie starożytni, nazywając człowieka umiarkowanego panem samego siebie. Sokrates umiarkowanie uważał za fundament każdej cnoty, Platon uznawał za cnotę pożądlivą części duszy, dla Arystotelesa zaś stało się kluczowym dla zasady „złotego środka”, czyli zasady równowagi między brakiem a nadmiarem tego, w czym zachowywanie umiaru jest właśnie cnotą.

Człowiek umiarkowany nie tylko posiada wiedzę o tym, jak postępować, lecz także – przede wszystkim – trzyma się swojej wiedzy i nie ulega uroklivemu wpływowi przyjemności. To, co przyjemne i przykre stanowi bowiem niejako materię doskonałości etycznej – przyjemność i przykreść znaczą dziedzinę, w której zachowywanie umiaru jest cechą człowieka rozsądnego. Tym zaś, co chroni rozsądek przed jego podatnością na wpływ odczuć, przed zniszczeniem czy przeinaczeniem przez przyjemność bądź przykreść, jest panowanie nad sobą, umiarkowanie właśnie. Uwierzytelnia Arystoteles w „Etyce nikomachejskiej” owo chroniące działanie tej cnoty etymologią samego słowa, może nawet „ludową”, wiele jednak o naturze umiarkowania – i rozsądku – mówiąc: „sofrosyne” jest tym, co ocala, chroni rozsądek, chroni bowiem i ocala sąd o rzeczy, który ma istotny wpływ na nasze działanie. Jest „jakby stróżem roztropności”, jak pisał Sebastian Petrycy.

Święty Tomasz z Akwinu pisał, że umiarkowanie (łac. *temperantia*), wywodząca się od czasownika „tempero”, oznaczającego czynność podporządkowania, regulowania, należytego urządzania czegoś, panowania nad kimś, kierowania, łagodzenia i uspokajania) uczy miary i równowagi w dziedzinach, w których działają uczucia porządkujące. Sprawia więc, że emocje i pragnienia podporządkowują się rozumowi, pozwala zatem tak kontrolować swoje namiętności i afekty, by nadać im rozsądną miarę, czyli utrzymać je „pośrodku”. W „Summie teologicznej” pi-

sał: „Chociaż piękno idzie w parze ze wszystkimi cnotami, ponad wszystko jednak przypisuje się je umiarkowaniu. Z dwóch powodów: po pierwsze – z racji ogólnej natury umiarkowania, którą cechuje pewna powściągliwość i właściwa proporcja, będąca podstawową cechą piękna [...]. Drugim powodem jest to, że umiarkowanie powstrzymuje człowieka przed tym, co w nim najniższe, co ma cechy natury zwierzęcej [...] i dlatego najbardziej przyczynia się do tego, że człowiek staje się brzydkim”. Święty Tomasz wiele pisał również o cnotach pokrewnych umiarkowaniu, takich jak wstrzemięźliwość, powściągliwość, pokora, pil-

WEDŁUG ŚW. TOMASZA CNOTĘ
UMIARKOWANIA MOŻNA W PEŁNI
REALIZOWAĆ DOPIERO W POŁĄCZENIU
Z CNOTAMI: WSTRZEMIEŻLIWOŚCI,
POWŚCIĄGLIWOŚCI, POKORY, PILNOŚCI,
ŁAGODNOŚCI, ŁASKAWOŚCI, SKROMNOŚCI
W SŁOWACH I CZYNACH, UCZCIWOŚCI
I POCZUCIA WSTYDU.

ność, łagodność, łaskawość, skromność w słowach i czynach, uczciwość i poczucie wstydu. Dopiero w połączeniu z tymi cnotami można, według Akwinaty, w pełni realizować cnotę umiarkowania.

Umiarkowanie to dzisiaj zapomniana, a nawet wyśmiewana cnota, nieprzystająca do współczesnych czasów, w których otaczani jesteśmy zewsząd zachętami do tego, by chcieć wciąż więcej i więcej. By więcej konsumować, więcej kupować, więcej przeżywać, doświadczać, oddawać się przyjemnościom, bez miary i ograniczeń. Świat szaleje od dóbr wszelakich, a my mamy szaleć wraz z nim. Tymczasem umiarkowanie jest fundamentem ludzkiej wolności i mądrości. Pamiętać trzeba też o tym, że nie oznacza ono przeciętności, ale trzymanie się właściwej miary. I że nie można określić „złotego środka” bez odwołania się do materii działania i do działającego podmiotu, czyli bez zachowywania względu na to, kto działa, a także bez odniesienia do sposobu, miejsca i czasu tego działania. ■

Jakub Augustyn Maciejewski



RUSOFILIA

syndrom obniżonej odporności na propagandę Kremla

Gdy katolików kojarzono tam z diabeł, niektórzy uwierzyli, że Moskwa podporządkuje się papieżowi. Gdy siłą golono tam brody, a uczonych trzymano pod butem, niektórzy twierdzili, że imperium carów to kraj oświecony, a gdy mordowano miliony robotników – na Zachodzie wznoszono toasty za kraj klasy pracującej. Rosja to jedyny kraj na świecie, który potrafi się skutecznie przedstawić jako własne przeciwieństwo.



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.ORG

Władcy Rosji, niczym wróżka-cyganka, potrafią spojrzeć głęboko w oczy swoim potężnym rozmówcom i powiedzieć im to, co oni chcą usłyszeć. W zamian wydłużają Cesarstwa polityczne, technologie i kontrakty handlowe – i ta z pozoru banalna i infantylna taktyka sprawdza się na przestrzeni 500 lat. Przypatrzmy się tym cygańskim sztuczkom, na które zachodni decydenci są wyjątkowo mało odporni.

► Odkrycie Rosji

Wraz z upadkiem Bizancjum z jednej strony, a także rozpadem Złotej Ordy wzrosło zainteresowanie Wielkim Księstwem Moskiewskim. Moskwa była ostatnim suwerennym państwem prawosławnym, właśnie zrzuciła zwierzchnictwo tatarskich przywódców, a w dodatku miała w oczach środkowoeuropejskich monarchów jeszcze jeden atut – graniczyła z państwem Jagiellonów i mogła zaszachować potężną dynastię. To właśnie z Wiednia, stolicy Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, czyli I Rzeszy, wyjechali pierwsi dyplomaci, mający wysondować carów co do możliwości wywarcia presji na Wilno i Kraków, a może nawet sprowokować wojnę z Litwą i Polską.

Pierwsi wysłannicy austriackich Habsburgów byli jeszcze dość niezdarni, niezorientowani wobec tajemniczego carstwa z dalekiej północy, ale każdy z nich przecierał ścieżkę do aliansu Rosji i Niemiec, odwiecznego koszmaru Polski i Europy.

Pierwszym wysłannikiem cesarza, a konkretnie cesarza Fryderyka III, był Nikolaus Poppel (1435–1490), który napotkał na dworze Iwana III Srogiego tak odmienne wartości cywilizacyjne, że nie mógł wiele wskórać. Moskiewscy bojarzy byli tak nieobeznani w świecie i w polityce międzynarodowej, że oskarżyli go o spreparowanie listów cesarza! Dwór cara uznał po prostu, że oto przyjechał sobie człowiek powołujący się na cesarza niemieckiego, a będący być może polskim szpiegiem albo oszustem, który sam sobie napisał list – to pokazuje, jak prymitywny był dwór carów, nieznający pieczęci, form dyplomatycznych i niemający metod weryfikacji statusu dyplomatów.

A jednak Kreml wyciągał wnioski – następnych gości z Zachodu przyjmował już z innym nastawieniem, z nadzieją na wykorzystanie ich jako tuby propagandowe do swoich celów. Jednym z kamieni milowych tej przemiany było przyjęcie niejako doktryny państwowej „Trzeciego Rzymu”, sformułowanej w liście mnicha Filoteusza, który po zdobyciu przez Moskwę Pskowa w 1510 roku, napisał

do władcy, że „Moskwa jest trzecim Rzymem, czwartego nie będzie” – zbawienna rola Rosji została zakodowana w polityce imperium na całe stulecie, trwa zresztą do dziś.

Władcy prawosławni postanowili zająć polskopolitewskie ziemie o ruskiej kulturze, a mając taki długoterminowy cel, chętnie korzystali z każdej nadarzającej się okazji, jaką podsuwali im niemieccy monarchowie. Gdy cesarz Maksymilian wysłał do Moskwy Sigismunda von Herbersteina, perspektywy antypolskiego zbliżenia zaczęły nabierać konkretnych kształtów, dyplomaci Zygmunta Starego podejrzewali nawet, że podczas rozmów baron zaproponował carowi Wasylowi III podniesienie do rangi króla. Była to druga dekada XVI wieku, czyli szczyt potęgi Imperium Jagiellonów, a więc takie machinacje nie miały szans realizacji – Moskwa uczyła się jednak nadal, potrzebowała uniwersalnego klucza do manipulowania zachodnimi stolicami, a nie tylko stosowania polityki siły. Nadzieja przysła z samego Rzymu.

► Fałszywa religijność

Skoro sam Kreml ogłaszał, że jest przywiązany do Boga i Kościoła prawosławnego, to wielu zagranicznych obserwatorów odbierało to jako wyznacznik szczere. To zaskakujące, jak ważni duchowni katolicki dawali wiarę moskiewskim zapewnieniom.

Porównajmy dwie opinie kościelnych elit i niech czytelnik spróbuje zgadnąć, z której epoki pochodzą wypowiedzi. „Chrześcijaństwo w Rosji jest w lepszej kondycji [...] Bóg może wykorzystać Rosję [do dobrych celów]” – to jedna opinia. „Mogą istnieć dogodne sposobności dla Stolicy Apostolskiej utrzymywania z [Rosją] przyjaznych stosunków w celu wprowadzenia prawdziwego boskiego kultu w tym olbrzymim państwie” – to opinia druga.

Ta pierwsza padła z ust biskupa Athanasiusa Schneidera, współcześnie żyjącego hierarchy, zaś ta ostatnia została zanotowana w piśmie do papieża przez Antonio Possevina 435 lat temu! Obie wypowiedzi są tak podobne, wyrażają tę samą ufność w siłę prawosławia i szczerość wiary, jakby dotyczyły tego samego zjawiska!

I w jakiś sposób dotyczą – bo Moskwa z równą konsekwencją udaje wiernego naśladowcę nauk Jezusa, a robi to dla zyskania poklasku chrześcijańskich sojuszników. Biskup Schneider twierdzi dziś, że Władimir Putin może pełnić rolę starotestamentowego Cyrusa, który – choć sam był zły – uratował Naród Wybrany, podarowując im Ziemię Obieca-

na. Antonio Possevino wierzył, że car Ivan Groźny może jedną decyzją podporządkować sobie i swoje imperium papieżowi w Rzymie. Putin i Iwan IV Groźny cynicznie nabierali swoich rozmówców, słuchaczy czy wręcz wyznawców, łudzili wielkim przełomem w świecie chrześcijańskim, ale w zamian oczekiwali zgodzenia się z ich racjami. Biskup Schneider i prezydent Federacji Rosyjskiej mówią jednym głosem – że Unia Europejska jest już tak przegniła, że to zepsute społeczeństwo nie wykrzesa z siebie już moralności. Otrzeźwienie musi przyjść z Rosji. Mało tego, biskup pomocniczy Astany potępia całość polityki papieża Franciszka – a to postawa dalej idąca niż najśmielsze oświadczenia rosyjskiego przywódcy czy podporządkowanych mu prawosławnych hierarchów.

Antonio Possevino przybrał podobną postawę, ale na przełomie lat 70. i 80. XVI wieku. Jezuicki dyplomata, wykształcony i obyty w świecie, uwierzył carowi, że ten jest zainteresowany zakończeniem schizmy między Wschodem i Zachodem, pojednaniem Kościołów i być może uznaniem zwierzchnictwa Ojca Świętego. Co jednak trapiło moskiewskiego wielkiego księcia? Polska! Rzeczpospolita pod przywództwem króla Stefana Batorego właśnie zdobywała kolejne twierdze rosyjskie – Połock i Wielkie Łuki – aż wreszcie jej wojska zaczęły oblegać potężne i bogate miasto kupieckie – Psków. Car Ivan domagał się od jezuitów pośrednictwa w rokowaniach pokojowych z polskim monarchą, a najchętniej odstąpienia zajętych już twierdz.

Nic tak nie otwiera gościnności Kremla jak kłopoty polityczne lub ekonomiczne. Possevino być może jest zbyt ostro oceniony przez polskich historyków, którzy przypisywali mu głęboką naiwność, ale faktycznie duchowny nader często w rozmowie z Batorem roztaczał wizję wzajemnej koegzystencji Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Król zbywał papieskiego dyplomata, jak mógł, ale musiał podejmować negocjacje z carem częściej, niż chciał – wszak nie chciał zrazić Ojca Świętego i pokazać się jako nieczuły na interesy Kościoła. Possevino powoli orientował się, że słodkie słowa, które słyszał od Ivana, to obłudna gra. Wysłannik papieża dostawał raporty od swoich wysłanników do Moskwy: „Kiedy skarżyli się na niedotrzymanie przez księcia obietnicy, usłyszeli odpowiedź od pewnego mądrego człowieka, że książę co innego obiecuje cudzoziemcom, a co innego każe robić przystawom [ministrom – red.], zwłaszcza że on co innego mówi, a co innego robi”. A jednak kilkuletnia misja Possevina obracała się wokół płonnej nadziei, że Moskwa przejdzie na katolicyzm!

Tymczasem religijność Rosjan jest od wieków źle rozumiana przez zachodnich obserwatorów. W czasach dynastii Rurykowiczów i Romanowów była narzędziem ekspansji i wymuszania posłuszeństwa, zaś w dzisiejszej Rosji jest pozorem mającym uprawomocnić obronę kraju przed inwazją zachodniej demoralizacji. Kilku obwieszonych złotem metropolitów i straszenie, że Zachód jest diabelski (jezuita w rosyjskiej kulturze to symbol manipulanta), a Europa zepsuta (Europa – „gejropa” – mówią Rosjanie), nie czyni jeszcze z największego państwa na świecie obrońcy chrześcijaństwa. Kto powie, że Rosja jest krajem konserwatywnych wartości, gdy zobaczy, że według oficjalnych statystyk w 2018 roku w tym kraju odnotowano 661 tysięcy aborcji? To oznacza, że prawie co czwarta ciąża w tym kraju kończy się zabiciem nienarodzonego dziecka – a prawdopodobnie te statystyki są mocno zaniżone.

Jednak cóż to szkodzi zagrać serią pozorów, skoro wpływowi cudzoziemiec powróci do swojego kraju nie tylko z uznaniem dla rosyjskiej religijności, lecz także z kremlofską propagandą na ustach?

► Fałszywa modernizacja

Rusofilia oparta na przekonaniu, że rosyjskie imperium jest nowoczesnym państwem, to zdumiewające zjawisko. Naprawdę było tak, że ponad 80 proc. ludności nie знаła prawa własności do ziemi do lat 90. XX wieku (!) – bowiem chłopstwo uwłaszczono w 1861 roku, ale w ten sposób, że własność ziemi mieli oni jedynie w kolektywnej formie, a zanim zaczęli ją posiadać indywidualnie, przyszl bolszewicy, którzy zabrali im pola aż do 1991 roku.

Rosja jako jeden z ostatnich krajów europejskich pozwoliła sobie na „diabelski wynalazek”, jakim była kolej, i dopiero w 1838 roku pierwsza lokomotywa parowa przejechała tam swój pierwszy kilometr. Moskale bali się militarnego znaczenia torów kolejowych, wiedzieli, że przeciwnik może szybko przerzucić wojsko w głąb ich imperium. Kreml do tego stopnia był przerażony wynalazkiem, że nawet w negocjacjach z Imperium Osmańskim nalegał na budowanie tras kolejowych w Turcji, jak najdalej od swoich granic.

A jednak Zachód często wierzył w idee szybkiej modernizacji Rosji, uznawał, że kraj jest nowoczesny i mógłby imponować reszcie świata. Apogeum takiego myślenia przypadło na II połowę XVIII wieku, czyli rządy Katarzyny II Wielkiej. To wtedy salony Paryża dostawały hojne podarki z głębi rosyjskich przestrzeni, zwłaszcza sobole futra cieszyły

się powodzeniem jako niewinne prezenty. W tym czasie Denis Diderot wraz z całą instytucją zwaną encyklopedystami opracowywał siedemnastomowe dzieło, mające podsumować całą wiedzę ludzkości. Na 19 tysiącach stron znalazły się hasła, które były wprost sponsorowane przez carycę z Sankt Petersburga. Przykładowo definicja polskiego, szlacheckiego „rokoszu” zawierała określenie „nation tumultueuse”, czyli „naród awanturników”. Historia Rosji została tam przedstawiona jako przejście od czasów zatęchłej tradycji do rządów oświecenia Piotra I i właśnie carycy – mecenasa tychże encyklopedystów.

Ale szczytem naiwności i zakłamania podczas głoszenia tez o „zmodernizowanej” Rosji były czasy Związku Sowieckiego, zwłaszcza lat 30. XX wieku. Przypomnijmy, że to wtedy miały miejsce największe ludobójstwa, jak Wielki Głód na Ukrainie (6 mln ofiar) oraz stworzenie masowego systemu obozów koncentracyjnych Gulag, a Józef Stalin

szych stolicach, że w Związku Sowieckim panuje dobrobyt? Jak to możliwe, że przyjęcie na herbatce u Józefa Stalina przekonało – inteligentnych przecieź ludzi – do głoszenia, że to geniusz i zbawca ludzkości? Fakt agenturalnych i finansowych powiązań nie wyjaśnia wszystkiego.

Lewicowi intelektualiści zachowywali się podobnie jak niektórzy konserwatywni katolicy duchowni – dziś i w XVI wieku. Usłyszawszy od urzędników Kremla, to co chcieli usłyszeć, zobaczywszy to, co im starannie wybrano i zaprezentowano, wracali do swoich ojczyzn, opisując upiększoną rzeczywistość.

Częściowo szczerą spowiedź w tej sprawie zostawił po sobie kolejny wybitny, ruso- i sowietofilski pisarz, Arthur Koestler. W swojej międzywojennej publicystyce nazywał ZSRS „ziemią wielkiej obietnicy”, a wsiadając do wagonu jadącego na Wschód, czuł się, jakby miał „wsiaść do pociągu w dwudziesty pierwszy wiek”.

KOMUNISCI POTRAFIŁI ORGANIZOWAĆ WYCIEZKI DLA CUDZOZIEMCÓW W TEN SPOSÓB, ŻE ODWIEDZALI ONI FIKCYJNE DOMY DZIECKA ZE SZCZĘŚLIWYMI, DOBRZE ODŻYWIONYMI DZIECIAKAMI, KIEROWALI ICH DO POKAZOWYCH KOŁCHOZÓW, W KTÓRYCH BYŁ DOBROBYT. PUBLIKOWANE W SOWIETACH FAŁSZOWANE STATYSTYKI UWIARYGODNIAŁY PRZEKAZ.

przygotowywał się na podbój przynajmniej całej Europy – a może i świata. Ludzie zmuszani do morderczej pracy, zmilitaryzowanie całego społeczeństwa i absolutna cenzura nie tylko nie przeszkodziły w zachwycie zachodnich intelektualistów nad Sowietami, lecz wręcz pomogły pozyskać największe pióra literackie do wychwalania Stalina i sowieckiego komunizmu.

George Bernard Shaw (1856–1950) był zatem nie tylko autorem dramatów takich jak „Pigmalion”, lecz także zwolennikiem komunistycznych represji; Emil Ludwig nie tylko napisał szereg biografii ważnych postaci Europy, lecz także „hagiografię” Stalina, która pomogła przywódcy ZSRS zyskać wizerunek „obroncy pokoju”; Romain Rolland był nie tylko laureatem nagrody Nobla za 1915 rok, lecz także wyznawcą teorii, że tylko komunistyczna Moskwa zagwarantuje światu erę pokoju. Jak to możliwe, że wielu pisarzy, którzy odwiedzali dworce kolejowe, na których głodne dzieci błagały o okruszek chleba, zapewniało potem w europej-

Komuniści potrafili organizować wycieczki dla cudzoziemców w ten sposób, że odwiedzali oni fikcyjne domy dziecka ze szczęśliwymi, bawiącymi się i dobrze odżywionymi dziećmi, kierowali ich do pokazowych kołchozów, w których był dobrobyt, co więcej – podstawiano zagranicznym gościom „przypadkowych” przechodniów czy pasażerów, a de facto agentów NKWD, którzy mieli niby to mimochodem opowiadać o „przejściowych trudnościach”, ale jednak o nadziei i wierze w lepszą przyszłość. Publikowane w Sowietach fałszowane statystyki uwiarygodniały przekaz.

Jednak przenikliwi obserwatorzy widzieli też spektakularne słabości komunistycznego imperium. Widzieli, słyszeli, ale nadal opowiadali o przewagach technologicznych czy społecznych ZSRS. Koestler opisuje bardzo drobiazgowo swoje przynęcenie:

„Poczucie odcięcia do świata. Śmiertelna nuda prasy, w której na próżno było szukać czegoś krytycznego lub kontrowersyjnego, zbrodni, sensacji,

plotek, skandali obyczajowych, czegokolwiek, co ludzkie. Nieustanne apele i kazania, stereotypowa jednolitość wszystkiego, wszechobecne portrety Starszego Brata, który patrzył na człowieka z każdego kąta. Przytłaczająca beznadziejność uprzemysłowionego Neandertalu". Taka diagnoza wydawałaby się miażdżąca, zwłaszcza dla bywalców eleganckich i bez trosk salonów Paryża, Berlina i Rzymu, a jednak nie taki obraz przedstawiał się do świata w relacjach prasowych. Koestler wyjaśnia dlaczego: „Mimo to pozostałem wierzącym komunistą. Wraz z innymi towarzyszami z krajów zachodnich byłem przekonany, że warunki życia w Związku Sowieckim nie są wynikiem błędów w naszej doktrynie, ale zacołania sowieckiego społeczeństwa. W Niemczech, Austrii albo Francji rewolucja miała wyglądać zupełnie inaczej". Zatem to irracjonalna wiara, zbieżność własnych wyobrażeń z zapewnieniami cynicznych urzędników Rosji pozwalała pisać o szczęśliwości, której nie było, i perspektywach, które były podparte jedynie propagandą.

Choć przecież ludzie pokroju Koestlera sowieckiej rzeczywistości nie chcieli dla siebie „Wśród niemieckich komunistów w Rosji krążyło powiedzenie, które powtarzano sobie tylko szeptem: »Wir werden es besser machen« – »My zrobimy to lepiej«".

Podobnie jak gorliwi słudzy katolickiego Kościoła, marzący o powrocie świata prawosławnego pod zwierzchnictwo Rzymu, tak i postępowi komuniści chcieli wierzyć, że na pewne rzeczy da się przymknąć oko, byle tylko znaleźć w rozległym imperium przyjaciela i sojusznika. „Przekonanie, że »zrobimy to lepiej«, pozwoliło mi zachować wiarę w komunizm. Nie była to już owa naiwna wiara sprzed roku, z którą wsiadałem w Berlinie do pociągu, spodziewając się, że pojadę nim prosto do Utopii. Stała się wiarą cokolwiek tęską i ezoteryczną, ale tym trudniejszą do zachwiania. Wierzyłem teraz w komunizm nie ze względu na przykład Związku Sowieckiego, ale pomimo niego. A wiara wyznawana »pomimo czegoś« jest zawsze trwalsza i mniej podatna na rozczarowania niż ta, którą wyznaje się »ze względu na coś«".

► Reduta tradycji, czołg postępu

Warto odnotować, że wizerunek Rosji potrafił prezentować się naprzemiennie jako progresywny albo odwołujący się do ładu i porządku. W XVI wieku Kreml przedstawiał możliwość powrotu do katolickiej tradycji, w XVIII wieku jako pochodnia oświecenia, w XIX wieku znów jako strażnik konserwatywnego ładu (przed demokracją i socjalizmem), zaś w wieku XX – jako czołg postępu (ko-

munistyczny właśnie!). Dziś wiele środowisk konserwatystów europejskich, choć i niektórzy publicyści krążący wokół środowiska politycznej koalicji Konfederacja, spogląda na Putina jako „katechon", powstrzymywacza „gejtropy", ostoji chrześcijaństwa.

Znów kilka pozorów wystarczy, by oszukać obserwatorów – ludziom Frontu Narodowego Marine Le Pen wydaje się, że jak policja pobije aktywistów LGBT na ulicach Moskwy, to znaczy, że ochroni rodziny europejskie przed lewacką indoktrynacją. Possevino też wiele sobie obiecywał po życzliwych podarkach Iwana Groźnego, a Koestler na widok wielkich placów budów widział już oczami wyobraźni krajinę nowoczesnego przemysłu.

Pięćsetletnia praktyka Kremla, by czytać oczekiwania swoich cudzoziemskich obserwatorów, stopniowe dostosowywanie obietnic i pokazów do wiary i przekonani odbiorców, zaczęły wywierać odpowiednie wrażenie. Na to nakładała się bezkresna przestrzeń, tajemniczość, egzotyczność największego kraju świata. Jak pisał historyk i roszonawca Jan Kucharzewski, „Wszyscy ci władcy, od Iwanów do Katarzyny i Mikołaja, posiadli dar imponowania światu swą potęgą, bardziej powierzchowną niż istotną, w każdym razie nie mającą trwałych podstaw w organizacji społecznej i wewnętrznym ładzie".

Ale Kucharzewski, twórca teorii kontynuacji, o podobieństwie Rosji carskiej i bolszewickiej, o wyrośnięciu jednej z drugiej, pozostawił też szerszy opis tej sztuki manipulacji. Nie da się tego wirusa rusofilii opisać lepiej, niż zrobił to autor „Od białego do czerwonego caratu":

„Przeceniając potęgę materialną caratu, Zachód nie doceniał czynników duchowych tej potęgi. Nie miał pojęcia o ogromie ambicji i pychy, o wytrwałości, ciągłości i przebiegłości polityki moskiewskiej. Ta nieświadomość sprężyn duchowych cechuje stosunek Zachodu do Rosji od dawnych do najnowszych czasów. Skutkiem tego był fakt paradoksalny, że Moskwa, jakkolwiek ciemna i barbarzyńska, od początku lepiej przenikała politykę państw europejskich [...]. U Moskwy, przy zetknięciu z Zachodem, obudzona była od początku podejrzliwość i czujność na to, aby oświeceni Europejczycy nie podeszli Moskali i nie użyli potęgi moskiewskiej dla swoich własnych celów. Polityka Moskwy, od pierwszego zetknięcia z Europą, jest ostrożna niedowierzająca, pełna rezerwy, lękająca się o to, by nie ulec przemożnemu kunsztowi Zachodu. Ta cecha przetrwała w polityce rosyjskiej na stałe".

Tomasz P. Terlikowski



Nie byłoby walki z niewolnictwem ani prawa międzynarodowego, gdyby nie kilku odważnych dominikanów. To oni, gdy niewolnictwo było czymś naturalnym, a rzezie Indian usprawiedliwiano religijnie, rozpoczęli wielką walkę z tymi działaniami.

EWANGELICZNE ŹRÓDŁA WALKI Z RASIZMEM

Zaczniemy od kilku fundamentalnych faktów. Chrześcijanie, gdy rozpoczynał się proces odkrywania Nowego Świata, byli przekonani nie tylko o tym, że ich kultura jest lepsza, lecz także, że ich kolor skóry, a także wyznawana religia pozwala im wykorzystywać pracę i niszczyć państwa indiańskie czy zniewalać czarnych. I choć opinie takie nie zostały nigdy (w nieomylnym nauczaniu Kościoła) poparte stanowiskiem papieskim, to... dla umacniania ich wykorzystywano także omylne decyzje kolejnych biskupów Rzymu, a także ogromne ilości zapisanych przez poważnych niekiedy teologów. W efekcie usprawiedliwiano nie tylko podbój, grabież, niewolnictwo, lecz także zakaz święceń kapłańskich dla Afrykańczyków i Indian, a nawet odmawiano im prawa do składania normalnych ślubów zakonnych. A wszystko to oczywiście pod pozorem troski o zachowanie prawdziwej wiary.

► Teologia konkwistadorów

Konkwistadorzy, okrutnie pacyfikujący i wykorzystujący Indian i dewastujący ich kultury, byli przekonani o tym, że mają za sobą mocne argumenty, i to religijne. Teologowie konkwisty, choćby najbardziej znany z nich Francisco Lopez de Gomara, przekonywali, że „konkwista wobec Indian rozpoczęła się, gdy dobiegła końca konkwista wobec Maurów, a to dlatego, że Hiszpanie muszą zawsze prowadzić wojnę z niewiernymi”. I nie było to tylko słowa teologów, lecz także ideologia wojowników. Hernán Cortés na swoich sztandarach nosił dumnie krzyż połączony ze słowami cesarza Konstantyna: „in hoc signo vincemus”, a w swoich dziennikach notował: „jako chrześcijanie jesteśmy zobowiązani do walki przeciwko wrogom naszej wiary i dzięki temu osiągnąć chwałę w następnym życiu, a w tym wielkość i szacunek następnych pokoleń”.

Fundamentem tego myślenia było papieskie Requirimiento Aleksandra VI, które przyznawało królom Hiszpanii prawo do przejmowania ziem w Indiach Zachodnich. Indianie, według tego dokumentu, otrzymywali wybór: mogli uznać zwierzchnictwo Hiszpanii albo liczyć się ze strasliwymi konsekwencjami, w tym wojną na wyniszczenie. Znany wówczas i szanowany prawnik Juan López de Palacios Rubios przedstawił w dwóch traktatach prawne, biblijne i filozoficzne uzasadnienie podbojów. Prawo do wojny z niewiernymi (czyli właśnie Indianami) miała, według niego, Księga Powtórzonego Prawa. „Jeśli podejdziesz pod miasto, by z nim prowadzić wojnę, [najpierw] ofiarujesz mu pokój, a ono ci odpowie pokojowo i bramy ci otworzy, niech cały lud, który się w nim znajduje, zejdzie do rządu robotników pracujących przymusowo, i będą ci służyli. Jeśli ci nie odpowie pokojowo i zaczniesz z tobą wojować, oblegniesz je” (Pwt 20, 10–12) – cytował słowa Biblii i przekonywał, że wła-

śnie one pozwalają prowadzić wojnę przeciwko państwom pierwotnych mieszkańców Ameryki.

Argumentem za ich wykorzystywaniem do bezpłatnej pracy dla hiszpańskich przybyszów był fragment z księgi Jozuego. „[...] nie mogli oni wypędzić Kananejczyków, zamieszkujących Gezer, i Kananejczycy pozostali pośród Efraima aż po dzień dzisiejszy, jako robotnicy pracujący przymusowo” (Joz 16.10). Argumenty za zniewoleniem Indian znalazł Palacios Rubios także w „Polityce” Arystotelesa, z której wyciągnął fragment dotyczący tego, iż część ludzi z natury nie jest stworzona do wolności. Arystotelesowskie myślenie o naturalnie uwarunkowanym niewolnictwie posłużyło za uzasadnienie hiszpańskich interesów kolonialnych. Absolutnym fundamentem zaś tego myślenia była doktryna o władzy absolutnej papieży, z której rzekomo miało wynikać, że sprawuje on suwerenną władzę nad terytoriami niechrześcijańskimi.

► Dominikanie na froncie walki o prawa niechrześcijan

Teoria ta spotkała się jednak z ostrym odporem trzech hiszpańskich dominikanów, którzy nie tylko wykazali jej nieewangeliczność, lecz także niezgodność ze średniowiecznym prawodawstwem, a przy okazji zbudowali podwaliny pod nowożytne prawo międzynarodowe. Mowa o Francisco de Vitoria, Domingo de Soto i Bartolomé de Las Casas. Dwaj pierwsi, choć świetnie znali sytuację w Indiach Zachodnich, nigdy tam nie byli, ostatni przez lata był beneficjentem tego systemu, korzystał z pracy niewolniczej Indian, a nawet uczestniczył w pacyfikacjach ich powstań, by po dramatycznej przemianie wewnętrznej zacząć walczyć zarówno z metodami hiszpańskiej konkwisty, jak i systemem encomienda, który w początkowym okresie oznaczał w istocie niewolnictwo, a później stopniowo upodobił się do pańszczyzny. W największym skrócie system ten polegał na tym, że konkwistador wraz z ziemią otrzymywał przypisaną do niej Indian, a także prawo do ściągania z nich trybutu należnego koronie hiszpańskiej. W zamian zobowiązywał się do opieki i ewangelizacji. W praktyce jednak... oznaczało to zazwyczaj bezlitosny wyzysk Indian. Korona kilkakrotnie próbowała ograniczyć ten system, ostatecznie zakazała dziedziczenia encomienda. W 1718 roku wszystkie one przeszły na własność króla, a dochody z nich miały służyć obronności. Mimo to pozostałości systemu przetrwały, aż do początków XIX wieku, a jego śladem obecnie są wielkie latyfundia i mocne ograniczenie praw własności Indian.

Argumentacja Las Casas przeciwko systemowi wyzysku, ale także polityce podbojów hiszpańskich, miała wymiar zarówno religijny, jak i prawny. Zwracał on uwagę na fakt, że władza duchowa, jaką sprawuje papież, nie

istnieje poza Kościołem, a to oznacza, że nie może odnosić się do suwerenności państwa lub jej braku. Ojciec Święty nie miał zatem prawa oddać suwerenności państw pierwotnych mieszkańców Ameryki w ręce Hiszpanów. A nie miał go, bowiem suwerenność danego państwa, prawo do państwowości należy do naturalnych praw ludzkich, których nie znosi fałszywa religia, jaką one wyznają.

Hiszpański dominikanin (a później biskup) miał mocne argumenty w rękach, bowiem przypominał, że już papież Innocenty IV w 1250 roku jasno wskazał, że państwa niewiernych (wówczas chodziło o muzułmanów) istnieją prawomocnie i sprawiedliwie, i nie można – bez odpowiednich religijnych powodów – likwidować ich. Poważnym i religijnym powodem – głosił zaś papież,

► Katolickie źródła walki o prawa ludzkie

Nieco ostrożniejszy w tezach dotyczących ewangelizacji czy ewentualnej kontroli na ziemiach Indian był inny dominikanin Francisco de Vitoria. Jego zdaniem Hiszpanie mogli, ewentualnie, i to w pewnych wypadkach, kontrolować ziemie indiańskie, ale tylko po to, by umożliwić ewangelizację, i ze świadomością, że władza i zarządzanie muszą zostać na powrót przekazane pierwotnym mieszkańcom tych ziem. Ten łagodniejszy wobec konkwistadorów ton w niczym nie zmienia faktu, że także Vitoria uważał, że pierwotni mieszkańcy Ameryki mają prawo do wolności, własności, terytoriów i do samorządu. Ewangelizacja jako jedyny powód, dla którego wolno wkraczać na tereny indiańskie i ewentualnie przejmować

CHOĆ CHRZEŚCJANŚCY MISJONARZE POJAWILI SIĘ W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ RAZEM Z KONKWISTADORAMI, A PÓŹNIEJ KOLONIZATORAMI, TO CZĘŚĆ Z NICH, PODOBNIK JAK CZĘŚĆ HISZPAŃSKICH TEOLOGÓW, OD POCZĄTKU BYŁA PRZECIWNĄ ZARÓWNO METODOM KONKWISTADORÓW, JAK I SYSTEMOWI KOLONIALNEMU.

a powtarzał to po nim Las Casas – nie był brak prawdziwej wiary, a dopiero wyznawanie praw, które naruszają prawo naturalne. Hiszpański duchowny uznał, że powodów, dla których można wypowiedzieć wojnę państwu władanym przez niechrześcijan, a także odebrać im prawomocność, jest zaledwie kilka i żaden z nich nie odnosi się do sytuacji w Indiach Zachodnich. Pierwszym z nich jest sytuacja, w której państwo takie przemocą okupuje tereny chrześcijańskie, drugim, gdy popełnia wielki grzech idolatrii, trzecim bluźnierstwa przeciwko Jezusowi, gdy świadomie odmawia prawa do głoszenia Ewangelii, gdy prowadzi wojnę z chrześcijanami, i wreszcie, gdy trzeba bronić niewinnych przez ich działania.

Oczywiście nie da się wykluczyć, że w niektórych z miejsc, poddanych władzy Hiszpanii, łamane są prawa naturalne lub bluźni się przeciwko Jezusowi, ale... nie wolno skazywać ludzi na niewolę bez odpowiedniego procesu. Papież, gdyby chciał ewentualnie przekazać prawo do walki z prawami sprzecznymi z naturalnymi jakiemuś krajowi, musiałby pozwolić na proces i wysłuchać argumentów pierwotnych mieszkańców Ameryki. Inaczej jego działanie byłoby bezprawne. Wszystko to prowadziło do wniosku, że Hiszpania nie ma prawa prowadzić działań wojskowych w Nowym Świecie, i nawet ewangelizacja może dotyczyć się wyłącznie za zgodą samych zainteresowanych.

wać nad nimi kontrolę polityczną (ale z zachowaniem wszystkich pozostałych praw do wolności, własności, terytorium), prezentował Domingo de Soto.

Te mocne argumenty hiszpańskich prawników, kanoistów i teologów scholastycznych były, wbrew temu, co się może wydawać, uważnie słuchane w Hiszpanii. Cesarz Karol V, choć niekiedy ostro polemizował, a nawet nakazywał milczenie dominikanom z Salamanki (tam mieszcza się najmocniej broniąca praw Indian szkoła prawnicza), często bronił praw indiańskich, postulował ograniczenie systemu encomienda, odbierał władzę najbardziej okrutnym konkwistadorom. A może lepiej powiedzieć, że próbował to wszystko zrobić, bo... władca był daleko, nie mógł kontrolować wszystkiego, a do tego naprawdę cieszyły go gigantyczne zyski płynące z Ameryki. Często więc, wbrew własnym prawom, przysmykał oczy na to, co tam się działo. Warto jednak pamiętać o tym, że choć chrześcijańscy misjonarze pojawili się w Ameryce Łacińskiej razem z konkwistadorami, a później kolonizatorami, to część z nich, podobnie jak część hiszpańskich teologów, od początku była przeciwna zarówno metodom konkwistadorów, jak i systemowi kolonialnemu. Oczywiście nie byli to wszyscy chrześcijanie ani wszyscy duchowni, ale to właśnie ich głos dał początek zupełnie nowemu spojrzeniu na prawo międzynarodowe i na prawa naturalne. Warto o nich pamiętać, bo także oni uświadamiają, że niekiedy rację ma mniejszość, i to ta bezsilnego zaplecza politycznego. ■



Małgorzata Matuszak



W LEWO ZWROT!

Żyjemy w czasach, w których następuje błyskawiczny przepływ trendów kulturowych, a ludzie przestają się trzymać zasad odziedziczonych po poprzednim pokoleniu. Tymczasem społeczeństwem bez korzeni, wiary i historii można łatwo manipulować. Dokąd nas to jednak zaprowadzi?

Zmieniają się czasy, zmieniają obyczaje. Pewne wartości ożywają, inne usuwają się w cień. Zmienia się człowiek, jego nastawienie, potrzeby, cele, którymi kieruje się w życiu. Wszystko to jest naturalne, musimy jednak zastanowić się, czy w tym postępie nie zatracamy czegoś, co było naszą chlubą, co nas definiowało i czyniło ludźmi, dla których ważne są tradycyjne wartości. Jesteśmy już nie tylko zachęcani, ale zmuszani wręcz, by akceptować rzeczy, które zasługują raczej na odrzucenie, by rozumieć coś, co możliwościom zrozumienia się wymyka. W imię tolerancji wmawia się nam, że mamy akceptować inność bezgranicznie i bezkrytycznie. Czy jednak mamy przestać myśleć?

► Rasizm zwalczany rasizmem

Black Live Matters przedstawia siebie jako ruch, który ma na celu walkę z rasizmem i nierównym traktowaniem czarnoskórych mieszkańców w USA. Od czasu jego powstania w 2013 roku regularnie prowadzi kampanie przeciwko przemocy i rasizmowi systemowemu wobec czarnoskórych. Nie ulega wątpliwości, że hasła przez nich głoszone są szczytne. Rasizm jest zły i nie można akceptować jakichkolwiek jego przejawów. Jednak niektóre działania ruchu, który za cel stawia sobie przeciwdziałanie dyskryminacji, przeradzają się niestety w swoje przeciwieństwo.

Yusra Khogali, liderka Black Lives Matter, na jednym z portali społecznościowych opublikowała na przykład post pełen rasizmu i nienawiści względem białych ludzi. Stwierdziła w nim, że „biała rasa nie jest naturalna, w rzeczywistości jest ona oznaką bycia »podczłowiekiem« i że „wszystkie fenotypy pochodzą od rasy czarnej, a biała rasa to tylko genetyczny defekt”. Podała na to kilka „dowodów”, m.in. ten, iż ludzie o białym kolorze skóry „mają wyższe stężenie inhibitorów enzymatycznych, które hamują produkcję melaniny”, która „sprawia, że czarna skóra lepiej przyjmuje światło i zachowuje je w »trybie pamięci«”. To oznacza, że czarna skóra przetwarza światło na wiedzę i pobiera ją wprost z energii kosmicznej, z którą się w ten sposób komunikuje”. Według jej opinii owa wyższość genetyczna rasy czarnej nad białą powoduje, że tę drugą można łatwo wyeliminować – wystarczy, by czarnoskórzy mężczyźni zaczęli przekazywać swoje geny poprzez seks z białymi kobietami.

Po śmierci George’a Floyda znów zaczęło być głośno o lewicowej organizacji Antifa, mieniącej się jako bojownicy w walce przeciwko przejawom faszyzmu oraz rasizmu. Nie dość, że pojawiały się oskarżenia, iż prowokatorzy z Antify podburzali tłum

i sprawiali, że pokojowe manifestacje zmieniały się w zamieszki i rabowanie sklepów, to zaczęli tworzyć specjalne strefy, gdzie mogą przebywać tylko czarnoskórzy obywatele USA. Dodatkowo, w celu ochrony, strefy te zostały otoczone strażnikami, z których niemal wszyscy byli biali. Mieli oni pilnować, by żadna nieczarnoskóra osoba nie przedostała się do wewnątrz odseparowanej części parku. Czy o to chodziło całemu pokoleniu czarnoskórych walczących o równouprawnienie? Nie można jednego rasizmu zastępować innym!

► Wszystko musi runąć

Inny lider ruchu Black Live Matters, Shaun King, napisał niedawno na Twitterze: „Tak, myślę, że posągi białego Europejczyka, o którym twierdzą, że jest Jezusem, powinny także być zburzone. Są one formą białej supremacji. Zawsze były. W Biblii, kiedy rodzina Jezusa chciała się ukryć i wtopić, zgadnijcie, dokąd się udała? Do Egiptu! Nie Danii. Zburzyć je”. King nie poprzestał na jednym wpisie na Twitterze. W kolejnym komentarzu dodał: „Tak. Wszystkie malowidła ściennie i witraże białego Jezusa i Jego europejskiej Matki oraz ich białych przyjaciół powinny także runąć. Są one rażącą formą białej supremacji. Stworzone jako narzędzia ucisku. Rasistowska propaganda. Wszystkie powinny runąć”.

King jest osobą wpływową, mogącą się poszczycić milionem „followersów” na Twitterze, a w 2018 roku magazyn „Time” uznał go za jednego z 25 najbardziej wpływowych internautów. Jego komunikat stanowił więc wielkie zagrożenie.

I niestety, pomniki są burzone. W Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Holandii... 19 czerwca na przykład w San Francisco podczas zamieszek przeciwko rasizmowi i przemocy policji obalony został z cokołu pomnik św. Junipera Serry. Było to „aktem bluźnierstwa, aktem złego ducha, który chce obalić Kościół i chrześcijan” – jak stwierdził abp Salvatore Cordileone, metropolita San Francisco. W dodatku świadczącym o nieznajomości historii – św. Junipero był bowiem wielkim bohaterem i obrońcą ludności tubylczej.

W imię walki z rasizmem i dyskryminacją czarnoskórych 22 czerwca zdewastowano polski pomnik Czarnej Madonny w Bredzie, w Holandii. Obraz Matki Boskiej został spryskany czarnym sprayem, a na ołtarzu napisano „BLM”. Choć ruch temu zaprzeczył, to niderlandzkie media były przekonane, że za tym aktem wandalizmu stoją przeciwnicy dyskryminacji rasowej. I znów zniszczenie to świadczyło o nieznajomości historii. Pomnik Czarnej Madonny został bowiem подарowany Polakom przez władze miasta w 10. rocznicę wyzwolenia Bredy, w której biało-czer-

woni żołnierze mieli ogromny udział. Tego aktu wandalizmu nie sposób zrozumieć, zważywszy jednak na kontekst, w którym sytuacja ta miała miejsce, nie można zrozumieć jeszcze bardziej. W imię czego to wszystko?

► Uderzenia w wartości i tradycję

„Czarne życie się liczy”, to oczywiście, jednak nie można walczyć z rasizmem w sposób tak absurdalny, jak miało to miejsce ostatnimi czasy. Trudno nie odnieść wrażenia, że tego rodzaju antydyskryminacyjne hasła i działania mające rzekomo na celu walkę z nierównością rasową mają inny cel – uderzenie w wartości, tradycję i wiarę. Jak bowiem rozumieć stwierdzenie George’a Kinga, który uważa na przykład, że Boże Narodzenie i Wielkanoc to również „narzędzia białej supremacji”? Jak rozumieć jego słowa, że „biały, eurocentryczny Jezus może być wygodny dla milionów, ale jest On kłamstwem sporządzonym po to, by podtrzymywać właśnie te systemy rządzenia i religijnego ucisku, przeciwko którym biblijny Jezus się w rzeczywistości wypowiedział”?

Kościół jest atakowany, gdyż należy do tej historii i tradycji, którą chce się dziś za wszelką cenę zanegować. Kto zaś zaprzecza tej tradycji, ten przyczynia się do tego, że coraz bardziej się z niej wykorzenia. Jest to bardzo niebezpieczne, społeczeństwem bez korzeni, wiary i historii można bowiem łatwo manipulować. Żyjemy w czasach, w których następuje błyskawiczny przepływ trendów kulturowych, a ludzie przestają się trzymać zasad odziedziczonych po poprzednim pokoleniu. Dokąd nas to jednak zaprowadzi?

Szczególnie niepokoi fakt, że zaczynają podważać naszą tradycję i historię ci, którzy powinni stać na ich straży. Arcybiskup Justin Welby, który w praktyce jest głową Kościoła anglikańskiego, nawiązując do słów George’a Kinga i ostatnich działań ruchu Black Live Matters, stwierdził, że należy przemyśleć to, czy Jezus powinien zawsze być pokazywany jako mężczyzna o białym kolorze skóry, i zastanowić się, czy takie wizerunki zawsze są adekwatne. I że rzeźby przedstawiające Chrystusa, znajdujące się w najważniejszej anglikańskiej katedrze, w Canterbury, powinny zostać poddane „dyskusji”.

► Transformacja Kościoła „od dołu”

Kościół to tradycja i historia. Niestety, jest dziś atakowany nie tylko z zewnątrz, lecz także „transformowany od spodu”, jak mówi w wideo przeznaczonym dla tzw. katolików LGBTQ teolog dr Jason Steidl. Film ten został przygotowany zamiast konferencji „Outreach 2020”, która miała się odbyć na Uniwersytecie Fordham w Nowym Jorku w dniach 18–20 czerwca, ale została odwołana z powodu trwającej

epidemii koronawirusa. Znajdziemy w nim wiele wypowiedzi, które są pozornie tylko zgodne z nauką Kościoła, a nawet z nią sprzeczne. Jak choćby wypowiedź Isha Ruiza, nauczyciela studiów religijnych, który najpierw cytuje Ewangelię św. Mateusza: „Ten właśnie kamień, który odrzucili budujący, stał się głowicą węgla. [...] I jest cudem w naszych oczach” (Mt 21,42), a później stwierdza: „I myślę o katolikach LGBT jako o takich, jako »głowicach węgla« dla naszego Kościoła. Dlaczego? Ponieważ są odważni, są autentyczni, walczą o sprawiedliwość i inkluzywność, tworzą bezpieczne przestrzenie dla tych, którzy są marginalizowani”.

W filmie zabiera głos także ks. Greg Greiten, który otwarcie mówi o swoim homoseksualizmie i pełni posługę w Milwaukee. Do „katolików LGBTQ” zwraca się tymi słowami: „Jesteście OK właśnie takimi, jakimi was Bóg stworzył. Bądźcie tacy, jacy jesteście, wniescie swoje dary do świata i niech wasze światło świeci, by wszyscy zobaczyli”. W podobnym tonie wypowiada się także ks. Bryan Massingale: „Bóg stworzył nas w taki sposób. Nosimy Boży obraz i odbicie”.

Jak to się dzieje, że treści, które zawarte są w filmie, mogły znaleźć wsparcie u hierarchów Kościoła katolickiego? U osób zakonnych, księży i teologów? Że w USA w połączonych parafiach pw. Matki Bożej Łaskawej i św. Józefa w Hoboken w stanie New Jersey została odprowadzona przez księdza Alexandra Santora, za pozwoleniem kardynała Josepha Tobina z archidiecezji Newark, „Msza dumy” homoseksualnej? Ksiądz Santor podczas kazania stwierdził: „Odrzucamy stare uprzedzenie i świętujemy dumę w naszej wspólnocie LGBT, ponieważ stajemy się wówczas lepszymi ludźmi i lepszymi katolikami”. Powiedział także, że należy „zburzyć mury” w Kościele w związku ze sprzeciwem wielu wobec homoseksualizmu i „postrzegać siebie nawzajem jako braci i siostry bez etykietek”.

► Nie możemy być pasywni

Lewicowe poglądy są nam narzucane w coraz bardziej wyraźny, a nawet agresywny sposób. Często ubrane są we wzniosłe słowa i przemycane w ideach walki ze złem. Patrząc jednak na smutne skutki rugowania kultury chrześcijańskiej z życia społeczeństw Zachodu, nie możemy być w Polsce pasywni. Musimy być czujni, uważnie odróżniać to, co naprawdę jest walką w słusznej sprawie, a co ją tylko udaje. Nie możemy dać się zmanipulować przez wszechobecną „poprawność” i dać sobie wmówić, że „niepoprawne” są wypowiedzi, w których bierze się w obronę to, co najważniejsze. „Czarne życie jest ważne”, osoby ze środowiska LGBTQ są ważne, nie można jednak dać się bezkrytycznie ponieść ideologii, która towarzyszy głoszonym przez te ruchy poglądom. ■



Ewa Polak-Palkiewicz



COSIK NOWEGO

Nie jest dziś w modzie bycie w opozycji wobec obecnej mentalności, która relatywizuje wszystko, a prawda jest jej doskonale obojętna lub wroga. Nie jest w modzie tak „skrajnie” i jednoznacznie przeciwstawiać się duchowi świata, tak ostro odcinać się od tego, co zyskało już pieczęć i certyfikat jako schemat obowiązujących przekonań i poglądów. „Tak, ale” jest pozycją taktyczną i strategiczną; myślenie proste i jednoznaczne – pod prąd tendencjom współczesności – jest przyjmowane nieprzyjaźnie, ze zdziwieniem lub z przymrużeniem oka. To ta płynąca z szerokiego świata nowość, ta „nowoczesna” i ożywcza moda. Ten kapelusik z piórkiem innego kroju, „cosik nowego”.

Nawet najbardziej atrakcyjna i udana – z punktu widzenia zwycięstwa naszego kandydata – kampania wyborcza zawiera w sobie coś żenującego. Ciężka sprawa. Osobiście czuję wielkie zmęczenie z powodu konieczności tak długiego obcowania z powiększonymi twarzami kandydatów opozycji, obecnymi w zbyt wielu miejscach, a z tymi ludźmi nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego.

Że musiałam (siłą rzeczy) wysłuchiwać ich porzrykiwań, słuchać wulgarного języka, obcować z demagogią, agresją, z małymi i większymi kłamstwami, słowem, z całym instrumentarium współczesnych kampanii wyborczych. Udział w tym Andrzeja Dudy (nieuchronny), choć tak bardzo kontrastował ze stylem konkurentów, pogłębiał poczucie upokorzenia.

Tak prymitywnymi chwytami kandydaci opozycji chcą osiągnąć poparcie, zdobyć władzę? Stratedzy ich kampanii nie uznają, że jako ludzie tacy sami jak oni posiadamy rozum, potrafimy dotrzeć do informacji, porównać i ocenić, co reprezentują sobą kandydaci, dokonać wyboru – który dla normalnego Polaka jest oczywistością.

Chciałoby się zapytać: za kogo, panowie, nas macie? Uważacie, że jesteśmy stadem, że trzeba nas przeciągnąć siłą fajerwerków? Obietnicami bez pokrycia, szkalowaniem przeciwnika?

Ale ten cały smutny cyrk – choć może on mieć też (teoretycznie) swoje pozytywne strony, należy do nich na przykład debata, w której respektuje się zasady dyskusji między ludźmi, czy rozmowa wyborców ze swoim kandydatem – pokazuje jednak niezbicie, że wbrew deklaracjom system zwany szumnie demokracją jest dziś niczym wrzaskliwy wschodni bazar, pełen pospolitych naciągaczy. Pękający od zawodowych oszustów, tych, którzy dla własnych korzyści chcą nas oszołomić jazgotem, obezwładnić tandetnymi sztuczkami. Odbieranie dobrego imienia człowiekowi, który reprezentuje najwyższą władzę państwa, stało się specjalnością tej dziwacznej konkurencji, sporządzonej na wschodnią jarmarczną modłę. (W tej sytuacji jedyną obroną jest wyłączenie przycisku, odcięcie się od całego kampanijnego przekazu; zaczyna to praktykować coraz większa liczba ludzi. „Dajcie mi spokój, wiem, jak głosować”).

Złe obyczaje stają się swego rodzaju wzorcem dla tysięcy ludzi, z prostego powodu – praktykują je nie tylko najbardziej agresywne media, lecz także ludzie pretendujący do najwyższego urzędu w państwie. Chwała Andrzejowi Dudzie, że nie zniżył się do tego poziomu, że swoją postawą broni kultury przypisanej naszej cywilizacji. Obrona pań-

stwa to także obrona jego szlacheckiej kultury, jego literackiego języka, obrona odwiecznych zasad.

Jeżeli broni się kultury, języka, zasad – i to w warunkach, gdy są one tak powszechnie poniewierane, gdy niemal przemocą narzuca się innym styl łąmiący wszelkie normy – to jest to de facto obrona prawdy. Bronić jej można nie tylko wprost, przedstawiając fakty i dane liczbowe, lecz także reprezentując sobą styl, maniery, postawę, która budzi respekt zwyczajnych, uczciwych ludzi.

Większość kandydatów w tegorocznej kampanii wyborczej swoim sposobem bycia i retoryką udowodniła, że wyborcy są dla nich mierzwą ludzką, kimś, kim pogardzają.

► Tyle hałasu o nic

Gdy świat wokół nas robi się coraz bardziej wrzaskliwy, brutalny i agresywny, gdy media – rzekomo w poszukiwaniu nowych obszarów oddziaływania – przestają respektować jakiekolwiek normy obyczaju i kultury (i nawet te nam bliskie stają się wiernymi naśladowcami tych najdalszych, á rebours), gdy rozpaczliwie rozglądamy się wokół, by znaleźć nosiciela autorytetu, kogoś, kto w sposób niepodważalny reprezentowałby największe walory umysłu cywilizowanego człowieka, a przy tym dystynkcję, godność urzędu, który sprawuje, kto odważnie i wbrew wszystkiemu głosiłby prawdę, nie tylko tę o stanie naszego państwa i jego przyszłości, lecz także dawałby powody, że dostrzega główny cel istnienia państwa, cel istnienia każdej społeczności i każdego ludzkiego życia, przychodzi nieuchronnie na myśl jeden z nielicznego grona świętych papieży (w całej historii Kościoła było ich bardzo niewielu, do ostatniego Soboru zaledwie pięciu – poza, rzecz jasna, rzeszą męczenników pierwszych wieków) – św. Pius V.

Tak, to ten, za którego pontyfikatu miał miejsce Sobór Trydencki (1545–1563). Ten sam, którego uznaje się za sprawcę powstrzymania nawałnicy tureckiej w Bitwie pod Lepanto (na pamiątkę tego zwycięstwa 7 października 1571 roku Kościół obchodzi święto Matki Boskiej Różańcowej). I ten, który tak lubił przechadzać się wśród stosów, na których płonęli heretycy.

Naprawdę. Dziś okrzyknięty byłby jako wstrząsający symbol nietolerancji, przemocy i okrucieństwa. Wytykany palcami, strącony z tronu, uwięziony, zakneblowany. Może nawet strącony. Jako zjadły wróg wolności, przeciwnik człowieka. Ten, który zamachnął się na dzisiejszą świętość: całkowitą i bezapelacyjną wolność słowa.

Tak jest. Dziś bowiem historię Kościoła – i co za tym idzie, historię człowieka – piszą od nowa i popularyzują ludzie, którzy innych traktują jak mierzwę. Wtórno ich analfabetów. Kompletnych ignoratów. No i dziś mamy Kościół zupełnie inny, odnowiony, pełen wyrozumiałości dla błędu i grzechu, miłosierny. Odzegnujący się od wszelkiego przymusu. Unikający jak ognia potępień. Sprzyjający „różnorodności”, czczący „równość”.

Michele Ghislieri OP (1504–1572), Pius V, należał jednak do tych, którzy prawdę traktują serio. Bardziej serio niż cokolwiek innego, niż własne życie i dobre imię. A jej obronę uważają za swój najważniejszy obowiązek.

Wbrew dzisiejszym mniemaniom (wbrew także uroczystym przeprosinom), że Kościół dawnych wieków był „nietolerancyjny”, bo „wznosił stopy”, a dziś jest „tolerancyjny”, bowiem jego zdaniem „każdy” (niekoniecznie katolik) „ma swoją prawdę”, Pius V uważał, że Kościół musi czynić wszystko dla jej obrony.

Dzisiejsza mentalność podpowiada jednak, że „ten, kto podpala stopy i zadaje katusze, nie może być synem Kościoła”. Co więc z kanonizacją Piusa V? Czy powinna być odwołana?

Michele Ghislieri jeszcze przed swoim pontyfikatem sprawował urząd Wielkiego Inkwizytora. „A ponieważ był człowiekiem pobożnym, wolno przypuszczać, że patrzenie na srogą karę wymierzoną heretykom poczytywał za akt pobożności. [...] Nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy nieco zakłopotani, dowiadując się o czynach tego Papieża, bowiem nasze pojęcia religijne przemieniły się tak, iż każda forma przemocy i godzenia się na przemoc zdaje się zasługiwać na potępienie” – pisze prof. Romano Amerio.

Po pierwsze: człowiek! – słyszymy zewsząd. Niech robi, co chce, mówi, co chce. Człowiek jest najważniejszy! Człowiek z definicji jest niewinny!

Po pierwsze: Bóg! – mówił św. Pius V. Niech Słowo Boga żyje niezafałszowane w Kościele i w umyśle człowieka, by był naprawdę człowiekiem. Człowiek bez Boga jest nieszczęśliwy i niebezpieczny przede wszystkim dla siebie samego, a ten, który jest publicznym bluźniercą, także dla innych – mówił ten papież. I cała rzesza dawnych świętych.

► Miłosierdzie, jakiego już nie znamy

Dziś, zgodnie z obowiązującą tendencją, która nieuchronnie staje się ideologią, „dąży się do wyeliminowania wszelkich kar, zarówno tych nieuzasadnionych, jak i tych uzasadnionych”. (Oczywiście z wyjątkiem kar dla „wrogów wolności”!).

A przecież, wbrew wszelkim wrzaskom rzekomych „obrońców człowieka”, każdy zdrowo myślący człowiek przyzna, że „bywają przypadki, w których nietolerancja – właśnie w obronie prawdy, która jest wyższą wartością – jest konieczna i nieprzypadłociowa. Z drugiej strony bywają przypadki, kiedy to stosowana w obronie prawdy nietolerancja jest przypadłościowa i niekonieczna, a więc stanowi grzech, gdyż nie jest podyktowana miłosierdziem. Trzeba bowiem powiedzieć, że konieczna nietolerancja ma rację bytu tylko w ramach szeroko pojętego miłosierdzia. Właśnie miłosierdzie czasami jej potrzebuje – i tylko ono” (R. Amerio).

Można zapytać, co Inkwizycja, Pius V i cały „trydencki” Kościół mają wspólnego z kampanią wyborczą i wyborem prezydenta w Polsce? A jednak, gdy prawda nie jest obroniona, gdy – w rezultacie – brak jest nam wszystkim klasycznych rygorów myślenia, gdy pojęcia zmieniają swoją treść, cele nadrzędne ustępują w myśleniu „demokratycznej większości” doraźnym korzyściom, ochocze zabawienia się, albo „śmiesciowym” obietnicom dawanym na piękne oczy, najlepiej przygotowana obrona pryncypiów państwa nie jest w stanie dotrzeć do umysłów. W czasach „postprawdy” cywilizacja dosłownie umiera – z piskiem, ze skowytami, a nie z patosem.

Dzieła św. Piusa V były przez Kościół uważane zawsze za dobre i sprawiedliwe. Dominikanin Michele Ghislieri jako Wielki Inkwizytor wydając wyrok, nie kierował się zemstą czy brakiem miłości do człowieka. Cóż, jak podkreśla prof. Amerio, żeby powiedzieć dziś, że to Kościół spalił na stosie Giordano Bruno, trzeba rzeczywiście mieć odrobiny niezbędnej odwagi. Nie ma wątpliwości, ten czyn był nie tylko sprawiedliwy, lecz także „dobry i święty, gdyż w tym przypadku kara spotkała człowieka złego, którego zło św. Tomasz określiłby mianem zła największego”.

Zło to było skierowane przeciwko najwyższemu dobru: wierze; wszystkie inne dobra z niego biorą początek. Ponadto godziło ono „w pokój oparty na prawdzie, w którą wierzyły ludy chrześcijańskie”, a jego celem było obrażenie Ducha Świętego.

Jeżeli brzmi to wyzywająco, to dlatego, że nikt dziś nie pragnie być tak raziąco w opozycji wobec obecnej mentalności, która relatywizuje wszystko, a prawda jest jej doskonale obojętna lub wroga. Nikt nie chce tak „skrajnie” i jednoznacznie przeciwstawiać się duchowi świata, tak ostro odcinać się od tego, co zyskało już pieczęć i certyfikat jako schemat obowiązujących przekonań i poglądów. „Tak, ale” jest pozycją taktyczną i strategiczną, myślenie proste i jednoznaczne – pod prąd tenden-

ciom współczesności – jest przyjmowane nieprzejawnie, ze zdziwieniem lub z przymrużeniem oka. To ta płynąca z szerokiego świata nowość, ta „nowoczesna” i ożywcza moda. Ten kapelusik z piórkami innego kroju, „cosik nowego”, jakby powieździeli gazdowie. To właśnie zadecydowało, że główny kontrkandydat Andrzeja Dudy zyskał tak wielkie poparcie.

„Naprawdę chcecie tych stosów? Tego wyklinańa tęczowych? Chyba nie mówicie serio! A dajcie sobie siana! Więcej empatii i spokojna głowa, niech każdy robi i mówi, co chce!” – to przesłanie odebrała jako atrakcyjne ogromna część młodego pokolenia, zwłaszcza mieszkańcy wielkich miast, studenci, pracownicy korporacji. Jakakolwiek pryncypialność, powoływanie się na dobro rodziny, wychowanie dzieci, normy moralne, przyszłość państwa zostały w tym przekazie ośmieszone i skwitowane pogardliwym uśmiechem jako nuda i starocie. Luzik, człowieku! I puknij się w czoło, bo inaczej będziesz tylko śmiesznym i żalonym pogromcą pedałów! Ponurym starcem z mocherową płamą na głowie. Przecież to kompletna żenada!

► Przecież to już dawno temu wyśmiał nasz Donek

Brzmi to atrakcyjnie do tego stopnia, że nawet niektórzy pravicowi publicyści dali się uwieść atmosferze apoteozy „totalnej wolności dla wszystkich”, głoszonej przez człowieka z kilkunastu zarostem na twarzy, spokojnego i na luzie, z uśmiechem pobłażania i współczucia zarazem dla „twardogłowych”, i mówili o jego „niekwestionowanych zaletach”: inteligencji, wykształceniu, znajomości języków oraz biegłości w politycznych grach.

Sukces podobny do tego, który pięćdziesiąt lat temu odniosła w Ameryce płasząca, oszołomiona narkotykami młodzież z kwiatami we włosach i bosymi stopami, gdy żołnierze amerykańscy umierali w Wietnamie. „Róbmy miłość, a nie wojnę! Pokój, pax, peace!”.

Tak, miłość niejedno ma imię. Podobnie jak „pokój”. Tamten sukces, odniesiony w Ameryce i Europie Zachodniej, który zmiotł pravicową ekipę władzy państwowej, dziś, dzięki bujaniu w obłokach części zamożnych Polaków, którzy nie mogą być „nienowocześni”, bo fatalnie by się z tym czuli, chorzy byłiby po prostu, może być u nas ponowiony.

Światopogląd liberalny to nie tylko słowa, nie tylko lektura najbardziej słusznej gazety, konsumpcja codziennej porcji utwierdzania się, że słowa „Prawo i Sprawiedliwość” brzmią odpychająco,

ohydnie, prostacko i złowieszczo. To także konkretne poparcie na rzecz „lepszego przyszłości”, w której całkowicie zniknie wiara, bo jej podmiot, zdaniem wszystkich, nie będzie znaczył nic.

► I o to toczy się gra

„Ciężką bowiem zbrodnią jest psuć wiarę, która – jak zauważa św. Augustyn – daje życie dla duszy” (św. Tomasz, „Summa teologiczna”). Były wieki w historii chrześcijaństwa i naszej cywilizacji, gdy dobrze to rozumiano.

Warto przypomnieć w tym miejscu sylwetkę Giordano Bruno (1548–1600), tak wzniosłe przedstawionego przez Czesława Miłosza w słynnym jego wierszu „Campo di Fiori” jako męczennika nauki i humanizmu, straconego z wyroku Inkwizycji. Wcześniej jednak wezwany został do wyrzeczenia się swoich tez, z czego nie skorzystał. Ten Włoch uznawany dziś w wielu środowiskach za wybitnego intelektualistę i nonkonformistę, już w czasie studiów seminaryjnych negował dogmaty wiary katolickiej. Znajdował upodobanie w praktykowaniu okultyzmu, twierdząc, że tylko uprawia filozofię. Dwukrotnie wstępował do dominikanów, dwukrotnie porzucał zakon. Przystąpiwszy do gminy luterańskiej, został z niej wydalony. Także wyznawcy Kalwina uznawali go za niebezpiecznego wicherzyciela, aresztowali i poddali sądowi. W czasie licznych podróży po Europie wygłaszał w wielu miastach swoje nauki, w których nie przebiegając w słowach, atakował wiarę i Kościół. Przyjęty gościnnie na dworze Elżbiety I, napisał tu – oraz w Oksfordzie – i wydał „Dialogi”, w tym znany paszkwil na Kościół o tytule: „Spacio della Bestia triompante proposto dal Giove affettuato dal Consilio”. Uważając się za „syna nieba i matki ziemi”, dążył do powołania sekty, która głosiłaby jego nauki, w tym osobliwe teorie kosmologiczne, dotyczące m.in. duszy wszechświata, jego nieskończoności oraz wieczności materii. Był też przekonany, że dzięki potędze magii jest w stanie zaważać do wolnym człowiekiem, zwłaszcza rządzącym. Jego poglądy były mieszaniną humanizmu, kabały, ezoteryki. Religiję traktował jako uproszczoną wersję filozofii, liturgia i uczestnictwo w praktykach religijnych miały dla niego wszelkie znamiona zaboru, cechującego ludzi bez wykształcenia, ignorantów. Kościół skazał go za herezję doktryzmu, głoszącą, że ciało Jezusa Chrystusa było jedynie iluzją. Współczesny polski dominikanin, prof. Józef Maria Bocheński, wyraził się o nim: „Bruno to była prawdziwa kanalia”. Zarzuty Inkwizycji dotyczyły m.in. faktu, że Giordano Bruno głosił, iż „jest wiel-

kim bluźnierstwem ze strony katolików twierdzić, jakoby chleb przemienia się w ciało; że sam jest nieprzyjacielem mszy św., że Chrystus był niešťczęśnikiem, że czynił niešťczne dzieła, oczarowując lud, że był magiem i czynił pozorne cuda, tak jak i apostołowie [...], że trzeba zabraniać wstępowania do zakonów, ponieważ zanieczyszczają świat, że wiara katolicka jest pełna bluźnierstw, że wysadzi w powietrze klasztor dominikański, gdy będzie zmuszony tam wrócić... etc.”.

Mitem jest również pogląd o fatalnych warunkach w więzieniach Inkwizycji. „[...] Przykład Bruna bardzo często służy historykom do przypominania, jak nieludzko traktowani byli osadzeni w więzieniach inkwizycyjnych. Zapominają jednak, że w tym okresie w porównaniu ze świeckimi więzzeniami inkwizycyjne były wyjątkowo humanitarne i respektowano tam prawa więźnia. Osadzony mógł rozmawiać ze współwięźniami, miał prawo do zmiany bielizny (pościeli, obrusa i ręczników, których w więzieniach świeckich w ogóle nie było), dwa razy w tygodniu mógł korzystać z łaźni, pralni i fryzjera, przysługiwało mu prawo do naprawy i wymiany odzieży. Jadłospis był urozmaicony, do posiłków podawano nawet wino” (Roman Konik, „W obronie Świętej Inkwizycji”).

Mitem jest przekonanie o bardzo licznych przypadkach śmierci ludzi skazanych przez Inkwizycję. Najczęściej płonęły tylko kukły skazanych. Józef Tyszkiewicz w książce „Inkwizycja hiszpańska” przypomina, że z 234 526 ofiar spalono 9660 „in efíge” („w wizerunku”, bo winowajcy zdołali uciec), a 206.546 to skazani na pokutę kościelne. W ciągu trzech wieków istnienia w Hiszpanii Inkwizycji stracono 216 osób, podczas gdy rewolucja francuska w ciągu trzech lat na mocy trybunałów rewolucyjnych zamordowała 300 tysięcy. „O tych 216 straconych herezjatchach i burzycielach ładu społecznego, od przeszło stu pięćdziesięciu lat piszą tomy za tomami, przedstawiając w najstraszniejszych barwach grozę wiejącą z postaci okrutnych mnichów, ale o mordercach i łotrach noszących nazwiska Robespierrow, Dantonów i Maratów od lat trzydziestu pieją ci sami hymny pochwalne. Dziś sprzysiężenie milczenia zamknęło usta i sumienia historyków i całej światowej prasy, wobec bandytów bolszewickich i meksykańskich zbójów”.

► Polecając się skazanemu...

Ale istnieje jeszcze coś, co nie tylko usprawiedliwia czynny, lecz także pokazuje całą wielkość św. Piusa V. Bez wątplenia stopy były w całej Europie czymś popularnym. Czy dlatego, że oglądano je

z uczuciem podobnym do tego, z jakim wcześniej na naszym kontynencie napawano się widokiem krwawych igrzysk czy pochodni Nerona? Że żądza krwi może obudzić się w każdym człowieku? Przeciwnie! Ówczesne tłumy gromadzące się przy stopach Inkwizycji były przekonane, „iż są świadkami ukarania niegodziwca, ale jednocześnie [ludzie ci] wierzyli, że ten niegodziwiec w obliczu śmierci zdolny jest żałować za swoje czyny, a nawet zjednać zasługi – w związku z czym polecali się skazanemu, ufając, że dopomoże im w zbawieniu ich duszy. Przeto skazani na śmierć nie byli w nienawiści, przeciwnie: byli otoczeni osobliwą czcią”.

Widoku śmierci człowieka w płomieniach nie usuwało się sprzed oczu ludzi wierzących właśnie dlatego. Dziś każda śmierć jest sprawą wstydlivą, chce się ją ukryć, a gdy dotyczy kogoś bliskiego, jak najszybciej zapomnieć. Śmierć zaś człowieka zadana mu w intencji ukarania go uchodzi za szczyt nienawiści, wszechświatowy skandal. Utrata wiary w Boga powoduje bowiem, że jesteśmy śmiercią przerażeni. Ówczesne myślenie było całkiem odmienne, śmierć nie znaczyła: „koniec”, kres wszystkiego, co człowieka dotyczy. Skazańcom towarzyszył zawsze kapłan, by nieść pociechę i rozgrzeszenie, gdy tylko wyrażą skruchę. A śmierć zadana jako kara miała dodatkowy element, rozeznawany przez współczesnych jako miłosierdzie.

„Śmierć zadawana jako kara za zbrodnie gładzi całość przyszłej kary za nie albo jej część, w zależności od ilości win, cierpień oraz od skruchy” – podaje św. Tomasz. Gdy skazany na śmierć umiera, nie idzie do Piekła, ponieważ przyjawszy śmierć, odpokutował za część swoich win, a czasem za wszystkie. Zadana mu śmierć jest najwyższym aktem ekspiacji. Ci, którzy otaczali płonące stopy Inkwizycji, ten symbol „mroków chrześcijaństwa” i „win Kościoła” – w oczach współczesnych mędrców – byli przekonani, że mogą polecać swoją duszę temu, który bez wątplenia poprowadzi ich w Raju. Dlatego spieszyli do tych stosów nie po to, by sycić oczy widokiem cudzych cierpień. Nietolerancyjni? Okrutnicy? Sadyści? Tymczasem tutaj triumfowały zarówno sprawiedliwość, jak i miłosierdzie.

Sprawiedliwość była u szczytu, bowiem tej karze podlegali jedynie zatwardziali heretycy (a zatwardziałość owa, grożąca psuciem wiary, domagała się ukarania, dodaje prof. Amerio). Miłosierdzie zaś było obecne, gdyż przykład tej kary, jaka spotyka heretyka, był wystarczająco mocny, by nikt nie zaciągał podobnych win. Prowadzące do nich pycha i pożądlivność, jako grzechy, które najbardziej zniewalają człowieka, by trwał uporczywie w fał-

szywych przekonaniach, są największymi niebezpieczeństwami dla wiecznego zbawienia człowieka.

Kościół w owych wiekach oraz państwa katolickie brały na siebie odpowiedzialność za los człowieka, także jego los po śmierci. W imię miłości Boga Kościół kochał człowieka. Wiedział, że Pan Bóg nie żartuje. Nie dał człowiekowi przykazań tylko tak na niby.

Czy możemy zbawić się sami? W całkowitej izolacji od innych, nie rozumiejąc swojej roli wobec innych, zapominając, że mamy dawać swoim życiem dobry przykład drugim? Że nawet nasze życie prywatne nie jest naszą prywatną sprawą, bo od tego, jak wygląda i czym jest nasza rodzina, zależy być może przyszły los innych rodzin? Także wieczność ich członków.

A oprócz dobrego przykładu musi istnieć – z uwagi na naszą ułomną naturę – jakiś sposób dyscyplinowania ludzi. Bo „sami z siebie” często są do tej dyscypliny niezdolni. Ci, którzy opowiadają się za totalną wolnością od wszelkich norm i dobrych obyczajów, są w istocie wrogami społeczeństwa. Aby mogło ono normalnie funkcjonować, nie może rezygnować z możliwości nie tylko narzucania różnych ograniczeń, lecz także wymierzania kar. Gdy tej możliwości jest pozbawione, staje się wylęgarnią postaw antyspołecznych i antyludzkich. Indyferentyzm moralny przyjęty jako społeczna norma tylko w oczach zaślepionych idealistów jest czymś dobrym, w rzeczywistości prowadzi zawsze do wszelkich możliwych nadużyć i przestępstw. Jest dla ludzi groźny.

Dziś twierdzi się powszechnie – także w Kościele – że karanie jest czymś nie do przyjęcia, bowiem człowiek jest wolny. Jego wzniosła zaś godność jest tego rodzaju, że nie pozwala na jakiegokolwiek ugodzenie w nią. Kara za „wolny czyn” byłaby nie tylko uchybieniem tej wzniosłej godności, lecz także czymś zbrodniczym.

Dawny ład nie opierał się jednak na idealistycznych wyobrażeniach o naturze ludzkiej, lecz na jej rzetelnym rozpoznaniu i na wskazówkach Kościoła. I był naprawdę ładem, w którym świadomość dobra i zła była mocno zakorzeniona w umysłach ludzi naszej cywilizacji.

Dziś budzi tylko śmiech dobrze zarabiających, dobrze ubranych „wykształconych z wielkich miast”, „znających języki” i obytych w świecie, którzy za swojego idola uważają wzorowego ucznia prof. Geremka.

Święty Pius V zaczął swój pontyfikat od żądania usunięcia z Rzymu prostytutek. Ten wielki czciciel Matki Bożej, zakonnik asceta, popierany przez św.

Karola Boromeusza*, syn prostej rodziny (za młodu był pasterzem owiec), reformator Kościoła w duchu Soboru Trydenckiego, mężny wróg reformacji i pogromca herezji, organizator słynnej Świętej Ligi, która stawiała skutecznie czoła potęgę floty muzułmańskiej pod Lepanto, propagator Różańca, był także opiekunem ubogich (dwa razy w tygodniu osobiście przyjmował skargi ubogich, zaś raz w miesiącu – również osobiście – przyjmował zażalenia na urzędników papieskich oraz na wyroki sądów i rozstrzygał je na korzyść poszkodowanych). Dzięki niemu powstało wiele szkół, szpitali i przytułków.

Jego niezłomny sprzeciw wobec kłamstwa i błędu, wykorzenianie z Kościoła wszelkich „tak, ale...”, niezważanie na moźnych tego świata (ekskomunikował Elżbietę I) – stanowiły o jego wielkości. Wiedział, że błędy myślenia o Bogu, o tym, co dla człowieka najważniejsze, prowadzą do najcięższych chorób społecznych, klęsk i nieszczęść. Do upadku państw. Nie mylił się. Jak każdy wielki święty, był wielkim realistą.

Czymś groźnym dla państwa jest zawsze [...] niezrozumienie tego, że stan mentalny społeczeństw i decydentów jest tak samo realnym składnikiem rzeczywistości jak dywizje, surowce i pieniądze. Inaczej nie byłoby różnic między Mordwanami a Czeczenami jako ludami podbitymi przez Rosję. O pierwszych słyszał mało kto, o walce zaś drugich prawie wszyscy. I nie wynika to z różnic ich zasobów materialnych, lecz właśnie z mentalności. Objaśniając dzieje walki Polaków o wolność, nie wolno zapominać o tej regule” (Przemysław Żurawski vel Grajewski).

Myślenie ma przeszłość. Lecz błędne mylenie prowadzi zawsze do zguby.

Gdy myślimy o kimś, kto mógłby nas przed tymi błędami uchronić, przychodzi na myśl postać, którą obdarzamy także (pośród wielu tytułów), jakże trafnie tytułem „Pogromczyni wszystkich herezji”. 27 czerwca, w przeddzień wyborów prezydenckich w Polsce, obchodziliśmy kolejną rocznicę objawienia się Matki Bożej, Maryi Niepokalanej jako Królowej, w 1877 roku w polskiej wiosce, w Gietrzwałdzie. ■

*Święty Karol Boromeusz o Piusie V: „Gdy dane mi było poznać pobożność, niewinny żywot i zbożne uczucia Kardynała Alessandrino Michel Ghislieriego, pomyślałem, że Kościół przez nikogo nie będzie rządzony lepiej”.

Cytaty dotyczące św. Piusa V za: Romano Amerio „Stat veritas (zbiór głos do Listu Apostolskiego Tertio Millenio Adveniente, wydany w związku z przygotowaniem obchodów Jubileuszu roku 2000)”, Komorów.



KAJNAR

czyli młoda polska pięść



Piotr Lisiewicz

To była walka Dawida z Goliatem – mistrzem olimpijskim z Los Angeles w 1932 roku. „Wchodzi największa sława obu zespołów, Węgier Enekes, mistrz Europy. Stary wyga ringowy jest pewny siebie... Naprzeciwniego staje młody, debiutujący niemal Kajnar. Zmusza swojemi potężnymi ciosami Enekesa do rezygnacji. Widownia nieprzytomna z radości” – tak zwycięstwo 19-latka nad jednym z najlepszych bokserów świata relacjonował w tekście „1, 2, 3... 10! Out! Wynieść” „Kurier Poznański”. Kajnar, olimpijczyk, gwiazda przedwojennego polskiego boksu, zginął z rąk Niemców jako dowódca plutonu Armii Poznań w bitwie nad Bzurą.

Czesław Cyraniak pseudonim Kajnar (z prawej) i Łukasiewicz na ringu.

Atmosfera przedwojennych meczów bokserkich, szczególnie tych poznańsko-warszawskich, była tak gorąca, że zadymy na współczesnych stadionach wydają się przy niej dziecinną zabawą.

► W czasie meczu z poznaniakami ring obrzucony kartoflami

„Skandal na meczu Warta-Skoda. Przy stanie 7:5 na korzyść Warty, sędzia przerwał zawody z powodu rzużenia na ring... kartofli!” – taki tekst ukazał się w gazecie „Ostatnie wiadomości poznańskie” z 29 stycznia 1934. Skoda była klubem warszawskim i to w stolicy odbywał się mecz. Jak relacjonował reporter, „już sama zapowiedź na początku meczu, że w wypadku rzużenia jakiegokolwiek... przedmiotu na ring, spowoduje to przerwanie zawodów wywołała oburzenie na... galerii. Mimo to odnosiło się wrażenie, że uda się uniknąć awantur”.

Wrażenie to okazało się mylne, do czego przyczynił się bokser Warty Poznań Kajnar, który pobił warszawskiego przeciwnika. „Poznaniak szybki, odważny, z miejsca atakuje. Wytrzymuje doskonale tempo. Operuje ciosami obu rąk. Cyran od razu silnie krwawi. Ciosy »nie wychodzą«. Kajnar wykorzystuje każdy błąd. Czwarta runda ma przebieg dramatyczny. Obydwaj są wyczerpani, ale mimo to Kajnar znajduje jeszcze na tyle sił, by kilkakrotnie dosięgnąć przeciwnika. Wynik remisowy jest krzywdzący dla Kajnara” – relacjonowały „Ostatnie wiadomości poznańskie”. Nic bardziej niż krzywdzące decyzje sędziów nie rozpala emocji...

No i niebawem zaczęło się. „Po kilku wrogich okrzykach padł pierwszy... kartofel! Natychmiast znaleźli się naśladowcy i w tempie przyśpieszonym ring zapelniał się kartoflami” – relacjonował reporter. Kartofle, czyli po poznańsku pyry, były oczywiście nawiązaniem do stereotypowych upodobań kulinarnych poznaniaków.

Jak opisywał dziennikarz, do pierwszych niepokojących wydarzeń doszło już przed meczem: „Mecz rozpoczął się z 40-minutowym opóźnieniem. Dostęp do Cyrku był tak utrudniony, że wiele kobiet zemdłało. Poza tem umożliwiono występy złodziejasków. Ścisk bowiem był tak duży, że podobno »debiutanci« mieli powodzenie”.

Poznański reporter podkreślał wyższość Warty i zaznaczał, że „li tylko szowiniści mogli marzyć, że warszawianie wygrają”. Ale tych nie brakowało. Jak się okazało, kibicom z roku 1934 nie wystarczyło obrzucenie ringu pyrami: „Zapowiadało się jeszcze gorzej, gdyż bardziej krewcy widzowie poczęli grozić biciem! W tych warunkach prowadzący doskonale

zawody sędzia ringowy, por. Koprowski, przerwał mecz. Nie pomogły prośby gospodarzy i por. Koprowski ostentacyjnie opuścił gmach Cyrku”.

► Sen Swinarskiego o tym, jak Kajnar bił Misiornego

Postać Kajnara przetrwała w poezji, a konkretnie w twórczości Artura Marii Swinarskiego, który na łamach „Kuriera Poznańskiego” z 9 kwietnia 1935 roku opublikował, nie pozbawiony autoironii, wierszyk „Po mistrzostwach bokserkich”:

*Powróciłem z meczu
Tyle par się biło...
Gdy zasnąłem potem,
Strasznie mi się śniło:*

*Walił Nieprz Kajnara,
Kajnar Misiornego,
Misiorny Wrazidle
Wraził sierpowego.*

*...Późno się zbudziłem,
Słońce stało nisko...
Chciałbym być bokserem,
Lecz mam złe nazwisko.*

► Jak uczniowie Feliksa Stamma stworzyli polski boks

„Kajnar”, słowo, które było na ustach całej Polski, to nie było jego prawdziwe nazwisko. Naprawdę nazywał się Czesław Cyraniak. Urodził się 1 czerwca 1914 roku w Poznaniu. Gdy miał 14 lat, zainteresował się boksem i trafił do Warty. I spotkał trenera najlepszego z najlepszych, czyli Feliksa Stamma. Ten szybko odkrył jego niesamowity talent.

Cyraniak Kajnarem został przez szkołę, czyli Gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, które było niechętnie uprawianiu przez uczniów boks. Dlatego występował pod pseudonimem, który był skrótem czytanego od tyłu nazwiska Cyraniak. Walczył wówczas w wadze piórkowej i lekkiej. Był jeszcze nastolatkiem, gdy w poznańskiej prasie zaczęły się ukazywać entuzjastyczne opinie dziennikarzy sportowych na jego temat. Pisano, że Kajnar bije się „inteligentnie, przytomnie i skutecznie”.

Gdy powstawała bokserka Warty, nie był to jeszcze popularny sport. To właśnie pokolenie Kajnara zbudowało tę popularność. Klubowe pismo „Warciaz” pisało o tym we wspomnieniowym tekście z 1934 roku zatytułowanym „Niech żyją nasi bokserzy”: „Jeżeli zwrócimy się pamięcią do tej

chwili, w której została zawiązana sekcja bokserska naszego Klubu, to musimy powiedzieć, że powstała ona w bardzo trudnych warunkach. Albowiem do tego czasu nie uprawiano jeszcze w Poznaniu, a nawet w całej Polsce, sportu bokserskiego. Z góry trzeba było przewidzieć, że sekcja ta będzie paszczytem Klubu, gdyż sport ten musiał sobie dopiero pozyskać i wyrobić zwolenników. Jednakże mimo tych trudności sekcja się utrzymała”.

Jak pisał autor, spowodowała to „trudna i zmuszająca” praca ówczesnego trenera Feliksa Stamma „która doprowadziła do tego, że »Warciarze« byli i są jeszcze do dzisiaj najlepiej technicznie walczącymi bokserami i że sekcja wychowała takie sławy jak »Arski«, Majchrzycki, Forlański, »Kajnar«, Sipiński, Sobkowiak i inni. Bokserzy ci rozniesli imię polskiego sportu szeroko po Europie, a sława ich dotarła nawet do Ameryki”.

Nierentowny „pasożyt” przestał taki być: „Z czasem oddział tak się rozrósł, że stał się obok sekcji piłki nożnej najpoważniejszym oddziałem Klubu”.

► Dawid pobił Goliata dwa razy

Sylwetka Kajnara opisana została w książce „Sportowcy dla Niepodległej” Magdaleny Stokłosy i Aleksandry Wójcik, nad którą – co warto odnotować – objął patronat publicysta „Nowego Państwa”, europoseł Ryszard Czarnecki. Autorki publikacji wskazują moment, w którym Kajnar został bokserem poważanym na świecie: „Międzynarodowy rozgłos zyskał w 1933 r. po meczu Warty z węgierską drużyną Nemzeti. Choć zawody zakończyły się remisem, powszechnie uznano wynik za sukces (klub Nemzeti stanowił praktycznie reprezentację narodową Węgier), a występ Cyraniaka – za prawdziwą sensację. Nikt nie oczekiwał jego zwycięstwa z mistrzem olimpijskim... To była walka Dawida z Goliatem”.

Oto wchodzi największa sława obu zespołów, Węgier Enekes, mistrz Europy. „Stary wyga ringowy jest pewny siebie. [...] Naprzeciwko niego staje młody, debiutujący niemal Kajnar. Oczywiście cała nadzieja tylko w silnym ciosie Kajnara i jego ofiarnej walce. Bo przecież Enekes to wybitny fighter i jeśli nie będzie k.o., to wynik z góry przesądzony na korzyść sławnego Węgra. I Kajnar spełnia nieśmiało nadzieje swoich zwolenników. Walczył odważnie i ofiarnie, nie uciekał, nie walczył podstępnie (jak inni) i zmusza swojemi potężnymi ciosami Enekesa do rezygnacji. Widownia nieprzytomna z radości” – relacjonował „Kurjer Poznański” w artykule „1, 2, 3... 10! Out! Wynieść”.

Czego nie odnotowuje wiele publikacji, nie była to jedyna wygrana Kajnara z Enekesem. „Warciarz”

nr 10 z 1933 roku pisał: „Zawody międzynarodowe z komb. węgierską drużyną Nemzeti Vazutas Budapeszt (3.XI.) dały wynik remisowy 8:8. W zawodach tych wykazali zawodnicy nasi doskonałą formę walcząc z prawdziwą warciańską ambicją [...] Znakomitą formę wykazali Rogalski i Kajnar; zwłaszcza ostatni, który udowodnił, że pierwsze jego zwycięstwo nad mistrzem świata Enekesem na zawodach Budapeszt-Poznań w Poznaniu nie było przypadkowe. Przebieg poszczególnych walk [...] Kajnar – w wadze piórkowej wygrywa z Enekesem”.

Autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej” piszą: „Kajnar zaimponował wszystkim swoją wytrzymałością i umiejętnością mylenia przeciwnika ruchami ciała. Nic dziwnego, że po utalentowanego poznaniaka sięgnęła kadra narodowa. A on szybko udowodnił, że to był słuszny ruch”.

Dzięki tym zwycięstwom Kajnar został gwiazdą, której zdjęcie zamieściło nawet pismo... fotografów „Ilustracja Polska” z podpisem: „Pięściarz Warty, Kajnar, który pokonał światowej sławy zawodnika węgierskiego Enekesa”.

► „Wysoka moralność ducha” i tacy, co zmieniają barwy jak koszułę...

Dygresja nie mniej ważna niż przytaczanie wyników meczów, mistrzostw i olimpiad. Poznańska Warta, klub powstały na złość Niemcom, głosiła określony system wartości. On jest dość bliski temu, który jest obecny w dzisiejszych środowiskach kibicowskich, w kontrze do świata mediów i komercji. I wówczas obowiązywać miał także piłkarzy, którzy nie byli określani jak dziś „wkładami do koszułek”. Kilka cytatów z „Warciarza”.

Numer 2 z roku 1933: „Trzeba jednak, aby każdy członek »Warty« uświadomił sobie jak najdokładniej nasze idee i o nich nigdy nie zapominał. »Warcie« potrzeba ludzi z charakterem, ludzi świadomych swych zadań i obowiązków, przede wszystkim zaś sportowców z krwi i kości, o wysokiej moralności ducha”.

Numer 11 z roku 1933, tekst pisany w Sylwestra: „Koleczy! Każdemu chyba z Was drogie są klubowe barwy. I nie jeden z Was z radością poświęcał się i poświęcał jeszcze będzie swe żywotne zdolności, swe młodzieńcze porwy w imię dobra sprawy, której godłem jest wielkie zielone »W«”.

Numer 10 z roku 1934: „Tem wyżej cenimy sobie ofiarność tych zawodników i ich przywiązanie do barw klubowych. Ofiarne ustosunkowanie się do sprawy sportu i wierność barwom klubu zjedną im serca nasze. Niech pamiętają o tem, że uznanie ogółu, to także kapitał moralny, który prędzej czy

później da odpowiednie korzyści. Nie możemy jednakże mieć zrozumienia dla tych jednostek, które bez koniecznej potrzeby wystawiają się »na przetarg«, które za nic sobie mają środowisko, z którego wyrzśli, i barwy klubowe, w których odnosili zwycięstwa, którzy barwy klubowe chętnie zmieniają jak – koszulę”.

Wszystko.

► Najlepszy klub w Polsce

Jak piszą Stokłosa i Wójcik, „do największych sukcesów Cyraniaka w tamtym czasie należała wygrana z mistrzem Europy w wadze piórkowej – Niemcem Kästnerem. W 1935 r. Kajnar został wice mistrzem Polski w wadze lekkiej. Wcześniej i później wielokrotnie zdobywał z Wartą Poznań tytuł drużynowego mistrza kraju”.

Opisy tych walk odnajdujemy na łamach „Warciaza”. Numer 1 z roku 1934: „W międzypaństwowych zawodach Polska-Szwecja w Sztokholmie [...] Kajnar w wadze piórkowej zmierzył się z wicemistrzem Europy Bormanem przegrywając równieź nieznacznie na punkty, pomimo znakomitej trzeciej rundy nie mógł odrobić straconych punktów”.

„Warciaz” numer 1 ze stycznia 1935 roku odnotowuje inną ciekawostkę – mecz Warty z żydowskim klubem Makabi Warszawa, zakończony rekordowym zwycięstwem 16:0. Czytamy: „Bezapelacyjne zwycięstwo naszej drużyny nad zespołem żydowskim w zawodach o mistrzostwo drużynowe Polski. Wynik nie notowany dotąd w historii rozgrywek o mistrzostwo drużynowe Polski. Sobkowiak pokonał na punkty Birnbauma. Wirski wypunktował Rosenbluma. Kajnar po chaotycznej walce wygrał z Spigelmanem. Sipiński po raz drugi wygrał zdecydowanie z żydowskim królem nokautu Neustadtem. Wolniakowski wykazał zadawalającą formę z Frodisem wygrywając z nim na punkty. Majchrzycki po długiej przerwie spowodowanej kontuzją oka odniesionej w Warszawie, wykazał świetną formę, bijąc na punkty pretenjonalnego Pilnika”. „Warciaz” odnotowywał jeszcze, że „Szymura i Piłat zdobyli punkty walkowerami z powodu zakazu startowania przeciwnikom przez lekarzy”.

Warta była w tym czasie najsilniejszym polskim klubem bokserskim, który w 1935 roku zdobył aż sześć indywidualnych tytułów mistrza Polski. „Warciaz” (1935, nr 4) pisał: „W mistrzostwach tych poszczycić możemy się pełnym sukcesem, zdobywając 6 tytułów mistrzowskich, oraz dwa tytuły wicemistrzów. Jest to sukces niebywały, którym żaden klub w Polsce poszczycić się nie może”.

Na początku 1936 roku odbył się mecz Poznań-Berlin, wygrany przez poznaniaków 9:7. I znowu „Warciaz” odnotowywał: „W zawodach tych startowało 4 zawodników naszego klubu, którzy zdobyli razem 7 punktów. Koziołek wypunktował wicemistrza Niemiec Brussa. Kajnar stoczył piękną walkę z Fietzkem, wynik remisowy krzywdzi »Warciaza« który miał we wszystkich starciach przewagę”.

► Sport, praca, wojsko

Sportowcy nie byli wówczas zawodowcami i chodzili do pracy tak samo jak wszyscy inni obywatele. Kajnar w 1934 roku ukończył Państwową Szkołę Mierniczo-Melioracyjną w Poznaniu. Był mierniczym, czyli jak powiedzielibyśmy dziś – geodetą.

O zajęciach pozasportowych mówił w rozmowie z „Małym Dziennikiem”, numer 209 z roku 1936: „– Dlaczego pan z takim opóźnieniem przyjechał na obóz? – zapytujemy. – Praca zawodowa nie pozwoliła mi na punktualność. Obecnie mam już lepszą posadę i pracuję w Izbie Skarbowej. Dotychczas przez szereg miesięcy nie miałem możliwości zajmowania się boksem, gdyż byłem z daleka od środowiska pięściarskiego [...]. Byłem ciągle na wyjazdach. Ale teraz znów biorę się do boksu. Dobrze się czuję i myślę, że wkrótce będę znów w formie. Najwięcej cieszę się z tego, że nie muszę strenowować wagi do piórkowej. Moja waga ustabilizowała się w kategorii lekkiej, z czego jestem bardzo rad. Wielkie katusze przechodziłem zawsze robieniem wagi. To było dla mnie zabójcze. Obecnie mam w perspektywie służbę wojskową. W połowie września idę już do podchorążówki. Powinno się wojskową odbywać będą w 57. p.p. w Poznaniu. Służba w Poznaniu w dużej mierze ułatwi mi kontynuowanie w dalszym ciągu regularnych treningów”.

„Mały Dziennik” odnotowywał, jak kibice żegnali polskich olimpijczyków wyjeżdżających na igrzyska w Berlinie w 1936 roku: „Nagle gdzieś z boku rozległy się okrzyki: »Kajnar, Kajnar, aby tylko złoty medal!«. Kajnar odrzucił po poznańsku: »Jak trzeba, to musi« i w tym momencie ruszył pociąg, a przy dźwiękach orkiestry długo jeszcze rozlegały się okrzyki i powiewały chusteczki”.

► „Kajnar ratuje honor pięściarstwa”

Niestety, przebieg Olimpiady był inny. I to nie tylko ze sportowych względów. Autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej” opisują: „Niestety pięściarze źle zaczęli występ olimpijski. Wiare polskim kibicom przywróciła dopiero piękna walka Kajnara z Francuzem Aupetittem. »Kajnar ratuje ho-

nor pięściarstwa». »Kajnar ratuje obóz polski przed depresją psychiczną«. »Kajnar pozwala nam zapamiętać o porażce Czortka i Piłata« – to tylko fragmenty relacji prasowych z 12 sierpnia 1936 roku. Cała uwaga kibiców skupiła się na młodziutkim Cyraniaku».

I wtedy doszło do walki, w której ważniejsze od sportowej klasy okazały się oszustwa sędziów. »Przegląd Sportowy« z roku 1936, numer 7, pisał o walce Kajnara z Filipińczykiem: »W pierwszej rundzie obaj walczyli bardzo ostrożnie. Walka prowadzona jest na dystans. W drugiej – Kajnar odważnie przechodzi do ataku. Piękna seria prostych zapewnia mu prowadzenie. Padilla jest wyraźnie zmęczony. Trzecia runda należy również do Kajnara. Polak nie oddaje inicjatywy ani na chwilę i punktuje Filipińczyka z niezwykłą zaciętością. Ogłaszają wynik: Padilla zwycięzca! Na widowni okrzyki protestu i gwizdy. Kajnar schodzi z ringu złamany. Ma łzy w oczach«.

»Polska Zbrojna« relacjonowała zaś: »Była to jedna z najpiękniejszych walk turnieju, cały czas prowadzona na dystans i fair. W meczu tym Kajnar błysnął piękną techniką, brawurą, ambicją, agresywnością i celnością ciosów, zdobywając sobie uznanie widowni. Po walce, którą Kajnar wyraźnie wygrał na punkty, jury ogłosiło zwycięstwo Filipińczyka, krzywdząc dotkliwie Polaka, który był lepszym bokserem«. No i perspektywa złotego medalu olimpiady oddalała się...

► „Kto wygrał, nie ogłoszono”

Stokłosa i Wójcik piszą: »Z Berlina Cyraniak wrócił rozgoryczony i poturbowany. Doznał złamania przegrody nosowej i musiał przejść operację, po której nie mógł przez pewien czas trenować. Jakby na pocieszenie »strzelec z cenzusem poznaniak Kajnar« stał się bohaterem nowej rubryki pisma »Żołnierz Polski«, która prezentowała czytelnikom sylwetki sportowców służących w wojsku». Jak stwierdzają, służba wojskowa i kolejne kontuzje – nie tylko nosa, lecz także łuku brwiowego i ręki – »oznażały radsze treningi i występy na ringu oraz słabsze wyniki«.

Kajnar był tym wszystkim mocno podłamany. Ale »Mały Dziennik«, numer 38 z roku 1938 odnotował taką jego wypowiedź: »Uległem rozgoryczeniu i zamierzałem porzucić boks, dla którego tyle poświęciłem. Ostatnio jednak przekonałem się, że pięściarstwo weszło mi w krew, że wbrew mojej osobistej karierze (p. Cyraniak jest technikiem mierniczym) wracam na ring – bo czuję się na siłach, jestem jeszcze młody – pragnę znowu bronić barw Polski«.

Nadal trwała jego rywalizacja z bokserami warszawskimi. »Nowy Kurier« z 13 marca 1938 roku opisywał jego walkę z będącym w warszawskich mediach na topie bokserem Kowalskim: »Kajnar rusza naprzód. Sięga obszernymi swingami z obu rąk. Przypiera w pewnym momencie Kowalskiego do lin, przepuszcza serię i zdobywa przewagę. Warszawianina reklama z każdą chwilą maleje. Zahypnotyzowani pochwałami prasy warszawskiej, dla których niemal Kowalski był mitem, jeszcze czekają na »obudzenie się« jego, ale on stoi i odpiera. Od czasu do czasu kontruje. Jego ciosy nawet zdradzają wielką klasę, ale klasę, której na razie nie posiada – to są tylko momenty...«.

Podkreślano taktyczne wyrobienie Kajnara: »Wiedząc o bolesnych kontrach przeciwnika, bezpośrednio po akcji przechodzi bardzo umiejętnie do zwarcia«. I tak opisanie końca walki: »W ostatniej rundzie Kowalski zaczyna pierwszy, ale i pierwszy kończy, gdy Kajnar rozkręcił się na dobre. Jeden się wreszcie cios warszawianinowi udaje. – Kajnar jęknął. Cios był trafny i bolesny – wątroba. Poznańczyk jednak kończy huraganowym atakiem. Pod sam koniec trafia pięknie. Gong«.

Historia waśni poznańsko-warszawskich nakazywała organizatorom ostrożność. Jak pisze »Nowy Kurier«, »kto jednak wygrał, nie ogłoszono. Według poufnych informacji dowiedzieliśmy się, że zwyciężył Kajnar, i to różnicą aż 5 punktów. Kowalski okazał się przereklamowany, i to mocno i przesadnie!«.

► Poszukiwany przez Niemców nawet po śmierci

»Pragnę znowu bronić barw Polski« – mówił Kajnar. Jak piszą Autorki »Sportowców dla Niepodległej«, »nie mógł wiedzieć, że następną walkę pod białoczerwoną flagą stoczy nie na ringu, ale na polu bitwy«. Wiadomo, że podporucznik rezerwy Czesław Cyraniak został zmobilizowany we wrześniu 1939 roku. Dowodził 2. plutonem 5. kompanii 57. Pułku Piechoty, wchodzącym w skład Armii Poznań. Wziął udział w najważniejszej bitwie kampanii wrześniowej – bitwie nad Bzurą. Zginął w 11. dniu wojny, w wyniku natarcia 1. Niemieckiej Dywizji Pancerniej. Szczegółowe okoliczności nie są znane. Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Mąkolicach.

Tymczasem według niemieckich informacji, był wciąż osobą niebezpieczną, jako przedstawiciel elit Wielkopolski. 23 listopada 1939 roku w jego poznańskim mieszkaniu jawiło się gestapo z nakazem aresztowania. A cała jego rodzina została wysiedlona do Ostrowca Świętokrzyskiego w Generalnej Guberni.

**„LEWA WOLNA”.
JÓZEF MACKIEWICZ
O RODZĄCYM SIĘ
BOLSZEWIZMIE**

Dariusz Jarosiński



**„Lewa wolna”
Józefa Mackiewicza
to nie tylko
opowieść o wojnie
z bolszewikami, to
również, a nawet
przede wszystkim
historia o początku
zapaści cywilizacyjnej
świata, który do tej
pory znaliśmy. Świata,
którego fundamentem
są religia, kultura
oparta na wartościach
chrześcijańskich. To
jest powieść o tym,
jak lepiła się kula
śnieżna historii,
jak powstawało na
oczach przywódców
tzw. cywilizowanych
państw ludobójcze
państwo. To gorzka
opowieść o rodzącym
się bolszewizmie.**

Powieść „Lewa wolna”, osnuta na wydarzeniach związanych z wojną polsko-bolszewicką, ukazała się w 1965 roku, czyli 45 lat po wojnie. Autor był już wówczas pisarzem o dużym dorobku literackim, wydał znakomite powieści: „Droga donikąd”, „Karielowicz”, „Kontra”, „Sprawa pułkownika Miasojedowa”. Do napisania „Lewej wolnej” Mackiewicz przygotowywał się przez kilkanaście lat, studiując w bibliotekach na Zachodzie dokumenty archiwalne związane z historią partii bolszewickiej i wojny 1920 roku.

► Echa wojennych przeżyć

„Lewa wolna”, której akcja toczy się w latach 1918–1921, była niewątpliwie książką z wielu powodów ważną dla pisarza, choćby osobistych doświadczeń, który jako ochotnik, gimnazjalista, niespełna siedemnastolatek, wziął czynny udział w wojnie 1920 roku – przesłużył dwa lata na froncie w kawalerii. Był ułanem owianego legendą 13. Pułku Ułanów Wileńskich, którym dowodzili bracia Dąmbrowscy, rtm. Władysław i rtm. Jerzy ps. „Łupaszka”, słynny zagończyk, wybitny dowódca, partyzant, pogromca bolszewików. W kawalerii służyli ziemianie i szlachta zaściankowa na własnych koniach o najrozmaitszych siodłach i najrozmaitszej broni. Służyli też Tatarzy i Kozacy z Kubania.

Traumatyczne przeżycia związane z wojną nie opuściły pisarza do końca życia, choć nie opowiadał o nich nawet bliskim. W liście do prof. Jacka Trznadla Kazimierz Zamorski pisał w 1997 roku: „Ten koszmar prześladował go szczególnie uparcie w ostatnich latach życia, o czym dowiedzieliśmy się dopiero od wdowy [Barbary Toporskiej – przyp. DJ]. Budził się ze snu z krzykiem, spocony, we śnie powracało wspomnienie alarmu i niemożności dostania się na siodło konia. Nigdy o tym nie mówił”.

W książce fikcja literacka przeplata się z historycznymi dokumentami, z publicystyką, nie jest to pierwszy tego typu zabieg literacki autora. W „Lewej wolnej” pojawiają się m.in. autentyczne wypowiedzi Lenina, Trockiego, Piłsudskiego, Marchlewskiego.

Osobiste przeżycia Józefa Mackiewicza posłużyły do poprowadzenia wątku głównego bohatera powieści, Kamila Krotowskiego. Kamil jest polskim patriotą, ułanem. Jego dawny sąsiad, Jan Wintowt, zaraża się wirusem bolszewizmu, robi karierę w CZEKA, zaś brat Jana, Piotr, walczący z bolszewikami w oddziale Stanisława Bułak-Bałachowicza. Mackiewicz pokazuje, jak w szybkim tempie bolszewizm niszczy tradycyjne wartości, doprowadza do rozpadu więzi międzysąsiedzkich, rodzinnych, jakie też wyzwała w ludziach bestialstwo.

Mackiewicz nie epatuje w powieści okropnościami wojny, ale też nie chroni czytelnika przed dramatycznymi jej obrazami. Obaj bracia Wintowtowie, walczący po

przeciwnych stronach, giną. Piotr Wintowt został schwytany przez bolszewików, umiera w potwornych męczarniach: „Bito strasznie. Wybito mu oko. [...] Piotra przywiązano rozkraczonemu, a między nogami rozpalo-no ogień. Straszliwy ból odbierający przytomność, przestoczyl go od razu z człowieka, z bojownika i jeńca, w łachman ludzki, w organizm wypełniony jednym tylko odruchem przerażenia, fizycznych cierpień i takim stopniem obłędnego strachu przed powtórzeniem tych cierpień, że gotów był powiedzieć wszystko, cokolwiek wiedział, i wszystko, cokolwiek by od niego żądano. Gotów wydać każdego, łącznie z sobą samym, aby tylko uniknąć piekielnego ognia”. Śmierć jego brata, Jana Wintowta, bolszewika, wyglądała inaczej, zginął on w walce, a nie w wyniku zadanych tortur: „Zybienko zaciskając zęby, ciął z niewygodnego zamachu na odlew po ręce trzymającej poręcz (pociągu). Wintowt zachwiał się, zwinął jakoś w sobie, wypuścił pistolet z prawej ręki, szukając nią oparcia w powietrzu, i zsunął się krzywo, bokiem, pod bufory pociągu, spadając pod koła drugiego wagonu. Przecięły go wpół”.

Autor „Lewej wolnej” nie kryje przed czytelnikiem bestialstwa, okrucieństwa bolszewików. Ulubionym zajęciem jednego z czekistów jest wyrabianie rękawiczek. Polewa wrzątkiem dłonie polskich jeńców i ściąga z nich skórę. W ciągu jednej nocy potrafił sprecparować wiele par takich rękawiczek z ludzkiej skóry.

► Dobry czas Rosji przedrewolucyjnej

„Lewa wolna” to nie tylko opowieść o wojnie z bolszewikami, to również, a nawet przede wszystkim historia o początku zapaści cywilizacyjnej świata, który do tej pory znaliśmy. Świata, którego fundamentem są religia, kultura oparta na wartościach chrześcijańskich. To jest powieść o tym, jak lepila się kula śnieżna historii, jak powstawało na oczach przywódców tzw. cywilizowanych państw ludobójcze państwo. To gorzka opowieść o rodzącym się bolszewizmie, z którym nie potrafimy sobie poradzić, który niepowstrzymany zawładnął umysłami milionów ludzi na świecie.

Według Mackiewicza bolszewizm jest rodzajem psychicznej zarazy, choroby, której rozwój można było i należało zniszczyć jeszcze w zarodku w czasie wojny domowej w Rosji. Dzisiaj ta zaraza wydaje się nie do opamiętania – mutuje, przepoczwarza się. Ideologia, którą kiedyś trzeba było wprowadzać terrorem, przyjmowana jest od kilkudziesięciu lat jak objawienie. Na zachodzie Europy walczy się z chrześcijaństwem, zamyka kościoły, stawia pomniki Marksowi i Leninowi.

Zdaniem Mackiewicza Rosja w przededniu rewolucji bolszewickiej 1917 roku stała się państwem liberalnym, w jej życiu publicznym obowiązywały różne

zakazy, nakazy, ale nie było narzucania wyznawania jednej ideologii, w dodatku zbrodniczej; istniała duża swoboda twórcza choćby w literaturze, sztuce. Rosji przedrewolucyjnej bliżej było do państw Europy Zachodniej aniżeli do krwawego reżimu bolszewików. Rosyjski monarcha Mikołaj II wprowadził szereg ważnych reform. Zacofane dotąd imperium uzyskało konstytucję i parlament, a jego gospodarka otworzyła się na świat, co przyniosło niebywały boom ekonomiczny. W latach 1908–1914 Rosja była już czwartą potęgą przemysłową – po USA, Wielkiej Brytanii i Niemczech, wyprzedzając Francję.

Bolszewizm został przywieziony do Rosji z Niemiec, był wytworem przymusu i terroru. W połowie kwietnia 1917 roku przybył z Zurychu do Rosji pociąg dyplomatyczny. W wagonach, oprócz Lenina, znalazło się 32 rosyjskich rewolucjonistów. Celem ich podróży był Piotrogród (Petersburg), a zadaniem – wywołanie masowych zamieszek, mających doprowadzić do obalenia rządu i wycofania się Rosji z wojny z Niemcami. Czołowi przywódcy rewolucji bolszewickiej byli pochodzenia żydowskiego: Lew Kamieniew (Lew Rozenfeld), Grigorij Żinowjew (Hersz Radomylski), Lew Trocki (Lew Bronstein), Karol Radek (Karol Sobelsohn). Sam towarzysz Lenin miał żydowskiego dziadka. Bolszewicy rewolucjoniści byli agentami niemieckiego sztabu generalnego. Pośrednikiem, który doprowadził do zawarcia umowy między Leninem a mózgiem całej operacji, niemieckim sekretarzem stanu ds. zagranicznych Richardem von Kühlmannem, był zaufany człowiek marksistów, biznesmen Aleksander Parwus. Na sfinansowanie rewolucji w Rosji niemiecki rząd przeznaczył 50 mln marek, co odpowiadało mniej więcej 10 tonom złota. Mackiewicz w „Lewej wolnej” prowadzi rozważania historyzoficzne, prowokuje do refleksji, stawiania pytań: jak to się mogło stać, że w kraju zwanym wcześniej Świętą Rusią, w którym współistniały przez wieki w sposób harmonijny Rosyjska Cerkiew Prawosławna i naród, nagle do walki z Bogiem, z chrześcijaństwem, z monarchią stanęły miliony obywateli. W czym tkwił moc wirusa bolszewickiej zarazy? Pod wpływem jakich impulsów z dnia na dzień tzw. normalni ludzie przestawali się w bandytów gotowych mordować, grabić innych ludzi, podpalić świat?

► Krytyka polityki wschodniej Piłsudskiego

Mackiewicz krytykował odmowę Piłsudskiego współdziałania z białą Rosją, odrzucenie propozycji gen. Antona Denikina wspólnego uderzenia na bolszewików we wrześniu 1919 i w roku 1920. Naczelnik Państwa uznał, że biali, opowiadający się za „jedną niepodzielną Rosją”, są groźniejsi od czerwonych. Józef Mackiewicz uważał, że Piłsudski mógł zdusić bolszewizm,

a nie zrobił tego. Przemówienie Piłsudskiego do dowódców nie pozostawia wątpliwości co do jego poglądów w tej sprawie: „Mniejszym złem jest ułatwić Rosji czerwonej pobicie Rosji białej. Gdybyśmy bowiem poparli teraz Denikina w naszej walce z bolszewikami, byłaby to w istocie walka o Rosję. A my z każdą Rosją prowadzimy walkę o Polskę. Niech sobie cały ten zafajdany Zachód gada co chce, ale my nie damy się wciągnąć i użyć do walki z rewolucją rosyjską, lecz odwrotnie, w imię nieprzemijających interesów polskich, chcemy ułatwić armii rewolucyjnej ich działania przeciwko armii kontrrewolucyjnej”.

Naczelnik Państwa nie widział interesu Polski w niesieniu pomocy gen. Denikinowi, ponieważ ten nie potrafił zaproponować należytych warunków współpracy Polakom. Zdaniem Denikina granica Polski na wschodzie mogłaby sięgać do rzeki Bug, nawet Galicję wschodnią mielibyśmy utracić, czyli po stronie Rosji miałyby znaleźć się Grodno, Wilno, Lwów. Taka propozycja była nie do przyjęcia. Państwa zachodnie jedynie przez krótki czas i w niewielkim stopniu wspierały białych, głównie dostarczając broń, wysyłając swoich doradców wojskowych, a kiedy szła o zwycięstwa przechyliła się na stronę bolszewików w wojnie domowej – wycofały się z konfliktu.

Pokonanie bolszewików uważał Józef Mackiewicz za cel nadrzędny. Zdaniem Andrzeja Stanisława Kowalczyka, historyka literatury, „Mackiewicz kwestionuje sens polityki wschodniej Piłsudskiego, twierdząc, że opierała się na błędnych przesłankach. Polska [...] umożliwiając zwycięstwo bolszewikom – przygotowała swoją przyszłą klęskę i utratę niepodległości. Wydaje się, iż Mackiewicz nie ma wątpliwości co do tego, że cena, jaką Polska (i świat) zapłaciła za dwudziestoletnie posiadanie kilku kresowych województw, jest za wysoka. Należało raczej kosztem ustępstw terytorialnych dojść do porozumienia z białą Rosją i pomóc jej zniszczyć bolszewizm. Na taką jednak dalekowzroczność żaden z polityków polskich zdobyć się nie potrafi”.

Warto zauważyć, że dla socjalistów z Polskiej Partii Socjalistycznej, czyli środowiska politycznego Piłsudskiego, zawsze wrogiem numer jeden był carat, z którym od wielu lat toczyli walkę. Autor „Lewej wolnej” wiele uwagi poświęcił rozmowom między wysłannikami Lenina a przedstawicielami Naczelnika Państwa. Mackiewicz opisał polsko-sowieckie rokowania pokojowe w Mikaszewiczach na Polesiu w 1919 roku, w których uczestniczyli Julian Marchlewski, jako wysłannik Lenina, i kapitan Ignacy Boerner, bliski współpracownik Piłsudskiego. Julian Marchlewski miał wówczas powiedzieć: „Możemy się kłócić – zwalczać nawet nawzajem. Ale nie możemy sobie wyobrazić, aby przywódca Polskiej Partii Socjalistycznej, aby Józef Piłsudski, twórca ongiś »Organizacji Bojowej PPS«, bohater manifesta-

cji zbrojnej na Grzybowie w 1904-ym, »krwawej środy«, zamachu na Skålona, na wołyński pułk lejbgwardii pod Łapami w 1907-ym, na pociągi pod Pruszkowem, Rogowem i Bezdanami, mógł się dzisiaj zdecydować na popieranie bezpośrednie, czy chociażby pośrednie w jakimś stopniu, carskich generałów, admirałów i żandar mów”.

W wyniku dagaworów powstrzymana została ofensywa wojsk polskich, co pozwoliło bolszewikom na przegrupowanie swoich wojsk z zachodniego frontu polskiego na południe i rozgromienie kontrrewolucji białych.

► „Ot, gdzie sobaka zaryta”

Mackiewicz stara się dociec, dlaczego dowódcy wojskowi, politycy zachodnioeuropejscy, nie potrafili dostrzec istoty tamtych wydarzeń, dlaczego nie starali się zapobiec katastrofie, kiedy bolszewicy głośno mówili, że chcą podbić cały świat. Dlaczego nie rozumieli, że bolszewizm zagraża światu. Mało tego, nie tylko nie zapobiegli katastrofie, lecz wręcz ułatwili zbrodniarzom realizację ich celów. Lew Trocki mówił wprost, że natychmiast po rozgromieniu kontrrewolucji w Rosji nastąpi rewolucyjny pochód na kraje kapitalistyczne Europy. Włodzimierz Lenin stawiał sprawę równie jasno na posiedzeniu Wszechrosyjskiego Komitetu Wykonawczego: „Sprawa zwycięstwa międzynarodowej rewolucji jest zapewniona. Nie szukamy z burżuazją ugody, ruszamy do ostatniego decydującego boju z burżuazją. Wiemy, że czas panowania tych rozbójników już minął”.

W ocenie Józefa Mackiewicza zarówno Polskę, jak i inne narody Europy Wschodniej zgubił egoizm narodowy, myślenie w kategoriach narodowych. Polacy, Estończycy, Łotysze, Litwini, Ukraińcy nie potrafili zjednoczyć się w obliczu zła i stworzyć wspólnego frontu oporu przeciwko bolszewii. Bolszewicy nie zajmowali się sprawami narodowymi, a międzynarodowymi, rozgrywali politycznie poszczególne państwa narodowe. Bolszewikom nie chodziło o okupację tego czy innego państwa, lecz o zniszczenie dotychczasowej cywilizacji chrześcijańskiej, przenieślenie świata, stworzenie nowego człowieka, pieriekówkę jego duszy. Dwadzieścia lat później wszystkie kraje Europy Wschodniej znalazły się albo w granicach Związku Sowieckiego, albo tak jak Polska pod jego okupacją.

W usta niejakiego Wardyńskiego, o którym niewiele wiadomo, nawet czy jest Polakiem, czy Rosjaninem, Mackiewicz wkłada swój pogląd: „(...) Podczas gdy panowie Denikinowie, Piłsudscy, Ukraińcy, jacyś tam Litwini i inny drobiazg, operują po staremu pojęciami interesów narodowych, bolszewicy pojęciami interesów międzynarodowych. Gdy tamtym panom chodzi tylko o język i sypanie kopców granicznych, bolszewikom

chodzi o zlanie języków i zrównanie kopców granicznych. Wszystkie te narody, od Finlandii począwszy, Estończycy, Łotysze, Litwini, Polacy, Białorusini, Ukraińcy i wiele ich jeszcze tam jest, wikłają się w spory między sobą, intrygi, a nawet wojny, jak o Lwów i Galicję. A co chcą panowie Kołczakowie i Denikinowie? Kontrewolucja tak samo wychodzi z założenia, że w wojnie przeciw bolszewikom należy »oprzeć się na zdrowych siłach narodowych«, a nie na międzynarodowej spójni przeciwko międzynarodowemu zagrożeniu. No, i dla Lenina, chwała Bogu, Denikin chciał walczyć wyłącznie z rewolucją »rosyjską«, a Piłsudski, jak widać dotychczas, chce walczyć z »Rosją«. Obydwaj sądzą, że to rozgrywka bilateralna, podczas gdy Lenin–Trocki prowadzą rozgrywkę globalną. Ot, gdzie sobaka zaryta. Denikin widzi tylko interesy Rosji, Piłsudski tylko interesy Polski”.

► Obroniłymi niepodległość, nie zdusiłymi bolszewizmu

Przywódcy bolszewików w Moskwie na początku sierpnia 1920 fetowali już zwycięstwo nad „pańską Polską”. Przedstawiciele tzw. Polrewkomu, Julian Marchlewski, Feliks Dzierżyński i Feliks Kon, przyjechali z Białegostoku i zatrzymali się w Wyszku, aby wraz z armią bolszewicką wkroczyć do Warszawy i objąć władzę w Polsce. Wojska polskie walczyły dzielnie w osamotnieniu. Państwa zachodnioeuropejskie były przekonane o niechybnej naszej klęsce, wycofały swoje przedstawicielstwa, misje z Warszawy. W Warszawie pozostał tylko nuncjusz Stolicy Apostolskiej Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI i ambasador Włoch.

W dniach 12–16 sierpnia 1920 roku doszło do starć między polskimi armiami i Armią Czerwoną w pobliżu Warszawy. Krwawe boje zostały stoczone pod Radzyminem, Zielonką i Ossowem, gdzie polska I Armia gen. Franciszka Latinika odparła bolszewickie ataki i 15 sierpnia przeszła do ofensywy. Decydująca, zwycięska walka naszych żołnierzy w wojnie polsko-bolszewickiej przeszła do historii pod nazwą Bitwy Warszawskiej. Od tej bitwy rozpoczął się pościg za bolszewikami aż do granicy Prus Wschodnich i Niemna. Nad Niemnem w dniach 20–26 września doszło do szeregu walk, bitew z ciągle jeszcze żywotną Armią Czerwoną. Dopiero w operacji niemeńskiej wojska polskie zadały bolszewikom ciosy rozstrzygające o całej wojnie. Bolszewicy stracili ochotę do dalszej walki i rozpoczęli chaotyczny odwrot. Dwa tygodnie trwał pościg za niezdolnymi już do walki bolszewikami. Oddziały polskie zatrzymały się na Dźwinie i zajęły Mińsk.

Już od połowy sierpnia 1920 roku toczyły się rokowania pokojowe między Polską a Związkiem Sowieckim. 15 października podpisany został w Rydze rozejm, trzy dni później zaprzestano walk. Piłsudski odniósł duże zwycię-

stwo militarne, pokonał bolszewików i zatrzymał ich pochód na zachód Europy, udaremnił zamiary wywołania powszechnej rewolucji, uratował Europę od wojny. Bolszewicy naciskali na jak najszybsze zawarcie pokoju z Polską, ponieważ chcieli przegrupować swoje wojska na południe kraju, skąd parły na Moskwę wojska białych pod dowództwem generała Piotra Wrangla. Gdyby udało się zsynchronizować działania rozprzeczonych od zachodu wojska polskiego i gen. Wrangla nacierającego od południa, zapewne bolszewicy musieliby ulec wobec takiej siły.

Rokowania z bolszewikami prowadziła delegacja polska zdominowana przez endeków, ze Stanisławem Grabskim na czele, którzy nie kryli tego, że są przeciwnikami koncepcji federacyjnej Józefa Piłsudskiego, czyli idei Rzeczypospolitej Jagiellońskiej, Rzeczypospolitej Wielu Narodów. Bolszewicy w zamian za pokój gotowi byli pójść na daleko idące ustępstwa terytorialne, czym niestety nie byli zainteresowani endecy. Delegacja polska zrezygnowała z niezawisłej Ukrainy, odrzuciła też propozycję bolszewików przejęcia całej Białorusi, chciała jedynie połowy jej terytorium. Tragiczny los spotkał Polaków mieszkających w kresowych dworach, zaściankach, te najdalej wysunięte na wschód ziemi, utracone po III rozbiore i Rzeczypospolitej. Ponad milion Polaków wydano na pastwę bolszewików. Zostali najpierw po macoszemu potraktowani przez „swoich” polityków, a później przez krwawy reżim bolszewików. O historii mieszkańców tej ziemi, polskiej szlachcie zaściankowej, powstała znakomita książka Floriana Czarnyszewicza „Nadbereżnicy”.

Sojusznice ukraińskie oddziały Semena Petlury i białoruskie Stanisława Bułak-Bałachowicza zostały zmuszone do opuszczenia Polski. Rozczarowane postawą władz Rzeczypospolitej, jeszcze przez miesiąc walczyły z Armią Czerwoną. Wojna z bolszewikami zakończyła się traktatem ryskim podpisanym 18 marca 1921 roku.

Józef Mackiewicz nie mógł zrozumieć, jak można było nie wykorzystać zwycięstwa nad bolszewikami pod Warszawą. Zamiast pociągnąć wojska na wschód, wesprzeć w kontrewolucyjnej walce gen. Wrangla i zdusić bolszewizm, wszak imperium Lenina zaczynało się rozpadać, polscy politycy podpisali pośpiesznie korzystny dla bolszewików traktat ryski.

W opiniach wypowiedzianych przez bohaterów „Lewej wolnej”, Piłsudskiemu ani w roku 1919, ani w 1920, ani w 1921, nie zależało na zduszeniu bolszewizmu. Jakaż gorycz musiały przemawiać przez Mackiewicza, że wygrana wojna, kosztująca ogrom ofiar, nie została wykorzystana do pełnego zwycięstwa. W powieści znalazła się wypowiedź Lenina świadcząca o tym, że politycy polscy uratowali ich w Rydze od niechybnej zagłady: „Wystarczyłoby w zupełności kilka tygodni, a wisielibyśmy na przydrożnych drzewach”.

Losy Kresów Wschodnich, Polski, Europy, świata mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Po raz kolejny

w swojej historii wygraliśmy wojnę, ale przegraliśmy pokój, umożliwiając odrodzenie i utuczenie się krwiożerczego potwora. Hańbą było oddanie bolszewikom w Rydze ziem przez stulecia zamieszkałych przez Polaków. Dawne tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego, tak bardzo bliskiego Mackiewiczowi, zostały przeorane granicą. Granicą hańby. A istniała historyczna szansa na rekonstrukcję Rzeczypospolitej Wielu Narodów. To, co się wydarzyło w czasie II wojny światowej, jak potraktowali bolszewicy Polaków, było konsekwencją niewykorzystanego zwycięstwa nad bolszewikami w 1920 roku. Niewykorzystane zwycięstwa mszczą się okrutnie.

► Pisarz dla dorosłych

„Lewa wolna” spotkała się z bardzo różnymi reakcjami polskich emigrantów – od entuzjastycznych recenzji po skrajnie negatywne. Tych pozytywnych było zdecydowanie więcej, ale zacznijmy od negatywnych.

Przeciwko powieści z furją wystąpiło Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Wypowiedzi jego członków zostały zebrane i opublikowane w broszurze „W obronie prawdy historycznej. Głosy i opinie o książce „Lewa wolna”, która ukazała się drukiem w 1966 roku. Piłsudscy zarzucili Mackiewiczowi, że zniesławiał honor polskiego żołnierza, że tendencyjnie umniejszał zasługi Naczelnika Państwa w walce z Sowietami, że jego ocena wojny polsko-bolszewickiej jest nieobiektywna, wynikająca z punktu widzenia białych Rosjan. Ba, padł nawet zarzut, iż autor pisząc powieść, kierował się nienawiścią w stosunku do Polski. Bolesne, niesprawiedliwe zarzuty, biorące się po trosze z niezrozumienia książki, a przede wszystkim z tego, że postać marszałka Piłsudskiego traktowana była jak świętość. Generał Tadeusz Pełczyński pisał: „Obraz lat 1919–20 zarysowany przez Mackiewicza musimy całkowicie odrzucić jako nieprawdziwy, tendencyjnie wypaczony i uwłaczający nam [...]. Kawalerzyści polscy występujący w tej powieści, a reprezentujący żołnierza polskiego w ogóle, to ludzie bez żadnej busoli ideowej. [...] Kobiety biorące udział w walce – to według Mackiewicza nierządnicę i lesbijki rozwydrzone seksualnie. Przedstawia on je wszystkie w sposób poniżający Polki w ogóle”.

Juliusz Sakowski, wydawca „Lewej wolnej”, odpowiedział gen. Pełczyńskiemu z dużą dozą ironii: „[...] Generał Pełczyński niesłusznie chce widzieć w postaciach powieściowych symbole czy prototypy Polaków i Polek. Zgodny w tym poglądzie jest z teorią (i praktyką) socrealizmu, który domaga się od literatury bohaterów pozytywnych i najchętniej widziałby ich w młodej parze pracującej dla ojczyzny sowieckiej, jeżdżącej na traktorze i śpiewającej pieśni rewolucyjnej”.

Autorami pozytywnych recenzji „Lewej wolnej”, a przy tym niezwykle interesujących pod względem intelektualnym, literackim, byli m.in. Marian Hemar, Mi-

chał Kryspin Pawlikowski, Lew Sapieha, Bohdan Brodziński, Karol Zbyszewski, Michał Chmielowiec, Adam Pragier, Józef Łobodowski. Również dawni piłsudscy, Karol Wędziagolski i Józef Karasiewicz.

Marian Hemar w swojej recenzji „Lewej wolnej” nazwał Henryka Sienkiewicza pisarzem dla dzieci, Stefana Żeromskiego dla młodzieży, a Józefa Mackiewicza „pisarzem dla dorosłych, dla ludzi w wieku męskim, wieku kłęski”. „Józef Mackiewicz na podstawie ludzkich przeżyć pisze historię, ona jest bohaterką książki. Nie umiem sobie inaczej wyjaśnić, dlaczego gdzieś tam świętą kompozycję powieści rozrywa, rozsądza jakby, publicystyka dowodów, cytatów, cyfr, skąd nagle pośrodku znakomitego toku narracji – mapy, po co dokumentacja rozkazów dziennych, listów, telefonogramów, świadków i raportów? Rzecz to niezmierznie ciekawa, jak to suche, rzeczowe autentyzowanie przydaje książce napięcia miast je przerywać, jak podnosi zainteresowanie czytelnika na jakiś wyższy poziom, bardziej jeszcze chciwy tych wszystkich faktów. W tym właśnie niemal »antypowieściowym« chwycie ujawnia się najżywiej rasowy, nieomylny artyzm Józefa Mackiewicza. Nie można nie wyrazić podziwu dla ogromu pracy przygotowawczej, badawczej, historycznej, której dokonać musiał autor, ileż czasu musiał prześleścić w bibliotekach, ileż dokumentów przewertować, jak do nich trafił w naszych emigracyjnych warunkach. Książką Józefa Mackiewicza jestem głęboko przejęty, głęboko poruszony, z serca mu za nią dziękuję” („Tydzień Polski”. Dodatek do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, Londyn 1966, nr 3).

„Lewa wolna” jest książką bardzo wybitną – pisał Józef Łobodowski. Świetne, niekiedy rewelacyjne w swej trafności sceny batalistyczne, kilkoma pociągająciami pióra zarysowany pejzaż, ludzie pokazani bezbłędnie, w jednym urywku chwili jak w przelotnej błyskawicy; dobrze znane z uprzednich utworów zalety pisarskie pogłębiły się jeszcze. Mackiewicz jest tu jeszcze bardziej dojrzały, o absolutnej pewności ręki, panujący suwerennie nad wszystkimi zasobami swego niełatwego warsztatu” („Orzeł Biały”, maj 1966 r.).

W polskiej legendzie narodowej wojna polsko-bolszewicka 1920 roku, a szczególnie Bitwa Warszawska, zajmują poczesne miejsce. Gdyby Józef Piłsudski przegrał tę wojnę, nie byłoby Polski i nas by nie było. Dużej odwagi ze strony Mackiewicza wymagało napisanie tej książki, zmierzenie się z narodowym mitem. Trafnie rzecz ujął Józef Karasiewicz, piłsudczyk, którego trudno posądzać o stronniczość w ocenie „Lewej wolnej”: „Nie odkryłem w niej żadnego naciągania czy fałszowania prawd historycznych. Przeciwnie: obiektywność, bezstronność, wszechstronność. [...] Niejedna z przytoczonych w tej książce prawd raniła mnie bardzo jako piłsudczyka. Ale była prawdą w pojęciu i interpretacji uczciwie myślącego człowieka”.

Agnieszka Kowalczyk

SERCE POLSKI BIJE NA JASNEJ GÓRZE

**Gdy Jan Paweł II
podczas swojej
pierwszej pielgrzymki
do Ojczyzny (1979)
nawiedził Jasną Górę
i stanął głęboko
poruszony przed
obliczem łaskami
słynącej Matki Bożej
Częstochowskiej,
powiedział, że „trzeba
przykładać ucho
do tego świętego
miejsca, aby czuć,
jak bije serce narodu
w Sercu Matki. Bije
zaś ono, jak wiemy,
wszystkimi tonami
dziejów, wszystkimi
odgłosami życia.
Ileż razy było jękiem
polskich cierpień
dziejowych! Ale
również okrzykami
radości i zwycięstwa!”.**

for Krzysztof Sztokowski/Gazeta Polska

Częstochowa, leżąca na malowniczym Szlaku Orlich Gniazd, wśród wapiennych wzgórz, białych ostańców i ruin prastarych zamków, od wieków stanowiła religijne centrum Polski. W jasnogórskiej kaplicy, zwanej Komnatą Królowej, przed Cudownym Obrazem Bożej Rodzicielki łączyły się wszystkie serca – strapiionych, chorych, uciśnionych i tych przybywających z dziękczynną modlitwą na ustach. Jasna Góra jawiła się jako fenomen polskiego życia duchowego, którego najpełniejszym wyrazem stał się uświęcony wielowiekową tradycją zwyczaj pielgrzymowania do tego rozślawionego w Europie miejsca kultu maryjnego.

► Pielgrzymka na Jasną Górę

W istotę tego, co zespalało serca i umysły spieszących do Częstochowy, usiłował wnikać w początkach swej pisarskiej drogi przyszły twórca „Chłopów” Władysław Stanisław Reymont. Był rok 1894, gdy odważył się podjąć wyzwanie, jakie postawił przed nim Aleksander Świętochowski, ówczesny redaktor „Prawdy”, który poradził początkującemu pisarzowi: „Czy jesteś pan wierzącym czy niewierzącym, złóż się z jakąkolwiek kompanią idącą do Częstochowy i opisz nastrój jej uczuć”. I tak oto młody literat jako jeden z tysięcy pątników niemal od pierwszych chwil wędrówki uległ fascynacji pobożnością wszystkich tych, wśród których w myśl ewangelicznej zasady równości i braterskiej miłości, zniknęły wszelkie podziały i różnice – nie było tu panów ani chłopów, biednych ani bogatych, a tylko bracia i siostry. „Wiem – wyznawał Reymont – że ta siostra co obok, ten brat, co przede mną i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam, pospieszą mi z kromką w imię braterstwa [...]. Będę chory, to mnie wsadzą w wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropii nakarmią mnie, zbiorą wytartych groszaków i dadzą – i prosto to zrobią, i szczerze”.

Im bliżej Jasnej Góry, tym więcej sił w rozmodlonych. Niestraszny im lejący się z nieba żar ani gryzące oczy tu-many kurzu, ani nawet nieludzkie zmęczenie, co paraliżuje każdy ruch. Narastająca wciąż myśl, że łada dzień padną na kolana przed obliczem Najświętszej Panienki, pokrzepia i uskrzydla każdego. Z chwilą gdy rozpostarli się przed nimi częstochowskie przedpola, naraz rzucili się przed siebie i nie zważając na kamienistą drogę, na ból, na krew płynącą z poranionych stóp, parli naprzód ku zarysom jasnogórskiego klasztoru. Tymczasem słońce podniosło się i oświeciło strzelającą ku niebu wieżycę. „Maryjo! – buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysięcy ciał runęły na ziemię z krzykiem radości. Widok ten, niby orkan, rzucił te wszystkie głowy w proch – pisał Reymont – zaczęły płynąć łzy rozradawania, a oczy płomienie radością [...], płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapał wszystkich

w jedną bryłę [...], wyrwał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia". Gdy zaś podnieśli się z ziemi, twarze mieli już rozslonecznione i intonując pieśń do Matki Boskiej, ruszyli ku Niej „z siłą światłości dziwnej w oczach”.

To, co miało nastąpić później, przed obliczem Matki Boskiej Częstochowskiej, było już jakimś niepojętym tryumfem wiary i doznaniem cudu w spotkaniu z Tą, która gotowa jest otoczyć matczyną miłością każdą duszę:

„Naraz, ze wszystkich instrumentów bije pieśń, ze wszystkich serc zrywa się huragan krzyków i westchnień [...] przed osłoniętym obrazem Matki Bożej, a przez ten mur ciał przeciska się jakaś dziewczyna, podtrzymywana przez matkę – idzie o kuli, oczy ma zawarte, wyciąga ręce do obrazu i głosem wielkim, potężnym, niewysłowionym brzmieniem wiary, woła:

– Maryjo, uzdrów mnie!... Maryjo, uzdrów mnie!...

I pada na ziemię, jak drzewo podcięte, lecz zrywa się i już bez kul, wyprostowana, jaśniejąca, woła:

– Maryjo! – Widzę! – Maryjo! – Idę!...

A lud cały w jękach, w skowycie leżał i łzami serc, mógzami, krwią, miłością – słał dobroć i żebrał zmiłowania”.

► Ratunek, łaska i cud

O cudach i łaskach doznawanych za przyczyną Matki Bożej Częstochowskiej mówi „Liber miraculorum”, jasnogórska księga zawierająca wykaz 1070 takich niezwykłych wydarzeń, które miały miejsce w latach 1402–1885. W zbiorze stanowiącym jej kontynuację, do 1991 roku odnotowano jeszcze ponad trzysta kolejnych świadectw bezgranicznej miłości Maryi. Dotyczyły one aktów wskrzeszenia umarłych, przywracania wzroku, słuchu i mowy, uzdrawiania kalekich, sparaliżowanych, obciążonych chorobami psychicznymi, obdarowywania bezpłodnych potomstwem, ratowania od śmierci w kopalniach, na morzu i rzekach, odnoszenia zwycięstw na polach bitewnych, nawracania niewierzących, uwalniania z niewoli i pocieszania w cierpieniach... Spośród setek przekazów szczególną uwagę przykuwa dramat rodziny Marcina Lanio, który rozegrał się w Lublińcu na Śląsku w 1540 roku. Otóż, jak wynika z jasnogórskich przekazów, człowiek ów będący rzeźnikiem, pewnego dnia poszedł po zakupy, a jego żona Małgorzata, nie mając kwasu do upieczenia chleba, udała się do sąsiadki, pozostawiając bez opieki dwóch synków. „Starszy Piotruś, który zapewne nieraz widział ojca bijącego cielęta i barany, chciał zabawić się w rzeźnika. Najodpowiedniejszym do tej zabawy wydał mu się śpiący w kolebce mały Kazio. Nie namyślając się długo, wziął ostry nóż i podciął gardło nieszczęsnego dziecka, lecz widząc krew zalewającą brata – zrozumiał, że stało się coś strasznego. Zdjęty przerażeniem, w obawie kary, skrył się w otwartym piecu, gdzie schło drzewo [...]. Wkrótce powróciła Małgorzata i [...] wzięła się do

napalenia w piecu; lecz co to? Jakiś rozdzierający krzyk dobywa się z wewnątrz. Zakrzepła krew w żyłach matki... Spogląda w głąb pieca i widzi tam Piotrusia, wyciąga go, lecz za późno”. Chłopiec już nie żyje, uduszony dymem. Wzrok pada na kolebkę i spostrzega swe drugie dziecko martwe, „pływające we krwi”. Biję głową o ścianę, rwie włosy, drze ubranie, jest jak nieprzytomna. Tymczasem wraca ojciec, widzi trupy dzieci i, jak sądzi, żonę-winowajczynię. Bez namysłu rzuca się na nią i uderzeniem siekiery zabija na miejscu. Gdy po tej strasznej chwili przychodzi opamiętanie, nieszczęsnika ogarnia przerażenie. Nie poddaje się jednak rozpacz, a umysł jego kieruje się ku „promieniowi Bożego światła”. Słucha rad pobożnej sąsiadki i ufa, że Maryja z Jasnej Góry ulituje się nad nim i wskrzesi zmarłych. Mając wielką wiarę w sercu, układa trzy trumny z pomordowanymi na wozie i rusza w drogę do klasztoru paulinów, a przybywszy na miejsce, pada krzyżem przed wejściem do kaplicy i widzi, jak jej mroki rozświetla jakby nadziemskim blaskiem jaśniejące oblicze Jasnogórskiej Madonny. Przed ołtarzem celebrował nieszpory ksiądz Stanisław Oporowski. „Modli się czcigodny kapłan, woła o miłosierdzie nieszczęśliwy mąż i ojciec, kaja się, kruszy; płacze i modli się lud zgromadzony w świątyni”. Wszyscy trwają w oczekiwaniu na cud, a „serce biednego Marcina Lanio bije, jak dzwon na trwogę, bije, jęczy, łka i błaga o łaskę”. Gdy zaś rozlegnie się pieśń: „Uczył mi wielkie rzeczy, który możny jest i święte Imię Jego”, z mar powstają umarli, ci, których przywiózł przed oblicze Maryi, jego najbliżsi...

Takich cudów wskrzeszenia jasnogórskie kroniki odnotowują łącznie 33. Wśród nich znajdziemy relację o przywróceniu do życia pięcioletniego Samuela (1517), dziecka Stanisława i Anny Wadziów, a także zmarłego w 1674 roku Stefana, syna Małgorzaty Złoczewskiej z Podola. Znamienna była też historia Michała Pruszyńskiego, kanonika kijowskiego i proboszcza w Toporowie, który w 1717 roku został całkowicie sparaliżowany, nie słyszał, nie widział i leżąc jak trup, kazał przygotować sobie trumnę i grób na cmentarzu. W końcu, 8 lutego 1720 roku, zmarł. Wtedy też, gdy złożony został już na marach, jak potem sam wyznawał pod przysięgą, objawił mu się św. Paweł Pustelnik, patron zakonu paulinów, i przemówił doń słowami: „Wstań i idź uczcić Cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej – z Jej bowiem łaski z grobu wstajesz”. I w tym oto momencie zaczął wołać o ratunek. Krzyk przeraził żałobników, którzy czym prędzej otworzyli wieko trumny i ujrzeli w niej... żywego kapłana. Ten zaś nie tylko odzyskał życie, lecz także wzrok, słuch i czucie w całym ciele, a w akcie dziękczynienia udał się na Jasną Górę, by przemierzywszy 70 mil o własnych siłach, oddać hołd Maryi.

Ratunek u Maryi znalazło też wielu ociemniałych, m.in. nadworny malarz króla Władysława Jagiełły, mistrz Jakub Wężyk, który straciwszy wzrok, udał się z Wilna na Jasną Górę, by błagać „o światło dla zmarłych oczu”.

Tam też zwracając twarz w stronę wizerunku Matki Częstochowskiej, doświadczył uzdrowienia. „Odtąd już widział dobrze i malował z wdzięczności obrazy swej Niebieskiej Dobrodziejki”. Takiej samej łaski dostąpili ślepy przez kilkanaście lat Jakub Poznański z Grabowca (1592), ociemniała Małgorzata Pierzchała z Myślenic (1595), niewidomy i głuchoniemy Marcin Obietyiński z Kamieńca (1597) czy sparaliżowany Maciej Święcik (1634)... Przypadków, w których Najświętsza Lekarka niosła wybawienie, łaskę i cud, były jeszcze setki.

► „Tryumf Królowej po odebranej niewinnie obeldze”

Historia cudownego wizerunku Czarnej Madonny spleta się nierozłącznie z historią Rzeczypospolitej, sam natomiast moment jego powstania, ginący w mroku odległych wieków, osnuty jest legendą. Według pradawnych przekazów postać Najświętszej Marii Panny z Dzie-

czytując to za znak Boży, książe przy istniejącym na Jasnej Górze kościółku drewnianym wznosił kaplicę, w której umieścił słynący cudami wizerunek Maryi, a pieczę nad nim powierzył sprowadzonym z Węgier ojcom paulinom. Wielkim dobroczyńcą dla tego świętego miejsca okazał się król Władysław Jagiełło, który za namową swej małżonki Jadwigi potwierdził fundację klasztoru i hojnie go obdarował.

W kwietniu 1430 roku całą Polskę wstrząsnęła wieść o napadzie husytów na Jasną Górę i profanacji obrazu Bogurodzicy, który złoćcyńcy wyrwali z ołtarza, poćwiartowali szablami, przebili mieczem i porzucili kilkaset metrów od klasztoru. Poważnie uszkodzona i zbezczeszczone ikona oddana została z inicjatywy króla Władysława Jagiełły do renowacji w Krakowie. Pracujący nad jej odnową wschodni malarze usiłowali przywrócić obrazowi dawny blask, pozostawiając jednak ślady ran zadanych Matce Bożej przez napastników. Zachowali te same deski, na których pierwotnie powstał Jej wizerunek, teraz

O CUDACH I ŁASKACH DOZNAWANYCH ZA PRZYCYNĄ MATKI BOŻEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ MÓWI „LIBER MIRACULORUM”, JASNOGÓRSKA KSIĘGA ZAWIERAJĄCA WYKAZ 1070 TAKICH NIEZWYKŁYCH WYDARZEŃ Z LAT 1402–1885.

ciątkiem utrwalić miał w Jerozolimie sam Łukasz Ewangelista, a dzieło wyszłe spod jego świętobliwej ręki, namalowane ponoć zostało na deskach stołu w domu Maryi, gdzie spędziła ostatnie lata swego ziemskiego życia. Z Ziemi Świętej, jak wieść głosi, obraz sprowadził do stolicy Bizancjum cesarz Konstantyn Wielki, by potem podarować tę starą relikwię księciu ruskiemu Lwu, który przywiózł ją do swych włości na Rusi Czerwonej. Tam też, jak czytamy w „Translatio tabulae”, na czcigodny wizerunek Maryi ukryty w Belzie natrafił namiestnik króla Ludwika Węgierskiego, piastowicz śląski Władysław Opolczyk, który doświadczył wielkiej łaski Bożej w bitwach z Tatarami i Litwinami oblegającymi bełski zamek. Podczas jednego z ataków, w momencie gdy tatarska strzała ugodziła oblicze Bogurodzicy, mgła spowiła nacierających, a ich serca ogarnął strach. Wówczas to modlący się do Maryi śląski książę ruszył do ataku i rozgromił wroga. Odtąd stał się on jeszcze gorliwszym czcicielem Niepokalanej, a jej otaczaną wielkim kultem ikonę postanowił przewieźć w 1382 roku do swego rodzowego gniazda na Śląsku. Gdy jednak w czasie podróży, po chwilowym odpoczynku pod Częstochową, chciał jechać dalej, obrazu żadną siłą z miejsca ruszyć nie zdołano. Po-

„przyozdobiony złotem, srebrem i klejnotami ze skarbu Królewskiego Majestatu”. W roku 1434 odprowadzono odnowiony Obraz Jasnogórskiej Pani do jej stolicy. W XIX-wiecznej „Pamiętce z Częstochowy” czytamy, że był to przepiękny pochód „po malowniczych krakowskich wzgórzach i błoniach, przez Olkusz, Pilicę, Żarki, Olsztyn [...] prawdziwy tryumf Królowej, po odebranej niewinnie obeldze. Zawsze był słynny wizerunek Matki Bożej, na Jasnogórze, lecz od owej chwili sława Jego nieskończenie się wzmogła”.

► Z pomocą Matki Bożej przeciw szwedzkiej nawaie

Począwszy od Władysława Jagiełły, do Częstochowy pielgrzymowali kolejni polscy królowie, oddając hold Jasnogórskiej Pani i składając u Jej stóp drogocenne wota błagalne i dziękczynne. Wielkim czcicielem Maryi okazał się Zygmunt III Waza, który „na widok kościoła dwie mile przed miejscem cudownym z karety wychodził, padał na kolana [...] aby uczcić Najświętszą Maryję Pannę, i resztę drogi szedł pieszo”. Za jego to sprawą Jasną Górę opasały wały obronne, a ufortyfikowany klasztor prze-

obraził się w fortecę Maryi – Fortalitium Marianum, której już niebawem przyszło stawić czoło szwedzkiej zastępom zalewającym polską ziemię. W pamiętnym roku 1655, gdy pod obce panowanie dostały się Warszawa, Poznań i Kraków, gdy wojsko koronne skapitulowało, a król Jan Kazimierz zmuszony był uciekać na Śląsk, mała twierdza częstochowska, o załodze złożonej ze 170 żołnierzy, 20 szlachciców i 70 zakonników, potrafiła pod wodzą przeora Augustyna Kordeckiego i miecznika sieradzkiego Stefana Zamoyskiego przez pięć tygodni odierać skutecznie ataki oblegającej ją trzytysięcznej armii uzbrojonej w ciężkie działa oblężnicze i dowodzonej przez generała Burcharda von de Lühne Müllera, któremu nadano przydomek Poliocertesa – burzyciela twierdzy.

Gdy podczas szwedzkiej nawały ważyły się losy ojczyzny, klasztor paulinów nieustępliwie stawiał czoło oblegającym go najeźdźcom, co w sposób przemawiający do wszystkich serc oddał Henryk Sienkiewicz w „Potopie”, wyrosłym z ducha złotej epoki polskiego rycerstwa. „Klasztor zaś bronił się coraz lepiej – czytamy w powieści – okazało się, że działa nadesłane przez pana krakowskiego nie ustępują w niczym tym, którymi rozporządzał Miller, a puszkarze przez swą ciągłą praktykę doszli do takiej wprawy, że każdy ich strzał powalał nieprzyjaciół. Szwedzi spędzali to na czary. Puszkarze odpowiadali wprost oficerom, że z tą siłą, która klasztoru broni, nie ich rzecz walczyć. Pewnego ranka popłoch wszczął się we wschodnio-południowym przykopie; żołnierze bowiem ujrżeli wyraźnie niewiastę w błękitnym płaszczu, osłaniającą kościół i klasztor. Na ten widok rzucili się pokodem twarzami na ziemię. Próżno nadziejał sam Miller, próżno tłumaczyli im, że to mgły i dymy ułożyły się w ten sposób, próżno wreszcie groził sądem i karami. W pierwszej chwili nikt nie chciał słuchać; zwłaszcza że sam generał nie umiał ukryć przerażenia”.

Bohaterska obrona klasztoru stała się momentem zwrotnym w dziejach wojny ze Szwedami. To ona natchnęła wiarą w zwycięstwo walczących z najeźdźcą Polaków, którzy mając przed oczyma oblicze Jasnogórskiej Pani i jej gorliwych obrońców, poczuli, że uratowanie Rzeczypospolitej jest ciągle możliwe. I tak też ostatecznie się stało. Klasztor jasnogórski wytrzymał oblężenie, naród polski odparł szwedzką nawałę, a Matka Boska Częstochowska stała się Królową Korony Polskiej. Król Jan Kazimierz, wdzięczny niebiańskiej Orędownicze za ocalenie Jasnej Góry, 1 kwietnia 1656 roku, składając w katedrze lwowskiej uroczyste śluby, oddał Rzeczpospolitą pod władzę Matki Bożej i uczynił ją swoją Patronką. W następnym stuleciu, 8 września 1717 roku, wizerunek Maryi uwieńczony został koronami papieskimi, darem Ojca Świętego Klemensa XI. Była to pierwsza tego rodzaju uroczystość poza Rzymem, w której wzięło udział 200 tysięcy pątników zmierzających do częstochowskiego sanktuarium ze wszystkich stron Polski, a także z Moraw i Węgier.

► Jasna Góra sercem narodu

Gdy w drugiej połowie XVIII wieku dla Rzeczypospolitej nadszedł obfitujący w dramatyczne wypadki czas zmagania o uratowanie niezależnego bytu państwowego, Jasna Góra przeobraziła się w bastion broniący wolności. Stała się twierdzą konfederatów barskich, którzy dowodzeni przez Kazimierza Pułaskiego przez trzy lata dawali skuteczny odpór Rosjanom z częstochowskiej fortecy. Dopiero w sierpniu 1772 roku, gdy konfederacja upadła, „po raz pierwszy wrogowie wkroczyli w jej niezwyciężone mury”. Niedługo potem Polska, rozdarta między trzech zaborców, zniknęła z mapy Europy.

W mrocznym okresie niewoli to właśnie na Jasnej Górze biło serce Ojczyzny i tam też wokół Cudownego Obrazu konsolidował się naród, by czerpać moc przetrwania. Wówczas to Częstochowska Madonna – Królowa Polski jawiła się mocarstwu zaborczym jako poważne zagrożenie dla ich władzy w ujarzmionym kraju. Jasnogórska Maryja w oczach rosyjskiego imperatora urastała do roli „główniej rewolucjonistki w Królestwie Polskim”. Jawna obrazą uczuć religijnych Polaków stało się umieszczenie przed Kaplicą Jasnogórską monumentu przedstawiającego cara Aleksandra II Romanowa, którego postać zwrócona została tyłem do Cudownego Obrazu, a twarzą ku miastu. Ten haniebny pomnik wzniesiony staraniem warszawskiego generał-gubernatora Iosifa W. Hurki i zagorzałego rusyfikatora polskich szkół Aleksandra L. Apuchтина, zniszczony został 15 października 1917 roku, w setną rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki. W księgach miejskich odnotowano, że w miejscu, „gdzie stał symbol ucisku, niewoli, bezprawia i prześladowań religijnych, po których ślady już usunięto, wznosi się postać Najświętszej Marii Panny depczącej węża”.

Po odzyskaniu niepodległości cała Polska składała korny hołd swej Patronce i Władczyni, przydając Jej w 1926 roku insygnia władzy królewskiej – berło i jabłko stanowiące dar polskich kobiet. W roku 1919 przybył na Jasną Górę jako pielgrzym generał Józef Haller, by podziękować Maryi za wyzwolenie ojczyzny, a Ojciec Maksymilian Kolbe przed Cudownym Obrazem odprawił swą mszę prymicyjną. Gdy latem 1920 roku do Warszawy zbliżała się bolszewicka nawała, „wszystkie oczy i serca zwrócone były w stronę Jasnej Góry, czekając stamtąd ratunku”. Leżący krzyżem na klasztorным placu Polacy modlili się żarliwie do Królowej Polski o wybawienie, a 15 sierpnia, w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, dokonał się „Cud nad Wisłą”. 21 października 1921 roku przybył na Jasną Górę zwycięski wódz i Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. W połowie sierpnia 1932 roku potężna siła religijnego przeżycia ogarnęła tysiące pielgrzymujących do źródła matczynej miłości, którzy zalali drogi, dróżki i ścieżki wiodące do klasztoru ojców paulinów, by wziąć udział w wielkich uroczystościach

550-lecia sprowadzenia na Jasną Górę Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej.

► „Matka Boża Uwięziona”

Siedem lat później, gdy Niemcy rozpętały II wojnę światową, Jasnej Górze zagroziło śmiertelne niebezpieczeństwo. O planach unicestwienia słynnego na całym świecie sanktuarium maryjnego oraz o jego cudownym ocaleniu wiemy m.in. z zeznania Stanisława Biegalskiego, mieszkańca Kępna, który, będąc na robotach w Rzeszy, od zaprzyjaźnionego Niemca dowiedział się, że 1 września wysłano eskadrę samolotów w celu zbombardowania klasztoru, ale piloci stwierdzili, że otrzymali złe szkice, bo w wyznaczonym miejscu było ogromne jezioro i tam zrzucili bomby. Dowództwo, uznając to za sabotaż, oddało ich pod sąd polowy. Nazajutrz wysłano drugą grupę lotników z takim samym zadaniem, ale i ci zawiedli, ponieważ we wskazanym miejscu ukazał się im wielki bór i tam trafił ich śmiertelny ładunek. Wreszcie, rannym 2 września, wysłano trzecią eskadrę, której załogę stanowili tym razem sami ochotnicy z oficerskich szeregów SS. I ci jednak nie byli w stanie zaatakować klasztoru. Żaden z nich zresztą nie powrócił do bazy...

Los sprawił, że Biegalski trafił przypadkiem w gošcinę do matki jednego z tych mających zniszczyć Jasną Górę SS-manów. Okazało się jednak, że nie jest to już ten sam człowiek, co kiedyś – „utracił zdrowie, ale odzyskał wiarę”. Bo chociaż został kaleką i poruszał się o kulach, uwierzył w Bożą Opatrzność i niezwykłą moc Maryi. „Będąc lejttnantem lotnictwa wojskowego, formacji SS – opowiadał swoją historię Biegalskiemu – zgłosiłem się na ochotnika do eskadry, której celem było zbombardowanie kościoła z obrazem Schwarze Madonna w Częstochowie w dniu 2 IX 1939 r. [...] Gdzieś w połowie trasy stery nasze zaczęły działać samoczynnie i zauważyłem, że wszyscy lecą w różnych kierunkach, nie osiągając celu. Ja wylądowałem w Czechosłowacji na kartoflisku, z braku benzyny. O losie kolegów nic nie wiem [...]. To moje kallectwo jest dla mnie cudem odzyskania wiary”.

Po zakończeniu II wojny światowej, we wrześniu 1946 roku, kardynał August Hlond w imieniu swych rodaków, których dwumilionowa rzesza zgromadziła się na Jasnej Górze, dokonał uroczystego aktu poświęcenia narodu Niepokalanemu Sercu Maryi. On też, doczekawszy się czasów, gdy na polskiej ziemi zapanował obcy jej duchowi reżim komunistyczny, wieszczył na łożu śmierci tryumf Maryi, wypowiadając prorocze słowa: „Zwycięstwo gdy przyjdzie, będzie to zwycięstwo Matki Najświętszej”. Gdy kardynał odszedł do wieczności, komuniści wypowiedzieli otwartą wojnę polskiemu Kościołowi.

Nowy prymas Polski Stefan Wyszyński, podczas interwowania w stalinowskim więzieniu w Komańczy (1953–1956), ułożył tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego,

które złożone zostały przed obliczem Matki Bożej Częstochowskiej 26 sierpnia 1956 roku w 300. rocznicę Ślubów Jana Kazimierza. Wówczas o oswobodzenie duszpasterza Polski modliło się milion wiernych. Jeszcze w październiku tego samego roku został uwolniony, stając się inicjatorem peregrynacji kopii Cudownego Obrazu Jasnogórskiej Pani po diecezjach i parafiach całej Polski. 26 sierpnia 1957 roku nastąpiło historyczne zetknięcie Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej z jego kopią, która 7 września z katedry warszawskiej wyruszyła na pierwsze, trwające 23 lata, nawiedzenie kraju. Władze komunistyczne czyniły wszystko, by utrudnić przebieg peregrynacji. Doszło nawet kilkakrotnie do „aresztowania” Obrazu, m.in. 7 czerwca 1966 roku za Lublinem, kiedy to milicja zatrzymała samochód-kaplicę, zasłoniła ją plandekami i odstawiła na Jasną Górę. Jeszcze w tym samym miesiącu wędrującemu wizerunkowi Maryi zagrodzono drogę pomiędzy Pasłękiem a Ostródą, i mimo protestów prymasa Wyszyńskiego przewieziono do katedry warszawskiej, gdzie codziennie przybywały tłumy, by oddawać hołd „Matce Bożej Uwięzionej”. Kolejną próbę przerwania peregrynacji służby komunistyczne podjęły 4 września 1966 roku. Wówczas Obraz Nawiedzenia przetrzymywano sześć lat na Jasnej Górze, a nad tym, by znów nie wyruszył w pielgrzymią trasę po Polsce, czuwały dwa posterunki milicji warujące u bram wjazdowych na Jasną Górę. Ale nawet wtedy Częstochowska Pani wychodziła na spotkanie z Polakami, bo „zamiast Obrazu Nawiedzenia wędrowały puste ramy, Ewangeliarz i świeca”.

Na te trudne czasy przypadły obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, podczas których, 3 maja 1966 roku na Jasnej Górze, duchowieństwo oddało znikającą Ojczyznę „w macierzyńską niewolę Maryi, Matki Kościoła, za wolność Kościoła Chrystusowego”. Wtedy też na wielkie uroczystości milenijne zapragnął przybyć Ojciec Święty Paweł VI, by uczcić Matkę Częstochowską i darować Jej złotą różę, ale władze komunistyczne, mimo ponawianych prośb, nie wyraziły na to zgody.

Dopiero 4 czerwca 1979 roku w progi jasnogórskiej świątyni wstąpił ze złotą różą dla Matki Bożej pierwszy w dziejach papież z Polski – Jan Paweł II, który poruszony mówił: „Spełniła się wola Maryi. Jestem tutaj! [...] Sługa powołany z tej ziemi, wzięty od podnóża Jasnej Góry”. Do tego jedyne miejsce, gdzie każdy Polak mógł czuć się wolnym, przybyło wówczas na spotkanie z Ojcem Świętym trzy i pół miliona wiernych, a On, Piotr XX wieku i Orędownik uciśnionego narodu, zawierzał Pani Jasnogórskiej swą Ojczyznę i samego siebie, powtarzając z wiarą i mocą: „Matko! Jestem cały Twój i wszystko, co moje, jest Twoim”.

Źródła: A. Jackowski, J. Pach, J.S. Rudziński, „Jasna Góra”, Wrocław 2001; „Cuda i łaski zdziałane za przyczyną Jasnogórskiej Matki Bożej dawniej i dziś”, red. K. Kunz, Częstochowa 1997.

Teksty Jacka Kwiecińskiego o Ronaldzie Reaganiu – nie chce się wierzyć, że od śmierci Jacka minęło już osiem lat – należały do najważniejszych w historii Stefy Wolnego Słowa. Warto, by nowi, może młodszy Czytelnicy znali tę pisaną z niezwykłą pasją publicystykę. Znajdą w niej odpowiedź na pytanie, dlaczego jesteśmy zwolennikami sojuszu

z Ameryką. Stanie się dla nich odtrutką na bredzenie o geopolityce przez autorów różnych internetowych pogadek od prawa do lewa i od pożytecznych idiotów po płatne moskiewskie szumowiny. Czytając poniższy tekst z 2011 roku, zdałem sobie sprawę, jak wiele nowych kontekstów dołożyło do niego ostatnie 9 lat. Wielka publicystyka się nie starzeje...

Jacek Kwieciński

Ronald Reagan – szermierz wolności

„Jesteśmy w stanie wojny, a przegrywamy ją dlatego, bo nie chcemy zdać sobie sprawy, że ją toczy” – Ronald Reagan, 1962, 1964, 1967

„Ronald Reagan był pierwszym prezydentem, który przeszedł do ofensywy [przeciw ZSRR]. Jego prezydentura przesądziła o wszystkim. To, co osiągnął Reagan, było najwspanialszym sukcesem polityczno-dyplomatycznym w nowożytnych dziejach” – Henry Kissinger, 1992, 2002.

Jak R. Reagan doszedł do pozycji, na której mógł zacząć realizować idee sformułowane w poprzednich dekadach? Zanim na to odpowiem, muszę raz jeszcze wskazać na całkowitą rewolucyjność jego koncepcji: „my wygrywamy, oni przegrywają” (ZSRR, komunizm), bo ta rewelacyjność wciąż wydaje się być niedoceniana.

„Wygnać” było całkowitą herezją wobec obowiązującej ortodoksji. Takie podejście przestało być zrozumiałe dla elit/polityków. Wszystkich. W ogóle nie myślano w tych kategoriach. Od dawna Reagan był pierwszym i jedynym, który w zwycięstwo wierzył i do niego dążył.

A przecież jego zdanie jeszcze z 1962 r.: „Wojny [zimne czy gorące] na ogół wygrywa się lub przegrywa” cechował elementarny zdrowy rozsądek.

J.F. Revel pisał: „Demokracja będąca bez ustanku w totalnej defensywie wobec totalitaryzmu nie śmie nawet przyznać, że jest w walce z nim. Przypomina piłkarza, któremu pozwala się prowadzić piłkę wyłącznie do środka boiska”. Miało to być nastawienie jedynie możliwe. I sensowne.

R. Nixon, aczkolwiek już po odejściu z prezydentury, zauważył trafnie, że „celem Sowietów jest zwycięstwo bez

wojny. Naszym celem jest pokój bez zwycięstwa”. Ale i temu nie przyszło nawet do głowy, że Ameryka, Zachód też mogą dążyć do pokojowego zwycięstwa. O przejściu do ofensywy nawet nie pomyślał.

Już koncepcja Trumana – powstrzymywanie (containment) – była na wskroś defensywna – skazywała nas na wieczną niewolę. Potem było coraz gorzej.

► Wizjoner i ślepcy

Eisenhower martwił się wyłącznie o wzrost „wydatków na zbrojenia”, które szkodzą i systemowi amerykańskiemu, i sowieckiemu (zrównując je), bo „uniemożliwiają zaprowadzenie prawdziwego dobrobytu i szczęścia obywateli na całym świecie”. Zaczęto organizować „szczyty” (za Eisenhowera, licząc spotkania szefów MSZ, było ich osiem). Po którymś z nich uchodzący ongi za antykomunistę numer jeden szef amerykańskiej dyplomacji, John Foster Dulles, potrafił kompromitująco stwierdzić: „polityka sowiecka była oparta na braku tolerancji [...] teraz polityka sowiecka opiera się na tolerancji, uwzględniającej chęć współzycia w dobrych stosunkach ze wszystkimi”.

Przerodziło się to w defensywność totalną, jakieś otępienie wobec realnej rzeczywistości. Nixon z Kissingerem już całkowicie się zakochali w tzw. detente. „Silniejszy, zdrowy Związek Sowiecki jest korzystny dla Ameryki

i świata, bo wówczas nie będzie mowy o rywalizacji, lecz współpracy” – mówił Nixon. [...]

W 1973 r. na tajnym zjeździe partii komunistycznych w Pradze Breżniew oświadczył bez ogródek, że detente służy „obozowi socjalizmu” o wiele lepiej niż ewentualne użycie zbrojnej pięści. „Korelacja sił zmieniła się zdecydowanie na korzyść »obozu pokoju i socjalizmu« i proces internacjonalistycznej walki klasowej będzie trwać aż do zwycięstwa. Około 1985 r. ZSRR będzie w stanie narzucić swą wolę komukolwiek” – chełpił się. Wszystkie wywiady знаły te deklaracje. I co? Wzmocno wysiłki odprężeniowe.

Prezydent Carter zadeklarował, iż USA wyzbyły się „głupich obaw przed komunizmem”. W czasie, gdy Sowieci podbijali kolejne kraje. Jego ambasador w ONZ stwierdził, iż najemnicy kubańscy ZSRR wspomagający (wraz z R. Kapuścińskim) opanowanie Etiopii przez najkrwawszy, po Pol Pocie, reżim komunistyczny, odgrywają rolę „stabilizującą”. Ameryka szanuje „socjalistyczny wybór narodu etiopskiego” i nie zamierza na tym terenie „naruszać interesów sowieckich”. Po najeździe Sowietów na Afganistan Carter wyraził szczerze zdumienie, że ZSRR mógł tak postąpić. Zbigniew Brzeziński, ówczesny doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa, martwił się najbardziej tym, iż odprężenie zostało poddane trudnej próbie. Sowiecki atak wzmacnia „niestety” konkurencyjny element stosunków amerykańsko-sowieckich – ubolewał. Był ogromnie zatroskany amerykańską możliwością zwiększenia wyścigu zbrojeń. „Mam nadzieję, że obie strony wykażą rozsądek i do tego nie dojdzie”.

A Reagan głosił potrzebę zmobilizowania całego potencjału Stanów. Odrzucał zawsze i detente, i odprężenie, i „powstrzymywanie”.

1963 r.: „zamiast pokojowego współlistnienia należy zmusić ZSRR do rywalizacji. Nie podolają jej i ich system upadnie. Należy się tylko wyżyć strachu, który jest najpotężniejszym orężem sowieckim”.

1964 r.: „Dąży się do porozumienia z wrogiem, sądząc, że porzuci swą naturę i zacznie nas kochać. Tymczasem jego zachowanie wynika z samej natury komunizmu”.

1967 r.: „Polityka amerykańska polega wyłącznie na reagowaniu na symptomy zachowania ZSRR. Musimy na wszelkie sposoby [oprócz naturalnie frontalnej wojny] dążyć do zmiany sowieckiego systemu. Mówią nam, że są to trudne problemy, na które brak prostych odpowiedzi. A może jest wręcz przeciwnie: rozwiązanie jest bardzo proste, tylko brak nam odwagi i wyobraźni, by je zastosować”.

1978 r.: „Sowieci mówią wciąż i wciąż, że ich celem jest zaprowadzenie na całym świecie swego makabrycznego i niekompetentnego systemu. A czy my mamy jakiś cel ostateczny, wizję, jak to się wszystko skończy? A może ktoś wierzy, że Sowieci zrozumieją błędność swego postępowania i porzuci swą ideologię. Czy najlepszym rozwiązaniem nie jest przejście do ofensywy i pokojowe doprowadzenie do tego, aby ich system upadł?”.

► Prawda i użyteczni idioci

Prawda wyrażona publicznie to niesłuchanie potężna broń. Wcześniejsze i późniejsze wypowiedzi Reagana, uzupełniające konkretne kroki (zwłaszcza wojnę ekonomiczną i wspieranie wszelkich ruchów antykomunistycznych w podbitych krajach), oddziaływały przede wszystkim na ludzi za żelazną kurtyną.

Łagiernik Natan Szczarański opisywał, jak więźniowie przekazywali sobie wieści o nich z ust do ust. „Nastał prezydent USA, który mówi prawdę, który się nie obawia mówić głośno prawdy. Coś się musi zmienić”.

Najważniejsze przemówienia wygłosił Reagan na Uniwersytecie Notre Dame (już 17.05.1981 r.): „Zachód nie zaledwie powstrzyma komunizm, Zachód zwycięży komunizm. Zostanie on odrzucony jako dziwaczny rozdział w historii ludzkości, rozdział, którego ostatnie strony są właśnie pisane”. I w brytyjskim parlamencie (8.06.1982 r.): „Marsz wolności sprawi, że marksizm-leninizm znajdzie się na śmietniku historii, tam, gdzie spoczywają inne totalitarne ideologie, które duszą wolność i zamykają usta obywatelom”.

8 marca 1983 r. w Orlando mówił: „Totalitaryzm łamie wszystkie zasady moralne, aby przybliżyć swój cel, światową rewolucję, dominację nad każdą jednostką ludzką [...] stanowi źródło zła we współczesnym świecie” (w powszechnej percepcji pozostało określenie „imperium zła”). Słowa te wywołały oczywiście furie w Sowietach.

Ale wydaje się, że jeszcze większą wśród gadających klas na Zachodzie, w USA. Wystąpienia te określono tam jako „pobożne życzenia na granicy majaczeń”. Głośny komentator „New York Times” wpadł w amok: stwierdzenia Reagana są „prostackie, uproszczone, oburzające, bezwstydną, prymitywne. Tak, to jest odpowiednie słowo, prymitywne”.

Reakcje amerykańskich tzw. elit ukazują, w jakiej atmosferze działać musiał Reagan. S. Bialer (1982 r.): „ZSRR nie jest i nie będzie w następnej dekadzie w stanie kryzysu”; A. Schlesinger (1982 r.): „ci, którzy w USA sądzą, że ZSRR jest u progu ekonomiczno-socjalnego upadku, poddają się głupim złudzeniom, samookszukują się, ośmieszają”. Ekonomista J.K. Galbraith (1984 r.): „W ZSRR ma miejsce wielki postęp gospodarczy, odnotowuje się tam, w odróżnieniu od Zachodu, sukcesy”. S. Talbott (1983 r.): „próba wypchnięcia Sowietów z Europy Wschodniej jest totalnie bezsensowna”, „należy się rozbrajać [tzn. USA powinny się rozbrajać – J.K.]”. S. Cohen (1983 r.): „Reagan porzuciwszy zarówno »powstrzymywanie«, jak i detente, działa w zupełnie innym kierunku: chce zniszczyć ZSRR, a nawet obalić system komunistyczny. Jest to cel obłądny. Prezydent cierpi na potencjalnie śmiertelną sowietofobię, reaguje na potęgę ZSRR w sposób patologiczny, chory”.

Potem A. Schlesinger twierdził, że upadku ZSRR „nikt nie przewidział”. Reagan nie tylko go zapowiedział, ale spowodował.

Kapitałną uwagę Reagana – „pierwszym krokiem do przyspieszenia upadku sowieckiego komunizmu jest odróżnienie symptomów zimnej wojny od ich źródeł” – też wykpiono. Czy ci ludzie, ci politycy wspomagający w istocie Sowietów, dążyliby kiedykolwiek do pokonania komunizmu? Talbott: „Współistnienie z ZSRR nie ma alternatywy”. [...]

Jego następca poszukiwał, nadaremnie, „tej tam wizji” (that vision thing), jego poprzednik rozprawiał o nieuchronnym biegu historii, który wyraźnie sprzyjał Sowietom. Godził się z tym. Obaj byli politykami konwencjonalnymi. Żyli czasem, który zastali. Reagan zaczął tworzyć nowy czas. [...]

► Czas przełomu

Droga Ronalda Reagana do prezydentury jest fascynująca. Także dlatego, że wiąże się z narodzinami współczesnego konserwatyzmu jako wreszcie poważnej siły politycznej i intelektualnej. Dziś zgoda wszyscy są zgodni, że wydarzeniem najważniejszym było telewizyjne wystąpienie Reagana na rzecz prezydenckiej kandydatury Barry’ego Goldwatera w 1964 r. [...]

To wystąpienie ze słynnym zakończeniem: „Ty i ja mamy rendez-vous z przeznaczeniem” z 27 października 1964 r. przeszło do historii. Reagana „Czas wyboru” („A Time for Choosing”) uznawane jest za najwspanialszy, najbardziej efektywny, przełomowy apel przedwyborczy w najnowszych dziejach Ameryki. I znane po prostu jako „Mowa” („The Speech”).

Reagan zawarł w nim całą swą wizję w sprawach krajowych i zewnętrznych. Mowę szlifował latami, uzupełniał, udoskonaliał. Jej elementy były obecne już w jego dużo wcześniejszych wystąpieniach. Mówił to, w co głęboko wierzył. Ten autentyzm podzialał na wielu wręcz elektryzująco. O 3 rano obudzono Reagana – w centrali partii telefony wręcz się urywały. „To ten człowiek, Reagan, powinien być prezydentem”. Przemówienie wydano nawet na płycie – wtedy, oczywiście, plastikowej. Zmobilizowało rzesze młodych, przekonało ich do konserwatyzmu (nieco na podobieństwo przejścia do republikanów wielu słynnych „demokratów Reagana”, po 1981 r.).

Goldwater, konserwatyści jeszcze tych wyborów wygrać nie mogli. Ale mowa Reagana stała się punktem zwrotnym. Ruch miał lidera, miał wizję. Prasa, rozanielona wielkim zwycięstwem L. Johnsa, odrzuciła, o 180 stopni mylnie, definitywny koniec konserwatyzmu. Tymczasem to był jego współczesny start.

Namówiono Reagana, aby kandydował na stanowisko gubernatora Kalifornii. W końcu zgodził się, a lata później stan stał się jego „ojczyzną”. Tu zbudował własnymi rękami słynne dziś rancho (zabytek narodowy). Zasłепiona prasa nie dawała mu cienia szansy, przeciwnik był potęż-

ny, popularny. Zlekceważył Reagana. Efekt – poległ różnica ponad miliona głosów, przegrywając w 82 z 88 hrabstw.

Reagan dobrze sprawował swą funkcję w wielce demokratycznym stanie. Potrafił się dogadać z demokratami, ale kiedy było trzeba, wetował ich akty legislacyjne (ponad 900 razy w ciągu dwóch kadencji).

Kalifornia była centrum kontrkulturowej rewolwy, a stolicą tego centrum Socjalistyczna Republika Berkeley (tak nazywana). Reagan nie bał się wchodzić w środek burzliwych demonstracji. Gdy agresywni manifestanci obiecywali mu „krwawą łaźnię”, poradził im, by najpierw udali się do zwykłej łaźni. Gdy zaczęto demolować campus Berkeley, nie wahał się wezwać gwardię narodową. Mimo, iż ostrzegano go, że to polityczne samobójstwo, wyrzucił z pracy szefa całej edukacji w stanie, bo stał się symbolem tchórzostwa wobec rewolwy. [...]

W rocznicę niesławnego werdyktu Wade vs. Roe napisał dwa krótkie eseje w obronie życia poczętego. Wydano je w formie małej książeczki; pierwszy raz w historii prezydent opublikował coś w trakcie urzędowania. Zresztą podstawowe wartości były zawarte, wręcz automatycznie, w jego wizji Ameryki.

Notabene, to za czasów jego prezydentury rozpoczęła się rewolucja technologiczna. Pionierzy Doliny Krzemowej mówili, że oczywiście i tak by nastąpiła, ale dzięki klimatowi wolnej inicjatywy stworzonemu przez Reagana, miała miejsce szybciej, była bardziej dynamiczna. I zapewniła Ameryce na długie lata tak ważną pozycję absolutnego lidera w tej materii.

Dodam, nieco nie à propos, że nowe systemy uzbrojenia, łącznie z tak znanymi dzisiaj „Patriotami”, też powstały za czasów Reagana.

► Lider

Ronald Reagan pochodził z ubogiej rodziny. Urodził się w biedniejszej części małego miasteczka Tampico, dorastał w Dixon (Illinois).

Wielki wpływ na jego charakter wywarła matka Nellie. Uczyla syna, że kierowanie się zasadami moralnymi, odróżnianie dobra od zła jest najważniejsze. Człowiek powinien kierować się własnym sumieniem, nie ulegać podstępom z zewnątrz, nie zrażać się przeciwnościami. Zaszczepiła synowi wiarę, nadzieję, a także optymizm. To „słoneczne usposobienie” nazwano potem „talentem do szczęśliwego przeżywania życia”. [...] Matka zaszczepiła mu też miłość do książek. Potem czytanie stało się wręcz jego nałogiem. [...]

Pierwsza praca – sprawozdawcy sportowego w Des Moines (Iowa) – wyrobiła mu głos, a także wyobraźnię. Wtedy większość „transmisji” była relacjonowana z dalekopisu (!), trzeba było zaś udawać, że się jest na miejscu. Reagan opowiadał tak obrazowo, że stał się lokalną sławą na całym Środkowym Zachodzie.

Będąc w Kalifornii, bez protekcji i zapowiedzi zgłosił się do wielkiego studia filmowego. Wypadł tak świetnie, że niemal z miejsca zaproponowano mu niezwykle korzystny kontrakt. Dalsze dzieje Reagana w Hollywood, który był wówczas nieco inny niż obecny, to kolejny temat do osobnego potraktowania [...] Potem żartował, że jednak woli być prezydentem, bo sam jest autorem scenariusza. [...]

► Edukacja Mr. Reagana

W 1958 r. Reagan otrzymał znakomitą ofertę od firmy General Electric. Został gospodarzem, narratorem, czasem wykonawcą oraz osobą decydującą o repertuarze coniedzielnego telewizyjnego „GE Theatre”. A także uzyskał możliwość bezustannego objeżdżania kraju. Odwiedził 40 stanów. Spotykał się dosłownie z setkami tysięcy ludzi.

Słowo o „GE Theatre”. Reagan uzupełniał audycję np. o prośbę (odzew był niesłychany) pomocy dla Węgrów, którzy po rewolucji 1956 r. znaleźli się w USA. A sam program! W najlepszej porze niedzielnej; znalazł się, na długie lata, na pierwszym miejscu oglądalności. To wtedy Reagan był u szczytu sławy. [...]

Ważniejszą politycznie rolę odegrały oczywiście spotkania z ludźmi. Zwykłymi, przeciętnymi. Opowiadali Reaganowi, co im doskwiera, przeszkadza w życiu, o podatkach, coraz większej ingerencji władz w ich życie (czy historia się nie powtarza?). To, co słyszał, diametralnie różniło się od obrazu prezentowanego przez kręgi medialno-akademicko-elitarne. Oczywiście Reagan stanął po stronie zwykłych Amerykanów. Była to prawdziwa „edukacja Mr. Reagana”. [...]

► Wiedza i inteligencja

Reagan prawie od dzieciństwa nie mógł się obyć bez czytania. Czytał i pisał stale, po dniu ciężkiej pracy fizycznej na farmie, między mityngami. Jego bliscy i przyjaciele podkreślali to wiele razy. Odnótował to z pewnym zaskoczeniem tygodnik filmowy, gdy Reagan był aktorem. Ale jego przeciwnicy puszczali to mimo uszu, bo trzeba było przecież „udowodnić”, że jest ignorantem.

Reagan jeszcze przed 1980 r. przeczytał co tylko było można o ekonomii, historii, polityce, o wszystkim. [...]

► Nieco sprostowań

Ofensywy Reagana nie powinno się określać mianem „rywalizacji” (między USA a ZSRR). Była to batalia toczona w imieniu wolnego świata (bez cudzysłowu) z imperium niewoli. Nie byliśmy w niej neutralni. Relatywistyczne określenie „rywalizacja” było wówczas modne na postępowej lewicy. Miało sugerować „moralną równowagę” wolności i niewoli.

SDI (Strategic Defence Initiative) nie powinno się nazywać „wojnami gwiazdowymi”. Określenie to wymyśliły media (a bodaj pierwszy E. Kennedy), by podkreślić księżycowość, absurdalność koncepcji, którą pewno (jak pisało o Ameryce) Reagan wziął z filmów SF. [...]

Już w 1957 r. ujrzał w zakładach General Electric nowy typ małego radaru, zadał wiele pytań i myśli o poważniejszym jego zastosowaniu, zwłaszcza w miarę postępów nauki, nigdy go nie opuściła. Był to całkowicie, kompletnie jego własny projekt.

Sowieci tak przejęli się możliwością utraty broni strachu, że w dużej mierze przez upieranie się przy rezygnacji przez Reagana z SDI... przegrali zimną wojnę. Bardzo wielu, szczególnie w Rosji, podkreśla, że zerwanie z tej przyczyny przez Reagana szczytu w Reykjavíku było momentem przełomowym. Niedługo po tym Gorbaczow udał się do Canossy. Jego ustępstwa w Waszyngtonie były kapitulacją. To, oczywiście, kolejny temat do rozwinęcia.

Mimo, że decydująco zdruzgotał Sowiety, Reagan dalej nie popuszczał także Gorbaczowowi. Ostatnia jego dyrektywa tzw. NSCD podtrzymywała zakaz eksportu do wciąż jeszcze istniejącego ZSRR zaawansowanych technologii. Walka ekonomiczna miała trwać do końca. [...]

► „Mieliliśmy prezydenta”

Reagan osiągnął tak wiele, bo posiadał rzadką cechę: moralnej wyobraźni (obok moralnej jednoznaczności i moralno-politycznej odwagi), tzn. potrafił wyobrazić sobie świat inny niż zastał.

Reagan stworzył w Białym Domu tzw. Team B, jakby Radę Bezpieczeństwa Narodowego-bis pod przewodnictwem prof. Richarda Pipesa. Zajmowała się tylko Sowietami. Wprowadzone przez Reagana wspomniane dyrektywy NSCD nosiły wręcz tytuły – „Wojna ekonomiczna z ZSRR”. Nic dziwnego, że długo pozostawały utajnione. Ta wojna wykraczała znacznie poza wyścig zbrojeń. Sowieci raptem zaczęli wszędzie napotykać trudności.

Reagan nie miał żadnych mitycznych doradców. Krąg jego zaufanych był niezmiernie wąski; reszta ministrów i urzędników to byli jakby technicy do realizacji mniej istotnych dla prezydenta celów. [...] Andropow trafnie zauważył: „naszym wrogiem nie jest administracja czy otoczenie Reagana, ale on sam, osobiście”.

Profesor Pipes mówi: „Jako ktoś, kto brał udział w formułowaniu polityki wobec ZSRR, mogę poświadczyc, że kierunek ten wyznaczał prezydent, a nie jego ekipa i że był on zdecydowanie realizowany mimo zastrzeżeń bardziej »pokojowych« ministrów”. [...]

Już za rządów następcy Reagana wielkim powodzeniem cieszyły się koszulki z napisem: „Pamiętasz, jak mieliśmy prezydenta?”. ■

Przedruk za „Nowe Państwo”, numer 2 (60)/2011.

Zapraszam do fascynującej podróży w przeszłość, choć... „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej” (C.K. Norwid). Przed 32 laty w „polskim” Londynie przeprowadziliśmy – wraz z Krzysztofem Turkowskim – rozmowę z jednym z nestorów polskiej imigracji niepodległościowej, a wcześniej bitnym żołnierzem RP gen. Klemensem Rudnickim. Rozmawiając z Generałem, a potem pracując nad oddaniem tego wywiadu wraz z przypisami do druku, pomyślałem, że unosi się nad nim duch Henryka Sienkiewicza,

o którym zresztą Klemens Rudnicki wspominał. Nie warto tej rozmowy streszczać, warto ją przeczytać od początku do końca, bo są w niej i polska wielkość, i polska duma, i szczypta polskiej goryczy, a także sposób na to, jak być szczęśliwym, o czym Generał mówi pod koniec wywiadu.

Zapraszam, wraz ze współautorem rozmowy, do jednego z najciekawszych wywiadów, jakie przeprowadziłem w moim „dawnym”, dziennikarskim, życiu. Życzę inspirującej lektury.

Rok 1920 – to była wspaniała, XVII-wieczna wojna

Piłsudski miał genialny pomysł, chciał po prostu wstrząsnąć całym frontem. I tak się stało. Nasza dywizja ruszyła – Winnica, Białocerkiew, do majątków Branickich. Wtedy przyszły pierwsze wiadomości, że zbliża się armia konna Budionnego, która pod Czerkasami będzie przechodzić Dniepr i ruszy na nas. Przypomniła nam się „Trylogia”, Dzikie Pola – z generałem Klemensem Rudnickim rozmawiali Ryszard Czarnecki i Krzysztof Turkowski (część I).

► Panie Generale, zaczynamy...

Urodziłem się w Żydaczowie, gdzie mój ojciec był w służbie państwowej austriackiej. Urodziłem się 3 marca 1897, a więc w XIX wieku, dorastałem też w XIX wieku, dlatego że XX wiek zaczął się dla nas po I wojnie światowej. Wszystko, co działo się do I wojny światowej, to był XIX wiek.

Moje pokolenie młodzieży czuło, że przychodzi na niego pora podjąć pałeczkę, którą wszystkie pokolenia polskie od rozbiorów niosły.

Pochodzę ze starej rodziny szlacheckiej, bardzo majątnej. Mieliliśmy szereg majątków na Podolu. W tamtym okresie wystąpiła u nas w Galicji i Lodomarii tendencja, żeby przejąć od cesarza zarządzanie tymi prowincjami w ręce polskie. Zainicjował to Agenor Gołuchowski, potem był Andrzej Potocki i on zapelował do szlachty polskiej, by przeszła do pracy

w Galicji: „Polonizujemy Galicję”. Mój ojciec był z tych, którzy poszli do służby w namiestnictwie, u Andrzeja Potockiego, i został w końcu starostą powiatu Trembowla, gdzie ja chodziłem do gimnazjum. Było to w 1902–1903 roku.

Atmosfera w naszym domu była taka, jak w starych rodzinach polskich na Kresach. Moja babka było z domu Mrozowicka, była siostrą tego Mrozowickiego, który konspirował z Tomaszem Jeżem. Był też w 1848 roku w węgierskim powstaniu.

Ta tradycja tkwiła w nas. Moja babka Zosia Rudnicka chowała powstańców w kominie w 1863 roku.

Polski nie było na mapie, ale Polska żyła po dworach i już zaczął się ruch chłopski. Wyrósł Witos. Wówczas też powstawało harcerstwo. Do mojego gimnazjum przyszło w roku szkolnym 1909/1910. Ono nas porwało, w nim przygotowywaliśmy się do jakiegoś czynu dla Polski. Przyszło „Zarzewie” oparte

na „Sokole”. Zaczęliśmy nie tylko biegać po lasach z kijami, zaczęły się tajne zebrania. Zaczęły się przygotowania do wojska, na razie z pomocą austriacką.

► **Czy Pan Generał jako gimnazjalista przewidywał, że będzie miał tak wspaniałą służbę wojskową?**

Byliśmy przekonani, że przyjdzie na nas kolej, że musimy stworzyć polskie wojsko. Czuliśmy wtedy, iż nadeszła pora.

► **Zanim przyszło wojsko, uczestniczył Pan w wielkim harcerskim Jamboree w Birmingham w 1913 roku.**

To, że przybyłem na ten zjazd, to był jeden z wyczynów „Sokoła”. Z Trembowli pojechało nas trzech – Tadeusz Dobrowolski, który tworzył skauting w Trembowli, Adam Karpiński – mój kolega z klasy, wspaniały taternik, i ja. Był też Sulimirski, późniejszy profesor Uniwersytetu. Także Władysław Zaleski. Jestem ostatnim z żyjących polskich uczestników tego zjazdu. Polski skauting nie mógł być [oficjalnie – przyp. R.Cz.] zaproszony, ale my mieliśmy napisane „Poland”, a także „Trembowla” czy „Lwów”. Baden-Powell nas przyjmował po przybyciu do parku w Birmingham. Ulokowano nas obok Irlandczyków, dwa narody uciśnione. Irlandczycy przyszli do nas i mówili, żebyśmy uważali na Anglików, bo to są zbrodniarze, którzy ich gnębią, podobnie jak nas gnębią zaborcy. Odwiedził nas ksiądz Walii.

Dało to nam asumpt do tego, że gdy tworzył się w 1914 roku Legion Wschodni we Lwowie pod Hal-lerem, wówczas moja grupa wstąpiła do tego Legionu. Pożegnanie było romantyczne – ksiądz przed kościołem karmelitów żegnał tych kilkunastu idących do wojska.

Koncentracja Legionu Wschodniego odbywała się we Lwowie, w koszarach przy ulicy Jabłonowskiej i stamtąd, gdy dostaliśmy „manlichery”, ruszyliśmy na zachód aż do Mszany Dolnej. Tam nastąpiło rozwiązanie Legionu Hallera.

► **Jak się potoczyły Pana dalsze losy w I wojnie światowej?**

Gdy rozwiązał się Legion Wschodni, zostałem odcięty od domu, gdyż moja cała rodzina znalazła się pod okupacją rosyjską. Trafiłem do Nowego Targu, by zdać tam maturę. Jednak nie podobało mi się tam, więc przenieśliśmy się do Zakopanego, gdzie spotkałem na ulicy mojego księdza prefekta z Trembowli. Spytał mnie, co tutaj robię. Kazał mi

natychmiast zapisać się do gimnazjum Jarosza, to takie prywatne gimnazjum. Skończyłem tam ósmą klasę i w styczniu zdałem przyspieszoną maturę.

Przyszła kolej na mój rocznik do wojska austriackiego. Wstąpiłem do 15. Pułku Piechoty. Jako maturzysta i jednoroczny ochotnik poszedłem do szkoły oficerskiej w Wigenndorfie na Morawach. Stamtąd jako kapral, a potem plutonowy zostałem wysłany na front włoski. Było to w 1916 roku. Szliśmy z Innsbrucku piechotą przez Brenner aż nad jezioro Garda. Tam przebiegał front. Właśnie tam zostałem ciężko ranny, aż do dziś mam bezwładną lewą rękę. Wtedy zostałem podporucznikiem, przeszedłem przez szereg szpitali.

1 listopada 1918 roku byłem w szpitalu w Krakowie, wiedzieliśmy, co się szykuje. Z moim kolegą, także podporucznikiem austriackim, zapukaliśmy do drzwi komendanta, sztabskapitana Merunowicza, to był Ukraińiec. Stanęliśmy na baczność i zamel-dowaliśmy, że monarchia się rozpada i spyaliśmy, czy wobec tego pozwoli nam zdjąć portret cesarza Karola ze ściany. On stanął na baczność i portret zdjęliśmy i postawiliśmy twarzą do ściany. I tak opanowaliśmy szpital. Stamtąd poszedłem na krakowski rynek, gdzie była kordegarda i tam był polski oddział, którym dowodził kapitan Zajac. Późniejszy generał. I tak objeśliśmy Kraków.

2 listopada przeczytałem w gazecie, że na ulicy Garncarskiej nr 2 organizuje się 2. Pułk Ułanów Legionowych. Poszedłem tam, okazało się, że organizatorem jest mój dobry znajomy, rotmistrz Brzezicki z Osieczy, mój krajan.

Zaraz z początkiem listopada poszedłem ze świeżo uformowanym półszwadronem pułku, który szybko zyskał nazwę 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, na front lwowski. Przewieźli nas koleją do Przemyśla, gdzie spotkałem [Karaszewicza – przyp. R.Cz.] Tokarzewskiego i razem z nim biliśmy się pod Bartatowem, chroniąc linię kolejową Przemyśl-Lwów. Po walkach o Lwów zostałem z tym szwadronem, w którym dowódcą był porucznik Kunachowicz, mój wielki przyjaciel, a ja zostałem jego zastępcą. Przydzielono nas jako kawalerię do 3. Dywizji Piechoty dowodzonej przez generała Zielińskiego, nazywanego przez nas „dziadkiem”. Miał chyba czterdzieści parę lat, dla nas był więc starszym mężczyzną.

Z tą dywizją biliśmy się całą ofensywę ukraińską. W czasie odwrotu spod Brzeżan „dziadek” Zieliński nie chciał odchodzić. Smutny wszedł do powozu, otoczyliśmy go i tak odjechaliśmy. Po drodze, gdy zatrzymaliśmy powóz, on wysiadł i powiedział: „Wiedcie co, ułani, że Zieliński pierwszy raz się cofa”.

Do lipca 1919 roku białem się w tej dywizji i doszliśmy tak do Zbrucza. Wojna się zakończyła i mój szwadron wrócił do pułku, który tymczasem był na Śląsku. Tam jeszcze braliśmy udział w ostatnich walkach z Czechami.

► **Wojna polsko-ukraińska o Małopolskę Wschodnią była specyficzna. Wtedy pogłębiły się pęknięcia między Polakami i Ukraińcami.**

Dla nas była to normalna rzecz: Lwów był dla nas polski, Galicja Wschodnia była polska, ale rzeczywistość było to tak przemieszane. Myśmy nigdy z Ukraińcami nie wojowali. Sam miałem kolegów Ukraińców, z którymi byłem bardzo związany. Myśmy wtedy rozumieli, że kość niezgody między naszymi narodami rzuciła Austria. Ale oczywiście Lwów był polski i o to się biliśmy. Jednak nie było jakiejś nienawiści między nami.

► **26 kwietnia 1920 roku Józef Piłsudski i Semen Petlura wydali wspólny rozkaz i rozpoczęli walkę, której celem było odebranie Ukrainy bolszewikom. Zaczęła się wspólna walka Polaków i Ukraińców przeciw bolszewikom. Gdzie Pan wtedy był?**

Byłem wtedy z pułkiem nad Morzem Bałtyckim. Nasza Brygada Kawalerii brała udział w zajmowaniu Pomorza. Uczestniczyliśmy w zaślubinach w Pucku. I tam nas zastał rozkaz koncentracji całej kawalerii nad Słuczą. Kiedy wchodziliśmy na Kaszuby, było wspaniale. Witano nas chlebem i solą. Wszędzie, w każdej wiosce. W zaślubinach uczestniczył cały 1. Pułk Ułanów i delegacje z innych pułków, po szwadronie ze sztandarem. Dla nas to było wielkie przeżycie.

► **Ale wróćmy do kwietnia 1920 roku.**

Przywieźli nas transporterami do Słucza, pod Szepietówkę. Tam nas wyladowano, organizowała się tam 1. Dywizja Kawalerii pod generałem Rómmlem, której zadaniem był rajd na Koziatyn, około 130 kilometrów. Musieliśmy przebić się i naruszyć cały front. Piłsudski miał genialny pomysł, chciał po prostu wstrząsnąć całym frontem. I tak się stało. Nasza dywizja ruszyła – Winnica, Białocerkiew, do majątków Branickich. Wtedy przyszły pierwsze wiadomości, że zbliża się armia konna Budionnego, która pod Czerkasami będzie przechodziła Dniepr i ruszy na nas. Przypomniła nam się „Trylogia”, Dzikie Pola. Pamiętam, że szedłem wtedy z podjazdem na Roś i tam miało

miejsce moje pierwsze spotkanie z Budionnym, pod Taraszcą.

► **Jacy byli żołnierze drugiej strony?**

Kozacy. Typowi kozacy. Tacy sami jakżeśmy o nich czytali u Sienkiewicza. Dobrzy żołnierze na swój sposób. Nie wytrzymali impetu jak za dawnych czasów. Przechodziliśmy przez nich szarżami tam i z powrotem. Oni się rozsypywali i z powrotem nas otaczali. I to była wspaniała wojna. Siedemnastowieczna wojna. Dobra szabla, dobry koń, który decydował o bezpieczeństwie, o wszystkim. To było wspaniałe.

Potem zaczął się odwrót. Okazało się, że przewaga bolszewików jest duża.

Myślę, że przyczyną był marsz Tuchaczewskiego na północy na Warszawę. Piłsudski musiał wycofać armię z południa. Myśmy cały czas walczyli z Budionnym, który następował na tyły. I tak wojowaliśmy aż do Komarowa i tam ta wielka kampania konna [...] się zakończyła. A potem był pościg za Budionnym. To była romantyczna pogon, bo ścigaliśmy go aż do Horynia. On przeszedł przez Horyń i myśmy się zatrzymali. Tam wytworzyła się między nami a Kozakami całkiem przyjemna atmosfera.

► **Na czym to polegało?**

Do 9. Pułku Ułanów, który miał odcinek nad Horyniem, przyjechała podwoda, a woźnica przekazał kartkę z wiadomością od Kozaków. Kozacki dowódca prosił jednego z czterech oficerów o rozmowę, dając „czestne” słowo kozackie, że go puszcza z powrotem. Porucznik Wiktor z 9. Pułku Ułanów nie namyślając się wiele, wsiał na konia, wziął trębacza i pojechał na drugą stronę. [...] Prowadzą go do kwatery Budionnego. Za stołem siedzi Budionny, obok niego Szaposznikow i pytają go: „Za czym Wy tu przyjechali?”. Wiktor odpowiada: „Dostałem kartkę, że chcecie porozmawiać”. Porozmawiali dwie godziny z Budionnym o naszych przebiegach i wreszcie Budionny powiedział: „Teraz wracaj z powrotem. Czestne słowo kozackie to czestne słowo. Dla pewności dam ci mojego oficera sztabu, który cię poprowadzi”. I na koniec dał mu kindżał swój w prezencie i pismo, które ja widziałem. Było w nim napisane: „Porucznik 9 pułku ułanów był u mnie dwie godziny i niczym tajemnic wojennych nie zdradził. Budionny”. Gdy Wiktor przyjechał, od razu poszedł do raportu i dowódca dywizji Rómmel skazał go na 21 dni aresztu domowego – którego nigdy nie odsiedział – za samowolne opuszczenie odcinka. [...]

Pod koniec września 1920 roku Rómmel zaproponował, że zrobi zagon na Iskoroż, żeby ostatecznie

przełamać front. To zostało przyjęte i nasz korpus, 15 tysięcy szabel, ruszył 150 kilometrów w głąb. Po drodze musieliśmy wysadzać sowieckie pancerki. Rozkręcać tory. Zdobyliśmy Korosteń. Kolosalna zdobycz, zdobyty węzeł kolejowy. Wróciliśmy i zastał nas rozkaz, że jest zawieszenie broni.

Straty nie były wielkie, najbardziej zmniejszył się stan szabel z powodu braku koni. Szarże nasze nie przyniosły wielkich strat. To był koniec wojny polsko-bolszewickiej. Ja byłem wówczas rotmistrzem. Miałem *Virtuti Militari*.

► Jak się potoczyła Pańska dalsza służba?

Byłem ciągle w 2. Pułku Szwoleżerów i wracałem do garnizonu pułkowego, który wtedy był w Bielsku-Białej. Miałem właściwie zamiar wystąpić z wojska. Zrobiłem swoje i trzeba było pogospodarować. Taką prośbę wniosłem do dowódcy pułku, którym był major Róg. A on do mnie, że jeszcze nie koniec na tym, „Zastanów się” – mówił mi. Zastanowiłem się i zostałem zawodowym oficerem.

W 1923 roku posłali mnie na dziewięciomiesięczny kurs szkoły kawalerii do Grudziądza. Potem wróciłem do pułku, który został w międzyczasie przeniesiony do Starogardu. Ożeniłem się, miałem dwie córki [ostatecznie trzy – przyp. R.Cz.]. Zawodowa służba była marnie płatna, a pojawiały się perspektywy, by pójść do Korpusu Ochrony Pogranicza. Złożyłem prośbę o przeniesienie mnie do KOP-u. Było to w 1926 roku.

► A gdzie zastał Pana zamach majowy?

W Starogardzie. Mieliśmy depesze od Piłsudskiego i z Zamku, od prezydenta Wojciechowskiego, że mamy pilnować granicy. Dla nas sprawa była rozwiązana.

Potem byłem już w Korpusie Ochrony Pogranicza. Chciałem koniecznie pójść na Podole, gdzie szwadron stał w majątku mojej ciotki, bo wróciłbym na moje Podole: charty, polowania, to co lubię. Tymczasem zostałem wyznaczony na dowódcę 7. Szwadronu KOP-u w Podświle w powiecie głębockim. Poszedłem tam i byłem do 1928 roku.

Ach, ta cudowna Wileńszczyzna, co za cudowni ludzie, te zaścianki, znowu Sienkiewicz... Cóż za cudowne polowania! Mój szef był wielkim myśliwym. Mieliśmy wtedy pięć psów gończych. „Hałas” – najstarszy pies, który nigdy w piętę nie gościł, jak on gnał za zającem czy lisem. Drugi pies to „Lotka”. Mieliśmy też szczeniaka – „Waldhorna”. On wyszukiwał tropów zająca. Kiedy zaczynał szczekać, wtedy przychodził „Hałas”. Jak poszedł!

A cała sfera za nim. I wiadomo było, że gonią tego zająca czy lisa. [...]

W 1928 roku to wspaniałe życie przerwał mi rozkaz z ministerstwa, żebyśmy przybył na kurs do Wyższej Szkoły Wojennej do Warszawy. Nie chciałem, było mi dobrze tam, gdzie byłem, wołałem być w KOP-ie. Ganiać niż iść na gryziopiórka czy na jakiegoś adiutanta do Wyższej Szkoły. Ale musiałem pójść.

Poszedłem na kurs próbny do Warszawy z zamiarem, żeby mnie wylali. Był już wtedy generał Kutrzeba. Komendantem kursu był Tomaszewski, w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku szef sztabu generała Czuma. On też pochodził z Trembowli i przekonał mnie, że muszę zostać. I rzeczywiście skończyłem ten kurs próbny. Widocznie całkiem nieźle, ponieważ zatrzymali mnie przy Katedrze Taktyki. Byłem tam asystentem. Potem przyszła na mnie kolejka i odbyłem służbę jako zastępca dowódcy pułku. Poszedłem do Poznania. To był rok 1931, gdzie dowódcą pułku był także mój dobry znajomy i nawet kuzyn – Kownacki, z kirasjerów rosyjskich. Wspaniały człowiek. Takiej postury, że z trudnością na konia siadał, jak Sobieski, ale był znanym zagończykiem.

Spędziłem tam dwa lata. Potem przyszedł do mnie rozkaz, bym wrócił do Szkoły Wojennej, tym razem na Katedrę Taktyki Ogólnej. Byłem tam aż do 1938 roku.

► To tam kolegowal się Pan z pułkownikiem Irankiem-Osmeckim, Rzepeckim? Z całą elitą naszego wojska?

Osiągnięcia Szkoły to zasługa przede wszystkim wybitnego sztabowca i dowódcy, generała Kutrzeby. To był austriacki oficer. Saper. Światowej klasy oficer, jako sztabowiec. Prowadziliśmy wtedy gry wojenne. Były to z polecenia Naczelnego Wodza, ćwiczenia dla dowódców. Bardzo je lubilem. ■

Klemens Stanisław Rudnicki, ps. „Klimek” (urodzony 28 marca 1897 roku w Żydaczowie nad Stryjem w pobliżu Lwowa, zmarł 12 czerwca 1992 roku w Londynie) – oficer dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 kwietnia 1945 roku mianowany generałem brygady, a 11 listopada 1990 roku mianowany przez Prezydenta RP na Uchodźstwie generałem dywizji.

Ryszard Czarnecki – historyk, polityk, autor kilku książek
Krzysztof Turkowski – historyk, b. wiceprezydent Wrocławia, doradca właściciela Grupy „Polsat”

Rozmowa przeprowadzona w Londynie w 1988 roku.



Krzysztof Karnkowski

ROZRYWKA I OSKARŻENIE

„Proceder”, „Jak zostać gangsterem” i „W głębi lasu” łączy nie tylko miejsce produkcji, lecz także fakt, że przez dłuższy czas cieszyły się dużą oglądalnością wśród widzów polskiego Netfliksa.

Filmy „Proceder” i „Jak zostać gangsterem” oparte są na polskich historiach, serial „W głębi lasu”, choć nakręcony na podstawie amerykańskiego kryminału Harlana Cobena, został przeniesiony w polskie realia. Świadczy to o tym, że chcemy oglądać gatunkowe historie, umieszczone w znanym nam otoczeniu, jeśli tylko są przyzwoicie zrobione.

► Historia hip-hopem pisana

„Proceder” w reżyserii Michała Węgrzyna, historia nieżyjącego rapera Chady (w tej roli Piotr Witkowski), pełen jest gorzkich obserwacji społecznych. To jedna z ostrzejszych wypowiedzi na temat polskiej transformacji ustrojowej, na jakie pozwoliło sobie polskie kino. Nic dziwnego, za scenariusz odpowiada Rafał Woś, lewicowy publicysta, który za swój antyliberalnie zabarwiony symetryzm pożegnać musiał się z „Gazetą Wyborczą”. „Wyborczą” czy wręcz Balcerowiczem mówi tu w jednej z pierwszych scen jeden z kolegów głównego bohatera, słysząc o problemach kolejnego kumpla z towarzystwa, niemogącego doczekać się na czas groszowej i tak wypłaty. Zamiast słów otuchy oszukany przez pracodawcę chłopak słyszy kilka zaklęć o kapitalizmie i roszczeniowości, do której zalicza się... oczekiwanie zapłaty za pracę. Można by więc powiedzieć, że tak jak w beletrystyce Waldemara Łysiaka wielu bohaterów „mówi Łysiakiem”, tu dość często zdarza im się „mówić Wosiem”. I bardzo dobrze, ponieważ taki głos jest w polskim kinie bardzo potrzebny, wiarygodnie współgra też z pokazaną na ekranie historią i klimatem filmu celującego w mainstream, jednak stworzonego przez twórców niezależnych, braci Węgrzynów, a nawet bez wydawałoby się obowiązkowego wkładu i pomocy z PISF. Krytyka społeczna Wosia najmocniej dochodzi do głosu w scenach ze szpitala, w którym pracuje matka Chady, okazjnie zaś również on sam. Zrujnowana placówka, rozmowy zgorzkniałych (nie bez powodu) starszych pacjentów, bałwochwalczy stosunek wobec gardzącej ludźmi polityk, niewymawiającej litery „r”. W znakomitej scenie z jej udziałem jako cameo pojawia się sam Rafał Woś. W zemście za aroganckie potraktowanie pracujący jako szatniarz Chada kradnie futro, w efekcie dyrektor szpitala grozi jego matce zwolnieniem z pracy. Gdy ta powołuje się na Kodeks Pracy, dyrektor mówi, że obowiązywał on za PRL, teraz zaś mamy kapitalizm, a miejsce, w którym się znajdują, to nie szpital, tylko droga firma.

Oczywiście krytyka społeczna to niejedyna treść filmu, choć w jakimś stopniu zalicza się do niej cała historia młodego rapera, który, nie mając żadnych perspektyw, szybko wpada do kolejnych kręgów przestępczości – od kradzieży do napadów i handlu narkotykami, gdy zaś w jego życiu pojawiają się sukcesy artystyczne i osobiste, przedzielać je będą kolejne odsiadki. Węgrzynowie symbolicznie wpisa-

li ciemną stroną życia artysty w symboliczną postać „Łysej”, granej przez Małgorzatę Kożuchowską. Cała historia rapera jest polska aż do bólu – czy będzie to jak w pierwszej części „Ballada o Januszu” czasów hip-hopu, czy później, gdy kariera i życiowe spełnienie u boku kolejnej, lecz tym razem chyba odpowiedniej miłości życia (Agnieszka Włodko), mieszać się będą z dopadającą co krok przeszłością. Upadki, przemoc, narkotyki i więzienie będą rewersem, awersem potrzeba miłości, pragnienie posiadania rodziny, wreszcie religijność rapera, od której ukazywania film nie będzie uciekał. Poza nim Chada najlepiej rzecz ujął chyba w dwóch swoich utworach – „Nie jestem wzorem świętości” i „Jest nas dwóch”, do znalezienia na płycie „Jeden z was” z 2012 roku. Wreszcie śmierć artysty w 2018 roku, w filmie pokazana w porównaniu do reszty historii mocno na skróty, za to z dość wyraźną sugestią, co tak naprawdę się stało.

► Po szczeblach przestępczej kariery

„Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa” w reżyserii Macieja Kawulskiego, wcześniej przede wszystkim współzałożyciela polskiej federacji KSW i organizatora walk MMA, a od niedawna również reżysera, to film w pewnym sensie pokrewny „Procederowi”. Poznajemy w nim życiową i przestępczą drogę gangstera (Marcin Kowalczyk), którego prawdziwych personaliów nie znamy, a którego los jakoby posłużył za kanwę scenariusza. Tu również widzimy Polskę przełomu wieków, choć interesy bohatera zaczynają się jeszcze w PRL, gdy arabskim biznesmenom, wożonym przez ojca-taksówkarza (Adam Woronowicz) (fajna, choć krótka rola Redy Haddada), stręczy własne koleżanki, ubarwiają sobie szarość tych czasów pracą i dochodami cichodajek. Stręczycielstwo nie dostarcza oczekiwanej adrenaliny, zaczynają się więc coraz bardziej zuchwale napady i współpraca z bardzo malowniczo pokazanymi gangsterami. Tym razem jest jednak trochę bardziej kolorowo, komediowo, to przecież rozrywka, nie oskarżenie. Znowu widzimy natomiast zdobywanie kolejnych szczebli przestępczej drabiny przez bohatera-outsidera, który próbuje być wierny swoim zasadom. Dzięki nim możemy mu w granicach rozsądku kibicować, co jest o tyle łatwe, że wśród agresywnych i napakowanych prymitywów i fanów disco polo z przerostem finansowych potrzeb wyróżnia się na plus kulturą, inteligencją i na ogół jest całkiem sympatyczny. Szczególnie wrażenie sprawia mówiona narracja bohatera, cięta, złośliwa, inteligentna, lecz naszpikowana przekleństwami, a przy tym wygłaszana czystym, „lektorskim” głosem, tak innym od tonacji pozostałych bohaterów. Przy czym trzeba przyznać, że obsada, choć pojawiają się w niej znane – nie tylko z aktorstwa – nazwiska, wybrana została bardzo przekonująco, czy mówimy o Janie Nowickim i Januszu Chabiorze, czy choćby o Waldemarze Kaście i Marku Dyjaku. Dwie Nata-

lie – Szroeder i Siwiec – dobrze radzą sobie w głównych rolach żeńskich Magdy i Wioli, odpowiednio dziewczyny, a później żony bohatera, i dziewczyny jego najlepszego kumpla, nie mając przecież dużego aktorskiego doświadczenia.

Co ciekawe, cała opowieść jest czymś w rodzaju wyzwania rzuconego słynnemu świadkowi koronnemu, „Masie”, który według rozpoczynającego całą opowieść monologu jest „osobą, która skrzywdziła polską mafię”. Skąd ta teza? Według twórców, opowieści „Masy” nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością, ale ponieważ były pierwszym i jedynym źródłem informacji, wzięte zostały za prawdę. Tę zaś pokazuje według nich ich film. Jak jest w rzeczywistości, zapewne się nie dowiem, nie zmienia to faktu, że mamy do czynienia z bardzo sprawnie zrobionym kinem, które wreszcie nie cierpi ani na kompleksy, ani na przerosł ambicji. Historia wiedzy nas poprzez spektakularne sceny bijatyk i porachunków, z wyjątkowo mocną i klasyczną zarazem sceną ślubu zderzonego z egzekucją, połączonych dobrze dobranym na tło „Child in time” Deep Purple, przetykane zabawnym (co przecież normą nie jest) humorem, by skończyć się tym, co nieuchronne – momentem, gdy trzeba wybrać między wiernością zasadom a dalszą, choćby wciąż mafijną karierą, gdy okazuje się, że koledzy nie zawsze zasad tych przestrzegali, a teraz już nie mają się jak na złej drodze zatrzymać.

► Leśna tajemnica

Nie tak dawno tłumy przed telewizorami i komputerami oglądały film „W lesie dziś nie zaśnie nikt”. W tej scenarii dzieją się także rzeczy kluczowe dla „Dark” i „Stranger things”, zresztą dużo ostatnio w serialach i filmach lasu. Jeśli jednak ktoś nie ma dość, może skusić się na „W głębi lasu”, zwłaszcza że to na razie tylko sześć odcinków. Początek serialu nie wydaje się zbyt oryginalny – przy dźwiękach muzyki z lat 80. i 90. kilkoro nastolatków, korzystając z okazji, pożyczają swój samochód, później zaś potracą kogoś podczas szalonej jazdy. Jeśli ktoś w tym momencie nie zrezygnuje, już po chwili dowie się, że tym razem był to tylko żart kierowcy. Akcja przeniesie się do współczesności, by w kolejnych scenach wydarzenia bieżące zabiegały się z tym, co działo się na leśnym obozie w 1994 roku. I tu trzeba oddać twórcom, że gdy widzimy nastoletnią pijaną ekipę, drącą się: „Wszyscy mamy źle w głowach, że żyjemy”, można zapomnieć, że wszystko dzieje się według jakiegoś amerykańskiego pomysłu. Tymczasem w lesie ostatniej nocy obozu ginie sześć osób, a po latach ówczesnego opiekuna, a dziś prokuratora Kopińskiego (Grzegorz Damięcki), ktoś próbuje szantażować przypomnieniem tamtej sprawy, w której pojawia się też zupełnie świeży... trup. Niektórych widzów wymyć się będzie pewnie przerysowany wątek polskiego antysemityzmu, jeśli jednak darować to twórcom, całość sprawia całkiem dobre wrażenie. ■

Marek Kalinowski

Dziś nie będzie rewolucji

Wszystko już było – zdaje się mówić Bob Dylan na swoim najnowszym, długo wyczekiwanym albumie. Nie daje gotowych recept, za to obficie grzebie w przeszłości.

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że „Rough and Rowdy Ways” to jedna z najbardziej oczekiwanych, a zarazem niespodziewanych płyt ostatnich miesięcy. Minęło osiem lat od w pełni autorskiego albumu Boba Dylana oraz sześć od przyznania mu Literackiej Nagrody Nobla, po której laureat nagle wycofał się z życia publicznego. Wydany po drodze zestaw amerykańskich klasyków bardziej irytował niż zachwycił, a fani Dylana pocieszenie mogli jedynie odnaleźć w kolejnych seriach podrzucanych bootlegów – nieznanymi zapisów koncertów czy niewydanych wcześniej fragmentów sesji.

Być może to właśnie wygłodniały entuzjazm krytyków i słuchaczy sprawił, że singlowy, uwaga – siedemnaściminutowy – utwór „Murder Most Foul”, który pojawił się w ostatnich dniach marca, niemal od razu trafił na pierwsze miejsce listy przebojów magazynu „Billboard”. Utwór zaś, trzeba zaznaczyć, jest wyjątkowo mało „przebojowy” – nawet jak na standardy Dylana.

W „Murder Most Foul” autor cofa się do 1963 roku i tragicznej śmierci prezydenta Kennedy’ego. Choć Dylan już wielokrotnie udawał, że potrafi zmieścić ważne treści w kilku słowach, to poznaliśmy go równie dobrze jako autora bardzo długich historii. Trudno więc nie porównać tej rekordowo długiej pieśni do wydanej przed laty „Hurricane” – historii amerykańskiego boksera Rubina Cartera, niesłusznie skazanego na dożywocie, czy pochodzącej z tej samej, znakomitej płyty „Desire” piosenki „Joey”, snującej upiększoną biografię Josepha Gallo. O ile jednak zarówno „Hurricane”, jak i „Joey” wciągały w swój rytm niemal od pierwszych sekund i do końca trzymały w napięciu, o tyle „Murder Most Foul” wydaje się ich przeci-

wieństwem. Zniechęca swoim jednostajnym brzmieniem, mocno już nużąc w połowie drogi. Opowieść o zabójstwie Kennedy’ego przechodzi w przedziwną wylizankę ważnych dla epoki postaci, które Dylan kolejno wyciąga z pamięci. Są więc The Beatles, John Lee Hooker, Charlie Parker, Thelonious Monk, Stan Getz, Nat King Cole, a nawet Marilyn Monroe.

Zanim sięgniemy po osławione „Murder Most Foul”, warto więc skupić uwagę na pozostałych utworach, wśród których ukrywają się prawdziwe perełki. Ukojenie bez wątpienia odnajdziemy przy dźwiękach ballady „I’ve Made Up My Mind to Give Myself to You”. Drugim czarnym koniem albumu jest z kolei „False Prophet” oparty na świetnie brzmiącym, ciężkim i jakże wciągającym bluesowym riffie. Znakomite jest zadziorne „Crossing Rubicon” czy zamykające album, znów zanurzone w przeszłości, „Key West”, w którym podróżnik szuka własnej tożsamości w płynących z radia starych piosenkach.

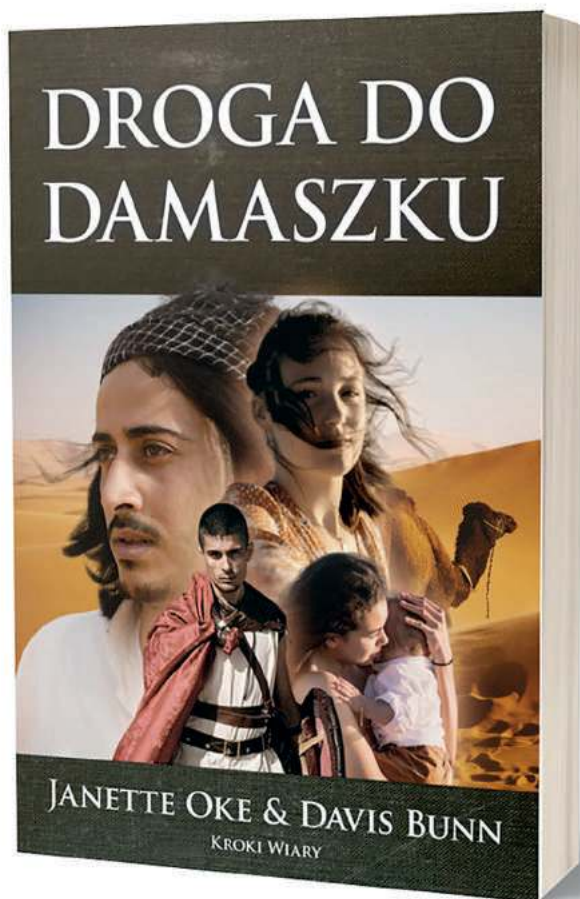
Zdawało się, że nowy album Dylana był płytą szczególnie wyczekiwaną właśnie teraz, w targanej zamieszkami i dotkniętej przez pandemię Ameryce. Dylan zaś, być może czując noblowski ciężar, dość

sprytnie wymyka się od jednoznacznych odpowiedzi. Nieprzypadkowo i nie po raz pierwszy odwołuje się do lat 60., czasów dla Ameryki niezwykle gorących. „Zobaczcie – zdaje się mówić – wszystko już było, wszystko widziałem”.

Być może rację mają ci, którzy w „Rough and Rowdy Ways” upatrują testament Dylana, porównując album do ostatnich dzieł Cohena i Bowiego. Chyba każdy utka sobie z tego kokułusz osób i zdarzeń własną opowieść i jest to paradoksalnie największa zaleta tej płyty. ■



Bob Dylan, ROUGH AND ROWDY WAYS, Columbia



Sylwia Krasnodębska

„Droga do Damaszku” – droga do Boga

Książkę „Droga do Damaszku”
można zamówić na stronie sklep.gazetapolska.pl,
telefonicznie 722 111 655
lub e-mailowo sklep@gazetapolska.pl

Trudno rozpoznać, że jesteśmy krajem katolickim. W księgarniach królują przemoc, intryga, romans. Widzę jednak, że jest grupa ludzi, którzy szukają pozytywnych wartości – z Danielem Wołochowiczem, szefem wydawnictwa psalm18.pl, polskim wydawcą książki „Droga do Damaszku”, rozmawia Sylwia Krasnodębska.

► **Na polskim rynku ukazała się książka „Droga do Damaszku” Janette Oke i Davisa Bunna. Książka opisuje początki chrześcijaństwa w okolicach Nazaretu i tego, jak krzewiła się wiara tuż po śmierci Chrystusa. Jedną z bohaterek jest Julia. Córką niewolnicy. Gdy dziewczyna słyszy historię Jezusa Chrystusa, od razu, właściwie na podstawie szczątków informacji na jego temat, zaczyna w niego wierzyć. Z czego wynika fakt, że tak szybko przyjmuje wiarę w Jezusa Zmartwychwstałego?**

Myszę, że w przypadku Julii wynika to z braku poczucia sensu dotychczasowego życia. Zastanawiałem się, że w dzisiejszych czasach ludzie raczej nie przyjmują nowej czy głębokiej wiary tak szybko, ale w jakiś sposób wydaje mi się, że w tamtych czasach Ewangelia była głoszona z większą mocą. Choć znane nam losy św. Pawła pokazują, że nie zawsze był pozytywnie przyjmowany, to jednak Dzieje Apostolskie opisują też sytuacje, gdy jednego dnia nawracało się trzy tysiące dusz (Dz 2.41).

► **Polska, kraj katolicki, musi być podatnym gruntem do wydawania takich książek? Nie ukrywam, że to pytanie prowokacyjne.**

I tak... i nie. Patrząc na to, jakie książki są oferowane i jakie się sprzedają w popularnych portalach sprzedażowych czy dużych księgarniach, to trudno rozpoznać, że jesteśmy krajem katolickim. Królują przemoc, intryga, romans. Widzę jednak, że jest grupa ludzi, którzy szukają bardziej pozytywnych wartości. Ja zacząłem wydawać te książki, bo mnie po prostu zachwyciły. Autorka Janette Oke ma wyjątkowy dar, bo niezależnie od tego, czy pisze o amerykańskiej farmie na początku XX wieku czy o czasach Dziejów Apostolskich, to tworzy postacie, które są nam bliskie. Bohaterowie przeżywają utratę bliskich, zmagają się z poczuciem własnej wartości czy kompleksami, szukają sensu życia, zakochują się, odkrywają Boga. W ich przeżyciach odnajdujemy... siebie. Delikatnie, a jednak wyraźnie są pokazane Boże wartości. A do tego te historie po prostu dobrze się czyta.

kapitałnie można poczuć też klimat dnia codziennego tamtych czasów czy atmosferę w społeczeństwie.

Chciałbym jako wydawca, by te książki stały się bardziej znane w Polsce (na Zachodzie ci autorzy odnieśli niesamowity sukces) i wierzę, że tak się stanie. Póki co, każdy odzew naszych czytelników, którzy pytają o kolejne tomy, jest bezcenną zachętą do dalszej pracy.

► **Dlaczego dziś powinniśmy przypominać sobie początki chrześcijaństwa? Czy w czasach współczesnych ma to jakieś szczególne znaczenie?**

Wydaje się nam, że żyjemy w czasach trudnych dla chrześcijan. Te wartości nie są promowane przez duże korporacje. Chrześcijańskie święta często zamieniane są na świeckie odpowiedniki, a różne grupy starają się ocenzurować przekaz Biblii.

Myszę, że te książki są cenne, bo pokazują, że chrześcijaństwo na początku też nie było łatwe – zagrożenia były innego rodzaju, ale ceną mogło być nawet życie. Poniekąd to jest wciąż współczesna rzeczywistość wielu krajów...

Nie mam więc wątpliwości, warto poznawać korzenie naszej wiary, warto rozumieć tamte czasy i jak wspominałem, warto zauważyć, że ludzie żyjący 2000 lat temu mieli bardzo podobne pragnienia.

► **I choćby dlatego, że tęsknota za Bogiem jest tak samo aktualna dziś, jak na początku czasów nowożytnych, „Droga do Damaszku” to świetny pomysł na wakacyjną lekturę... A już z pewnością łatwiej się z nią utożsamiać niż ze wspomnianymi przez Pana kryminałami (śmiech).**

Warto też zwrócić uwagę, że cała biblijna trylogia jest dostępna również jako audiobooki (do kupienia na CD lub posłuchania w popularnych serwisach streamingowych). Lektorem tych tytułów jest aktor Wojciech Stolorz znany z Teatru Muzycznego Roma. Kapitałnie tworzy on klimat tych czasów – słychać różne charaktery bohaterów, można poczuć ich emocje. Polecamy tę formę poznawania tej serii dla osób w podróży czy na przykład podczas prac domowych. ■



Olga Doleśniak-Harczuk

Szrederyzacja pełnym gazem

Gerhard Schröder w dalszym ciągu zbija majątek w Moskwie, ale socjaldemokraci zdążyli w międzyczasie nabrać do niego dystansu. „W końcu” – pisał z widoczną ulgą w marcu 2018 roku w swoim felietonie na łamach „Die Zeit” publicysta Josef Joffe. Felieton nosił tytuł „Zapach pieniędzy” i uderzał w byłego kanclerza jako lobbystę Gazpromu. A.D. 2020 Gerhard Schröder ma się lepiej niż kiedykolwiek. Nikt się od niego nie dystansuje. Wszyscy słuchają. I to ponadpartyjnie. Z Moskwy płynie pensja, w Berlinie redakcje ustawiają się w kolejce po wywiady. Młot Schrödera jako wywrotowca, który zboczył z właściwej drogi i ruszył pod prąd wprost w objęcia Rosji, ostatecznie obalono 1 lipca. W Bundestagu.



fot. DMITRY ASTAKHOV/ZWISSTIA/PAP/EGA

Dzień był pełen wrażeń. 1 lipca Niemcy przejęły prezydencję w Radzie UE, w Bundestagu Angela Merkel, Heiko Maas i inni ważni politycy kreślili wizję najbliższego półrocza jako czasu zmian, ale i dźwigania gospodarek europejskich z postpandemicznego kryzysu. Opozycja, zwłaszcza ta spod znaku Alternatywy dla Niemiec, swoim zwyczajem studziła zapal Angeli Merkel, wzywając ją do postawienia tamy procesom, które zmierzają do przeobrażenia Unii Europejskiej w superpaństwo. Na stronie AfD jej honorowy przewodniczący, Alexander Gauland, wzywał rząd federalny do tego, by wykorzystał prezydencję do ukrócenia wpływów Brukseli i powrotu do porządku opartego na decyzyjności suwerennych państw. Gauland argumentował, że w czasie zarówno kryzysu migracyjnego, jak i pandemicznego to państwa narodowe wzięły stery w swoje ręce i efektywnie zarządzały kryzysem, podczas gdy instytucje unijne zawiodły, swoją pasywnością i indolencją. „Merkel na zakończenie swojego urzędowania prawdopodobnie uczyni jednak coś wręcz przeciwnego, a prąc do utworzenia superpaństwa, w dalszej perspektywie pogrzebie ideę europejską” – stwierdza w pewnym momencie Gauland. To tylko wycinek debaty, jaka miała miejsce w Niemczech w związku z przejściem prezydencji. Zanim jeszcze na świat spadła pandemia, Niemcy zamierzali wykorzystać swoje pół roku na walkę z rasizmem, ksenofobią i antysemityzmem, przynajmniej takie sygnały docierały z Berlina jeszcze przed koronakryzysem. Pandemia wiele zmieniła. Teraz głównym celem jest zwalczanie jej konsekwencji, szeroko, na wszystkich płaszczyznach i z jeszcze większym naciskiem na kwestię przestrzegania standardów praworządności (więcej na ten temat w rubryce „Z globalnego tygla” na s. 90), co może zwiastować kolejne potyczki między Warszawą a instytucjami UE. Tak czy inaczej, Niemcy tym razem oficjalnie obejmują rządy w Unii i przedstawili ambitny plan na Europę. Europę bezpieczną, solidarną, sprawiedliwą, scyfryzowaną. Tego dnia na sali obrad padło wiele deklaracji, żadna z nich nie była jednak nawet w przybliżeniu tak ciekawa, jak słowa, które kilka godzin wcześniej wypowiedziano podczas publicznego wysłuchania ekspertów przed Komisją Bundestagu ds. Energii i Gospodarki. Tematem tego nadzwyczajnego posiedzenia były amerykańskie sankcje na Nord Stream 2, a jednym z ekspertów zaproszonych w charakterze niezależnych biegłych był... był kanclerz Niemiec, Gerhard Schröder.

► Humor prowadzącego

„No proszę, jest dziś wśród nas były kanclerz Gerhard Schröder” – jowialnie zakomunikował przewodniczący Komisji, Klaus Ernst (z Die Linke), witając byłego polityka SPD na posiedzeniu 1 lipca. „Zazwyczaj jest tak, że jak już były kanclerz występuje w Bundestagu, to przed Komisją śledczą, a nie jako ekspert” – ciągnął Ernst wyraźnie ubawiony. Gerhard Schröder wygodnie rozparł się w ławie, jego małżonka obserwowała posiedzenie z galerii nad salą obrad. Były kanclerz Niemiec od 2005 roku związany z Gazpromem, będący jednocześnie szefem rady dyrektorów rosyjskiego Rosnieftu, człowiek o ksywce „Gazowy Gerd”, przybył do Bundestagu na zaproszenie Klause Ernsta i wziął udział w obradach jako jeden z siedmiu ekspertów uznawanych za specjalistów w dziedzinie energetyki.

Obrady Komisji transmitowano na kanale Bundestagu. Były kanclerz Niemiec miał zielony krawat w rzucik i niebieską koszulę. Jak zawsze zamiast owijać w bawełnę, mówił prosto i dobitnie. Oficjalnie tematem obrad miała być suwerenność energetyczna Niemiec i Europy w kontekście decyzji o budowie gazociągu Nord Stream 2. Wśród zaproszonych przez Komisję ekspertów, poza Gerhardem Schröderem, znaleźli się m.in. Michael Harms z Komisji Wschodniej Niemieckiej Gospodarki (OAOEV), dr Felix Helmstädt z Morrison & Foerster LLP, dr André Wolf z Hamburskiego Instytutu Gospodarki (HWWI) i kilku innych. Rozmawiano zdumiewająco konkretnie, nikt się nie krygował na jakiś sceptycyzm wobec Rosji, ponadpartyjnie i ponad podziałami 99 proc. zgromadzonych zastanawiała się nad tym, jak ratować Nord Stream 2.

► Odpowiedzieć Stanom tą samą monetą

Zaproszenie dla Schrödera wywołało pewne kontrowersje w szeregach partii, która je wystosowała. Klaus Ernst w przeddzień obrad komisji został zaatakowany przez kolegów z Die Linke. Zdaniem Lorenza Gösta Beutina, eksperta Die Linke ds. energii i polityki klimatycznej, „zaproszenie to było niepotrzebnym golem strzelonym do własnej bramki, posunięciem błędnym na wszystkich płaszczyznach i czymś, czego nie da się pod względem zenady przebić niczym innym”. Polityk wyjaśniał: „Lobbysta Gazpromu reprezentuje prototyp polityka, który zmienia fronty i wykorzystuje swoje wpływy na rzecz szkodliwego dla klimatu przedsiębiorstwa takiego jak Gazprom”. Polityk dodał

jeszcze, że zaproszenie byłego kanclerza jest „afrontem dla wielu członków Die Linke”. Poproszony o skomentowanie krytycznej wypowiedzi partyjnego kolegi szef Komisji, Klaus Ernst, stwierdził, że „jest ona absolutnie chybiona”. Zdaniem Ernsta, „kanclerz Schröder może wiele wnieść do kwestii dotyczącej suwerenności Niemiec”. „Chodzi o sprawę, a nie o lobbing” – dodał. Z kolei polityk SPD, Bernd Westphal, stwierdził, że „Schröder jest człowiekiem o dużej wiedzy na temat Nord Stream i międzynarodowych zależności projektu i w związku z tym może dużo wnieść do oszacowania amerykańskich sankcji”. Sam Gerhard Schröder w swoim stanowisku udostępnionym Komisji Bundestagu (całość jest dostępna na stronie Komisji wraz ze stanowiskami pozostałych ekspertów) określił amerykańskie sankcje mianem „szeroko zakrojonego, nieusprawiedliwionego ataku na gospodarkę europejską i niedopuszczalną ingerencję w suwerenność UE i bezpieczeństwo energetyczne Europy Zachodniej”. A potem na Komisji postulował, by Unia Europejska – a nie same Niemcy, odpłaciły Stanom Zjednoczonym sankcjami.

„Ponad 120 przedsiębiorstw budowy statków, inżynierskich, zajmujących się ochroną środowiska i bezpieczeństwem, które współpracują lub współpracowały z Nord Stream 2, zostały bezpośrednio dotknięte [sankcjami – przyp. O.D.H.]. Celuje się w firmy europejskie, a nie rosyjskie. Za tymi przedsiębiorstwami stoją europejskie miejsca pracy, które zostały zagrożone” – czytamy w pisemnym stanowisku byłego kanclerza Niemiec.

Schröder przekonywał, że Stany Zjednoczone „zmuszają Europejczyków do zakupu droższego gazu skroplonego, a „Nord Stream 2 nie zagraża bezpieczeństwu energetycznemu Europy, a wręcz przeciwnie – przyczynia się do jego zwiększenia, ponieważ gazociąg, dostarczając więcej surowca, przyczyni się przy wzmożonym zapotrzebowaniu do utrzymania stabilnych cen za energię dla europejskich gospodarstw domowych i przedsiębiorstw”.

Na Komisji ds. Energii i Gospodarki Schröder wkroczył do akcji w 34. minucie posiedzenia. „Nie przybyłem tutaj, by upolityczniać temat, ale dlatego, że zaprosiliście mnie państwo w charakterze eksperta. [...] Nie po raz pierwszy Stany Zjednoczone próbują ingerować w naszą politykę energetyczną i wszyscy kanclerze Niemiec, nie tylko Angela Merkel, musieli się mierzyć z takimi ingerencjami i dawać do zrozumienia, że tego typu sytuacje ciążyą na naszych wzajemnych stosunkach. [...] NS2 to nie jest sprawa Rosji, ale to projekt europejski [...] A USA chcą suwerennym państwom w Europie

dyktować, co i jak mają robić” – zaczął Schröder. Jeżeli projekt nie będzie mógł zostać kontynuowany, zostanie zmarnowane 12 mld euro zainwestowanych w NS2, a rocznie dojdą do tego koszty 4 mld euro wynikające z wyższych cen za energię dla gospodarstw domowych. Potem Schröder przeszedł do konkretów, czyli do postulatu, by po pierwsze walczyć o NS2 z poziomu całej Unii Europejskiej jako „projektu europejskiego”, po drugie nie bać się stawić czoła Stanom Zjednoczonym i zastosować również sankcje wobec Ameryki, po trzecie – zdaniem Schrödera spór o Nord Stream 2 to dopiero początek wojny handlowej między USA i Chinami, który uderza w pierwszej kolejności w Europę.

Były kanclerz przekonywał też, że NS2 podnosi bezpieczeństwo energetyczne Europy Zachodniej. I były kanclerz Niemiec nie był odosobniony w swoich opiniach. Wszyscy eksperci zgromadzeni na posiedzeniu podnosili argumenty, które spokojnie mogłyby wyjść spod pióra Schrödera, wyjątek stanowili posłowie Zielonych, którzy od lat zwracają uwagę na szkodliwość Nord Stream 2.

► Niemiecki punkt widzenia

Ciekawa dyskusja wywiązała się w związku z możliwymi sankcjami na USA, które Schröder uważa za naturalne następstwo pełzającego konfliktu. W tej kwestii nie ma jednak jednego stanowiska. Szef Komisji Wschodniej Niemieckiej Gospodarki, Michael Harms, do samego pomysłu sankcji odnoszący się powściągliwie, doradził, by niemieccy politycy jak najszybciej odświeżyli kontakty z politykami amerykańskimi naciskającymi na Niemcy. Ciekawe jest pismne stanowisko Harmsa dla Komisji, w którym ekspert wylicza możliwe straty dla niemieckiej gospodarki w chwili wejścia w życie planowanych sankcji amerykańskich. Harms wylicza, że ofiarą sankcji padłyby nie tylko firmy zatrudnione przy układaniu rur gazociągu, lecz także wszystkie przedsiębiorstwa i osoby zaangażowane w jakąkolwiek pracę na rzecz tych firm. Firmy ubezpieczające, dostawcy technologii IT, firmy wystawiające certyfikaty, porty. Sankcje – jak pisze Harms – mają bowiem nie dotyczyć tylko obywateli USA, lecz mieć także działanie eksterytorialne. „Mógłby to być zakaz wjazdu do USA, zakaz kontaktów prowadzący w konsekwencji do utraty kontraktów. [...] Bardzo mógłby na tych sankcjach stracić niemiecki port Sassnitz-Murken, w którym dochodzi do przeładunku rur i w którym stoi rosyjski statek przeładunkowy. Sankcje mogłyby uderzyć nawet w pracowników

niemieckiej administracji i urzędników, chociażby w urząd górniczy w Stralsund, który był zaangażowany w udzielanie zezwoleń na budowę NS2. [...] W takim wypadku sankcje dotknęłyby również niemieckich usługodawców, tj. spawacze, przedsiębiorstwa dźwigowe, catering, firmy logistyczne. Wszystkich, którzy świadczą jakiegokolwiek usługi na rzecz rosyjskiego statku przeładunkowego. [...] Niemieckie przedsiębiorstwa energetyczne Uniper i Wintershall, które od 30 lat są aktywne w rosyjskim sektorze energetycznym, udostępniły na budowę NS2 kredyty po 950 mln euro. Te inwestycje są teraz zagrożone planami zastopowania budowy gazociągu. To ważne, by Unia Europejska uodporniła się na takie ataki od środka. Pierwszym ruchem mogłoby być uruchomienie unijnych regulacji blokujących oraz zaktywizowanie alternatywnego kanału płatności INSTEX. Poza tym opowiadamy się za unijnym mechanizmem ochronnym dla niesprawiedliwie dotkniętych sankcjami przedsiębiorstw. Unijny »parasol ochronny«, który można by zastosować we wszystkich przypadkach dotyczących stosowania sankcji eksterytorialnych, a nie tylko w konkretnym przypadku Nord Stream 2, byłby wyraźnym sygnałem dla Stanów Zjednoczonych, ale i innych państw, że UE nie pozwoli sobie ot tak na żadne sankcje. [...] Sam postulat wystosowania gospodarczych sankcji przeciwko USA, chociażby w formie cla i sankcji odwetowych względem amerykańskich deputowanych, postrzegamy krytycznie. Nie chcemy nakreślać spirali wzajemnych sankcji i protekcjonizmu, ale dążymy do wzmocnienia prawa międzynarodowego” – pisze Harms. Polecam całość tego dokumentu, ponieważ daje on wgląd w pewien sposób myślenia i kalkulowania sprowadzający się po pierwsze do tego, by uwspółnotować Nord Stream 2 i tym samym uznać, że jako projekt europejski powinien być chroniony przez struktury unijne. Po drugie, treść w nim zawarta wpisuje się w popularny w Niemczech tok myślenia zakładający, że trzeba się emancypować. Kierunek emancypacji zaś *de facto* oznacza jeszcze bardziej bliskie relacje z Rosją kosztem tych transatlantyckich.

Co do samego Gerharda Schrödera, były kanclerz Niemiec nie od dziś aktywnie miesza w niemieckiej polityce, mimo iż teoretycznie jest po nią, ale w ostatnich kilku miesiącach podkreślił tempo.

5 maja bieżącego roku w artykule poświęconym pandemii koronawirusa Schröder przekonywał, że Niemcy powinny zacisnąć jeszcze bardziej swoją współpracę z Rosją i Chinami, a o Stanach Zjednoczonych pisał: „Stany Zjednoczone pozosta-

na naturalnie ważnym partnerem, nawet jeżeli obecnie urzędujący prezydent jest obciążeniem dla stosunków międzynarodowych”.

Wcześniej, w wywiadzie udzielonym magazynowi „Vorwärts”, organowi prasowemu SPD (5 sierpnia 2019 roku) zapytany o stosunki niemiecko-amerykańskie w kontekście układu atomowego z Iranem, Schröder stwierdził: „Nasze stosunki z USA od czasu nastania administracji Trumpa nie mają nic wspólnego z partnerstwem. To jest kuratela i wymuszanie posłuszeństwa. Trump umyślnie niszczy usystematyzowany światowy porządek gospodarczy. Chce nam dyktować, z kim wolno nam prowadzić wymianę handlową. To pokazuje, że nie chce żadnych partnerów, tylko polepczników”.

pana za to, że jako były kanclerz Niemiec lobbjuje pan na rzecz rosyjskich koncernów energetycznych?”. „Nie, zupełnie tego nie rozumiem. Co by pana gazeta powiedziała, jakbym zasiadł w zarządzie Exonu?”. „To jest dopiero ważny zwolennik stosunków transatlantyckich!”. „No dobrze, ale gdzie tu jest różnica? Jaka jest różnica między Friedrichem Merzem, który pracował dla Black Rock a mną?”. „Merz, w przeciwieństwie do pana, nie był kanclerzem Niemiec” – zauważa dziennikarz. „No dobrze, niech pan posłucha... Kiedy ustąpiłem z urzędu kanclerskiego, miałem 60 lat, miałem oddalić się do swoich latyfundiów? Nie miałem takowych, musiałem coś zacząć robić [...] To jest moje życie i nie pozwolę się nikomu wtrącać”. Schröder zapytany następnie o swój lobbying na rzecz Rosji,

**GERHARD SCHRÖDER W SWOIM STANOWISKU UDOSTĘPNIONYM KOMISJI
BUNDESTAGU OKREŚLIŁ AMERYKAŃSKIE SANKCJE ZA NORD STREAM 2 MIANEM
„SZEROKO ZAKROJONEGO, NIEUSPRAWIEDLIWIONEGO ATAKU NA GOSPODARKE
EUROPEJSKĄ I NIEDOPUSZCZALNĄ INGERENCJĘ W SUWERENNOŚĆ UE
I BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE EUROPY ZACHODNIEJ”. A POTEM NA KOMISJI
POSTULOWAŁ, BY UNIA EUROPEJSKA – A NIE SAME NIEMCY, ODPLACILIŁY STANOM
ZJEDNOCZONYM SANKCJAMI.**

► Gerhard lubi Brechta

26 czerwca były kanclerz nagrał kolejny już podcast dla dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. W rozmowie z dziennikarzami „FAZ”, Schröder mówi o tym, że „człowiek się zmienia i musi się zmieniać”, powołując się na literackie przykłady z Bertolda Brechta, chwali rząd niemiecki za działania anty kryzysowe w pandemii, lobbjuje za dobrymi stosunkami niemiecko-rosyjskimi. Zapytany o to, czy mówi trochę po rosyjsku, odpowiada, że „nie za bardzo” i że miał już sporo problemów z angielskim, więc specjalnie do rosyjskiego się nie przykłada, a teraz z uwagi na swoją żonę pochodzącą z Korei Południowej musi jeszcze opanować podstawy koreańskiego. Schröder wychwala natomiast Władimira Putina za jego bardzo dobrą znajomość języka niemieckiego, „oczywiście komunikujemy się po niemiecku. Mamy regularny kontakt, ale te kontakty nie są tak częste, jak się spekuluje” – stwierdza w pewnym momencie Schröder. „Czy rozumie pan ludzi, którzy krytykują

mówi tak: „Patrząc z perspektywy historycznej, Niemcy zrobili w Rosji dużo złego i mają winność wobec Rosji”, po czym dodaje, że Rosja działa w polityce bardziej racjonalnie niż Stany Zjednoczone, a dziennikarz... przyznaje mu ze śmiechem rację. A potem panowie wracają jeszcze do roku 2005 i polityki wewnętrznej spod szyldu Agendy 2010, która otworzyła drzwi do gospodarczego sukcesu pierwszego rządu Angeli Merkel. Gerhard Schröder jest na fali. Jego wizja stosunków niemiecko-rosyjskich jest na fali. Rubaszny Gerd smażący jajecznicę przed obiektywem swojej żony, która publikuje potem takie fotki w mediach społecznościowych, podoba się publice. Niedawno w sondzie ulicznej pokazano takie radosne, domowe zdjęcia Schrödera, potem ochotnicy pozwolili tak jak były kanclerz. Przy kuchni, z bukietem kwiatów etc. Było sporo śmiechu. Josef Joffe się pomylił. Dystansu nie ma, są interesy. I ocieplony wizerunek 76-letniego „chłopaka z Mossenbergu”, który kiedyś obiecał swej matce mercedesa. Słowa dotrzymał.



Ryszard Czarnecki

Alkohol, Sarmaci i reszta świata...

Utarło się, że jak Sarmaci, to tylko wódka. Że skoro Polacy wymyślili wódkę, to picie jest polskim przeznaczeniem, ba, misją. Napoleon miał wprowadzić do języka francuskiego powiedzenie: „ivre comme un Polonais” – „pijany jak Polak”, co wbrew pozorom nie oznaczało dezaprobaty, lecz podziw i uznanie, że nasi przodkowie nawet po spożyciu dużej ilości alkoholu zachowywali sprawność fizyczną i, paradoksalnie, trzeźwy (!) umysł. Ta maksyma Napoleona powtarzana przez przeszło dwa wieki na całym Bożym świecie utrwaliła naszą wyjątkową reputację.

Jednak czy aby na pewno to my, Polacy, mamy taki monopol na ochłaj? Wielki brytyjski pisarz, katolik skądinąd, jak zresztą wielu najwybitniejszych mistrzów pióra – synów Albionu – Gilbert Keith Chesterton napisał: „Żadne zwierzę nie wymyśliło czegoś tak szkaradnego jak pijaństwo ani czegoś tak dobrego jak alkohol”. Jego rodacy praktykują ową maksymę współcześnie – angielscy turyści w Polsce szczególnie tę pierwszą część...

Cóż mówić o Polakach, skoro w krajach anglosaskich jest stereotyp pijaka-Irländczyka. Nie ma co się dziwić, gdyż już irlandzki pisarz Seán O’Faoláin stwierdził wprost, że: „Irlandzki dziwak to człowiek, który woli kobietę od alkoholu”. To nie Zbyszek Cybulski, tylko Humphrey Bogart powiedział: „Nie nadużywam alkoholu. To tylko cały świat jest trzy kieliszki do tyłu”. To nie profesor Zbigniew Religa, lecz szkocki bakteriolog, laureat Nagrody Nobla Aleksander Fleming mawiał: „Łyk alkoholu do poduszki – nie jest to zbyt naukowe, ale pomaga”.

Ba, tak naprawdę problem pijaństwa zaczął być opisywany w starożytności (chyba że uznamy za prawdziwą tezę, iż Sarmaci to potomkowie Rzymian...). Przecież to Seneka stwierdził, że „opilstwo nie rodzi wad, ale je wydobyla”.

Tak, picie alkoholu, i to w dużych ilościach, to część kultury szeroko rozumianego Zachodu. Przecież to nie Artur Grottger czy Jacek Malczewski, lecz ojciec surrealizmu – wraz ze swoim rodakiem Salvadorem Dalím – Hiszpan Ramon Gomez de la Serna mówił dowcipnie: „Dużo rzeczy można znaleźć wśród pól i łąk, ale

nigdy korkociągu”. To przecież amerykański (choć włoskiego pochodzenia) piosenkarz i aktor Dean Martin twierdził, zapewne z autopsji, iż: „Nie jesteś naprawdę pijany, jeśli leżąc na podłodze, nie musisz się czegoś trzymać”.

To przecież nie polskie, a francuskie przysłowie mówi: „Tylko pierwsza butelka wydaje się droga”. To nie Adam Mickiewicz, lecz Miguel Cervantes, ten od „Don Kichota”, pewnie nie bez kozery, apelował: „Pij z umiarem, pijaństwo bowiem nie dotrzymuje ani sekretów, ani obietnic”. Wreszcie to nie Jan Kochanowski w „Trenach”, a angielski poeta okresu baroku George Herbert radził szczerze: „Nie pij trzeciego kieliszka, on Ci nada takie przyspieszenie, że już nie zdążysz wyhamować”.

Kuda im wszystkim do mistrza Platona, który mawiał, jakże ponadczasowo (sic!): „Wino czyni ubogiego bogatym w fantazję, a bogatego biednym w rzeczywistość”.

Oczywiście mieliśmy w tym zakresie swoją bogatą tradycję. Świadczą o tym liczne staropolskie przysłowia, które – uwaga! – przed złymi stronami „dawania w palnik” ostrzegały. Oto próbki: „Pijaństwo jest dobrowolne szaleństwo” lub „Pijaństwo do niczego dobrego nie wiedzie” albo „Pijaństwo do nierządu pobudka”, ale także: „Pijaństwo mądryemu baczenie odejmuje” czy też: „Pijaństwo rozum odejmuje”. I inne, pełne refleksji: „Więcej zamordowało pijaństwo niż miecz”. Jest także takie: „Z człeka pijanego, konia chromego, psa leniwego – jednak pożytek”. Albo też pełne pogardy: „Pijany w błocie leży, a psi mu gęby pilnują”. Do historii Polski przeszedł lubelski aptekarz Sztok, nałogowy pijak na tyle znany, że nasi przodkowie mówili „pijany jak Sztok”, w wersji późniejszej, do dziś używanej, „pijany w sztok”...

A jednak będę uparcie dowodził, że choć nasi przodkowie Sarmaci za kołnierza nie wylewali, nasza kultura nie była jako żywo kulturą abstynentów, to bynajmniej nie mieliśmy monopolu na chłanie i „zalewanie robaka”. Robiły to też inne nacje i na Wschodzie, i na Zachodzie...

Hanna Shen



Walka Hongkongu to także bitwa o nasze ocalenie



Walka Hongkończyków toczy się nie tylko o zachowanie obiecanej im przez Pekin przez jeszcze co najmniej 27 lat autonomii. To bitwa – jak to określa hongkoński magnat prasowy Jimmy Lai – o duszę. To wystąpienie przeciwko komunizmowi i materialistycznemu ateizmowi. Hongkończycy potrzebują wsparcia.

Rok 2019 przyniósł protesty przeciwko wprowadzeniu w Hongkongu ustawy ekstradycyjnej, która miała pozwolić na sądenie obywateli Hongkongu na terytorium komunistycznych Chin. Gdy szefowa administracji Hongkongu ogłosiła, że jej rząd wycofuje się z ustawy, protestujący nie zaprzestali demonstracji, domagając się realizacji takich postulatów, jak przeprowadzenie śledztw w sprawie brutalnego postępowania policji w czasie protestów, amnestii dla zatrzymanych, zaprzestania nazywania protestów „rozruchami” oraz wznowienia reform politycznych.

► Zdławić hongkoński wirus wolności

Na początku 2020 roku pandemia koronawirusa wstrzymała manifestacje, ale protesty wróciły, gdy władze komunistyczne Chin podjęły decyzję o wprowadzeniu tzw. ustawy o bezpieczeństwie narodowym. Zapowiedziano ją w połowie maja, podczas inauguracji dorocznego posiedzenia Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych.

Zgromadzenie w Pekinie zatwierdziło plany ustawy i poleciło Stałej Komisji Parlamentu jej przyjęcie, pomijając parlament Hongkongu. Ustawa ma wejść w życie do września.

To nowe prawo to złamanie przez Pekin Wspólnej deklaracji chińsko-brytyjskiej z 1984 roku, która jest także międzynarodowym traktatem zarejestrowanym w ONZ i która utrzymuje formułę jedno państwo, dwa systemy.

Ustawa oznacza, że każdy w Hongkongu, kto występuje przeciwko władzy, może być oskarżony o działalność sabotażową i separatystyczną oraz że zagraniczni dziennikarze, studenci, naukowcy i biznesmeni mogą być oskarżeni o próby ingerencji zewnętrznej. A porządku na modłę KPCh będą pilnować agenci chińskiej bezpieki, którym ustawa pozwoli legalnie działać na terytorium Hongkongu. Nowe prawo jest wymierzone w to, co Pekin uważa za wirus dużo gorszy niż COVID-19 – mianowicie w wirus wolności.

Hongkończycy – zwłaszcza ci młodzi – zrozumieli, patrząc na swoich rodziców, że być może pod rządami komunistów chińskich będą mieć pracę, będą zarabiać, ale nie będą mogli mówić tego, co chcą, wierzyć w to, co chcą, czy też za pieniądze, które zarabiają, kupić sobie książkę, gazety czy obejrzeć film, jakich zapragną. Będą tylko bezdusznymi robotami.

► Bez wolności tracisz wszystko

Jedną z osób, która od początku popierała protestujących w Hongkongu i bierze udział w manifesta-

cjach, jest magnat prasowy Jimmy Lai. Ten urodzony w Chinach hongkoński biznesmen często mówi, że Hongkongowi zawdzięcza wszystko: udany biznes, wspaniałą rodzinę i dobre zdrowie.

Po Masakrze na placu Tiananmen w 1989 roku Lai uznał, że Hongkong ma bardzo ważną misję do spełnienia. Ma mówić prawdę o Chinach. Lai stwierdził, że najlepszym sposobem, aby to osiągnąć, jest założenie mediów. I tak stworzył grupę medialną Next Digital (początkowo Next Media), która wydaje m.in. gazetę „Apple Daily”. To największy dziennik w Hongkongu, o nastawieniu antykomunistycznym.

Dziś, gdy Hongkong zaczyna być miejscem niebezpiecznym dla krytykujących Pekin, Lai mógłby wyjechać, bo ma także obywatelstwo brytyjskie. Mógłby jak wielu hongkońskich biznesmenów tańczyć tak, jak mu zagra Pekin, i wtedy jego media miałyby więcej reklam, a tym samym dochodów. Zamiast tego Lai mówi, że wraz z pozostałymi Hongkończykami będzie walczył do końca o utrzymanie wolności w byłej brytyjskiej kolonii.

Według Jimmy'ego Lai nowa ustawa narzucona Hongkongowi przez Pekin oznacza śmierć miasta, bo Hongkończycy utracą wszystkie wolności. A jak podkreśla często w wywiadach: „Kiedy tracisz wolność, tracisz wszystko”. Lai dodaje także, że nowe prawo to zniszczenie spuścizny po kolonialnej przeszłości Hongkongu. Brytyjczycy zostawili Hongkongowi rządu prawa, ochronę ze strony systemu prawnego i wolny rynek. Pekin chce teraz zniszczyć to wszystko poprzez uczynienie z Hongkongu takiego samego miasta jak inne chińskie metropolie. A to według Jimmy'ego Lai znaczy, że trzeba „będzie płacić haracz urzędnikom, by nas chronili”, i że zabraknie, jak to w komunizmie, wzajemnego zaufania, które jest jedną z podstaw sukcesu gospodarczego i finansowego Hongkongu.

Według Lai chińscy komuniści założyli, że Hongkończycy są jak zwierzęta – wystarczy dać im obietnicę, że będą mogli się bogacić, a więc będzie jedzenie i rozrywka. Tymczasem ziomkowie Jimmy'ego Lai pokazują, że mają nie tylko ciało, lecz także duszę. I o tę duszę będą walczyć. Zapytany o to, co znaczy ta duchowa bitwa Hongkończyków, Lai mówi, że to walka o wolność, moralność, „wartości, na których musimy się oprzeć, by wieść harmonijne życie, wzajemny szacunek, jaki mamy jeden dla drugiego, ponieważ łączą nas ta sama moralność i zrozumienie wolności chronionej przez prawo”.

► Nie chcą Marksa, chcą Chrystusa

Jedną z grup rzucających się w oczy wśród protestujących w Hongkongu są tamtejsi chrześcija-

nie, zwłaszcza młodzież. W trakcie manifestacji można ich zobaczyć modlących się w grupach albo usłyszeć w ich wykonaniu pieśń, która stała się niemal hymnem protestujących: „Śpiewaj Panu, Alleluja”.

Hongkońscy chrześcijanie są coraz bardziej świadomi znaczenia swobód obywatelskich dla społeczeństwa, ponieważ te stanowią punkt odniesienia dla ich możliwości swobodnego angażowania się w nabożeństwo, praktyki religijne i działania na rzecz sprawiedliwości społecznej. Rozumieją także ich znaczenie jako zabezpieczenie przed praktykami rządu, który próbuje kontrolować niepokoje społeczne i tłumić krytykę. Do tej pory kościoły w Hongkongu miały swobodę głoszenia, nauczania i prowadzenia nabożeństw bez wyrażnych oznak monitorowania, presji czy kontroli. W dłuższej perspektywie Hongkończycy obawiają się, że chrześcijan spotka to samo co w Chinach, czyli prześladowania.

Taką obawę wyraża emerytowany biskup Hongkongu kardynał Joseph Zen. Według niego, zmiany statusu Hongkongu przez Chiny są zagrożeniem dla wolności religijnej katolików w regionie. „Właściwie nie mamy nadziei. Hongkong jest całkowicie pod kontrolą Chin. Jesteśmy zależni od Chin, nawet jeśli chodzi o nasze jedzenie i wodę. Ale oddajemy się w ręce Boga” – mówi duchowny.

Według międzynarodowej organizacji International Christian Concern (ICC), to właśnie 88-letni kardynał Joseph Zen może być jednym z pierwszych aresztowanych i wysłanych do komunistycznych Chin za sprzeciw wobec władzy w ramach nowej ustawy dotyczącej bezpieczeństwa narodowego i częstą krytykę komunizmu. „Setki innych przywódców religijnych lub organizacji chrześcijańskich, które wypowiadały się przeciwko rządowi Hongkongu, może spotkać ten sam los, ponieważ Pekin powiedział, że uważa masowe protesty, które rozpoczęły się w czerwcu ubiegłego roku, za akty terrorystyczne i wszelkie wezwania do niepodległości Hongkongu jako akty buntu” – stwierdza raport ICC.

Zarówno młodzi chrześcijanie z Hongkongu, jak i kard. Zen dokładnie wiedzą, jak łamana jest wolność religijna w Chinach pod rządami prezydenta Xi Jinpinga. Znowu usuwa się krzyże z kościołów, burzy świątynie i domy modlitw oraz aresztuje wiernych. Nie ustają represje wobec duchownych. Od 2017 roku szczególnie usilnie prowadzona była kampania walki z Bożym Narodzeniem, które m.in. w komunistycznych mediach przedstawiano jako „duchowe opium” i „formę kulturowej inwazji Zachodu”. W coraz większej

liczbie chińskich prowincji zabrania się duchowym wpuszczania do kościoła dzieci i młodzieży oraz prowadzenia dla nich katechezy. Za to w szkołach w Chinach pierze się młodym ludziom mózgi marksizmem. W 2018 roku państwowa stacja CCTV prowadziła show pt. „Marks miał rację”, który przedstawiał teorie Marksa młodzieży, a ta opowiadała, dlaczego ideologia marksistowska jest dla niej ważna.

Dla młodych Hongkończyków wychowanych w poszanowaniu takich wartości, jak wolność wyznania, sposób, w jaki Komunistyczna Partia Chin niszczy religię w ChRL, to oznaka, że Hongkong po wprowadzeniu nowego prawa spotka to samo. Pastor Tony Read w artykule na łamach portalu Hong Kong Free Press stwierdził, że pekińska ustawa dotycząca bezpieczeństwa narodowego to wyzwanie dla kościołów i chrześcijan w Hongkongu, ponieważ sposób, „w jaki Pekin kontroluje i niszczy kościoły w Chinach kontynentalnych, nie wróży dobrze Hongkongowi. To, co jest uważane za normalną wspólnotę chrześcijańską w Hongkongu, jest uznane za wywrotowe na ChRL i doprowadzi do uwięzienia przywódców Kościoła”.

► Wołanie o pomoc

Ale prześladowania już są. Oficjalne dane policji w Hongkongu mówią, że w czasie protestów w 2019 roku zatrzymano 10 tys. młodych obywateli Hongkongu. Według Elmera Yuena, hongkońskiego biznesmena, który zasłynął w ostatnich tygodniach z listu wysłanego do prezydenta Donalda Trumpa, w którym prosił go o pomoc dla młodych Hongkończyków, ta liczba to prawie 30 tys. aresztowanych. Wielu z nich zostało wywiezionych do Chin, do obozów koncentracyjnych, gdzie są ofiarami tortur oraz gwałtów.

Elmer Yuen uważa, że podczas gdy w roku 2019 Komunistyczna Partia Chin dokonała gwałtu na Hongkongu, to wprowadzenie w życie nowej ustawy dotyczącej bezpieczeństwa narodowego będzie się równało z czystką etniczną, holokaustem w byłej kolonii brytyjskiej. Aby temu zapobiec, potrzebne są zdecydowane kroki ze strony Zachodu.

W czasie protestów w 2019 roku w tłumie manifestujących widać było wiele flag USA. To głównie tam wsparcia i ratunku upatrują Hongkończycy. Jimmy Lai mówi: „Prezydent Trump jest naszą ostatnią nadzieją”. Administracja Trumpa już zapowiedziała, że odbierze Hongkongowi specjalny status handlowy i nałoży sankcje na osoby, które są odpowiedzialne za „zduśzenie wolności” tego regionu.

Pomoc zapowiada także Wielka Brytania. Aż 350 tysięcy mieszkańców Hongkongu posiada brytyjskie paszporty. Kolejne 2,5 mln spełnia wymogi, które pozwalają starać się o ten dokument. Boris Johnson zaproponował, aby takie osoby wyjechały z Hongkongu i schroniły się w Wielkiej Brytanii.

Rząd Tajwanu ogłosił, że specjalne biuro będzie pomagało Hongkończykom starającym się opuścić ten region. Złagodzone też będą restrykcje epidemiczne na granicy, co umożliwi Hongkończykom przyjazd na wyspę z powodów humanitarnych.

To wszystko jednak wydaje się niewystarczające, bo Pekin nie zamierza wycofać się z ustawy. Według Elmera Yuena Waszyngton powinien podjąć bardziej drastyczne kroki, na przykład odciąć Chiny od używania dolarów w rozliczeniach handlowych. Były doradca prezydenta Trumpa, Steve Bannon, w swoim programie „War Room Pandemic” zapytał Yuena, czy nie mają racji ci, którzy mówią, że takie zdecydowane ekonomiczne sankcje USA wobec Chin i Hongkongu tak naprawdę uderzą w przeciętnych Hongkończyków, głównie młodych. Ze łzami w oczach Hongkończyk odpowiedział Bannonowi: „Jesteśmy gotowi zapłacić każdą cenę, aby uzyskać wolność”.

Hongkończycy są w takim momencie swojej historii, który Tadeusz Kościuszko opisał następującymi słowami: „To jest czas, w którym trzeba poświęcić wiele, żeby wszystko ocalić”.

Obywatele Hongkongu walczą o ocalenie rządów prawa, wolności wypowiedzi, wolności zgromadzeń i wolności religijnej. Protestujący Hongkończycy to nie lewackie bojówki, takie jak Antifa, niszczące, co widzimy w USA, własność prywatną czy pomniki świętych. Hongkończycy występują przeciwko komunizmowi i materialistycznemu ateizmowi, czyli hasłom, które dziś na sztandarach nosi zachodnie lewactwo. Walczą więc o te same wartości, które są bliskie środowiskom konserwatywnym i prawicowym na Zachodzie. Można zatem powiedzieć, że walczący Hongkong jest przykładem dla zachodnich wartości tuż u boku komunistycznych Chin, które już nie ukrywają, że chcą rozprzestrzeniać swoją ideologię na świat, że chcą zniszczenia naszych wartości – stąd wśród uczestników zamieszek w Stanach Zjednoczonych znaleźli się Chińczycy. Także w internecie Chińczycy zachęcali do wzniecania rozruchów w amerykańskich miastach.

Hongkong walczy o swoją duszę, ale jest to także bitwa o nasze ocalenie, bo jak mówi Jimmy Lai: „Jeżeli pozwolimy Chinom, by obchodziły się z nami według ich wartości, to nie będzie pokoju na świecie”.



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Miasto ugrzęźnięte

W Puerto Ayacucho jeszcze do niedawna istniało życie. Działał indiański targ. Z puszczy przybywali nań codziennie przedstawiciele amazońskich plemion. Z rybami, z rękodzielami przeznaczonymi na sprzedaż. Po kilku dniach z obfitym utargiem wracali do siebie. Nad rzekę. Przyjeżdżali też turyści. Funkcjonowały hotele. Puerto Ayacucho pęczyło. Na oczach ludzi rośla pulsująca plama przedsiębiorczej myśli Latynosów z południa Wenezueli. Działających na przekór naturze, która, gdyby mogła, najchętniej połknęłaby całe to miasteczko w całości. Zalała wodami Orinoko, opłotła bluszczem dżungli.

W Puerto Ayacucho jest już około trzynastej. W nocy znowu padało. Na liściach drzew pobliskiego parku jest jeszcze sporo kropel. Jest jednak szansa, że popołudniowy wiatr prędko przegoni chmury. I że znów zaświeci słońce. Mimo to i tak jest upalnie. I duszno. Leniwe popołudnie ostatniego wenezuelskiego miasta przed puszcza. Ostatniej ostoi człowieka. Kawałek dalej zaczyna się już świat lasu, zielonego reżimu, w którym najwięcej do powiedzenia mają zwierzęta. Tutaj do miasta się nie zapuszczają. Za dużo betonu. Za dużo ludzi.

Przewrotnie jednak w tej chwili ulice Puerto Ayacucho są raczej wyludnione. Leniwa poburzona atmosfera sprawiła, że ulice tego czterdziestotysięcznego miasteczka przypominają raczej osadę duchów. Kilka szwendających się bez celu bezdomnych psów. Stado papug przefruwające z drzewa na drzewo. I ta dwójka. Nieco wczorajszych panów siedzących gdzieś na bruku pobliskiego Plaza Bolívar.

– Panowie, szukamy z kolegą transportu w górę Orinoko. Umielibyście pomóc? – zaczepiamy wprost. W odpowiedzi chwila ciszy. Jakby nie usłyszeli. Nieco tępowym wzrokiem patrzą wpięrow na nas, a po chwili na siebie nawzajem.

– Ty, a to nie Cristina? – odzywa się wreszcie pierwszy: ten nieco niższy, z kapeluszem, którego wygląd świadczy, że wiele już w życiu doświadczył. I on, i kapelusz.

– Cristina, powiadasz? – zastanawia się drugi: wyglądający na kogoś, kto został właśnie wyrwany z bardzo głębokiego snu.

– Ano nie? Kiedyś pływała gdzieś tam...

– Ale jaka Cristina? – mam coraz głębsze przekonanie, że facet naprawdę chyba spał.

– No, ta. Wiesz... Ta od ryb, no!

– Aaa... Kobita Marcelo... – odpowiada wyższy, po czym zadziera niezdarnie białą koszulkę i bezceremonialnie zaczyna drapać się po odkrytym brzuchu.

– No, dokładnie. Marcelo – powtarza niezgrabnie słowa kolegi niższy, zupełnie nie zwracając uwagi na jego zachowanie.

– Ty, ale ja to jej nigdy na łodzi nie widział... – mówi wyższy i zaczyna dłużyć w nosie.

– Ok, panowie, przepraszam za problem – przerywam, by grzecznie podziękować i szybko odejść. Mam wrażenie, że w tej sytuacji tracimy tylko czas.

– Bywała, bywała... – powtarza cicho pierwszy, prawdopodobnie zupełnie mnie nie słysząc.

– No, skoro bywała...

– Tak... Chyba Cristina by wiedziała coś więcej. Musie iść do Cristiny – konkluduje bardziej rozgarnięty.

– Ale czy ona pływa w górę rzeki, to ja nie wiem... – tym razem nasz niewypasany bohater zaczyna trzech dłońmi zmęczone oczy.

– Nie mamy pewności, amigos – zwraca się do nas pierwszy. – Tak czy siak, warto iść na mercado. Tam dużo wiedzą. Najlepiej pytajcie się o Cristinę. Powinna nam pomóc.

– Bardzo dziękujemy!

– Gringo! – woła za mną, gdy szykujemy się do odejścia. – A macie jakieś bolivares?

► W sklepie u Cristiny

Smród ryb unosi się w powietrzu. Wentylator le-dwo zipie. Mimowolnie odwracam głowę, przytykając nos do ramienia. Na ścianach jakieś plakaty, pewnie pamiętające początek rządów Cháveza. Kalendarze z wygiętymi w erotycznej pozie latynoski-mi modelkami. Gdzieniedzie z pourywanymi nogami lub głowami.

Wchodząc na starą posadzkę, zauważam, że zostawiam za sobą wyraźne ślady. Efekt dopiero co zmoczonych sandałów. Przed chwilą wpadłem w jedną z cuchnących kałuż, jakich na tutejszym bazarze bez liku. Swoją drogą, to targowisko to jednocześnie nieoficjalne centrum życia towarzyskiego. Miejsce, w którym zawsze wiedzą najwięcej. Ulubiony punkt spotkań włóczących się bezrobotnych, dla których jedyną formą rozrywki są kolejne sensacje dnia. Dla każdego z nich to obowiązkowy punkt odwiedzin. Od którego zwykle rozpoczynają swój grafik dnia. Rozciągnięty po latynosku do granic możliwości.

Sceneria jak w starym filmie o japońskiej mafii. Delikatny półmrok. Gęsta, duszna atmosfera. Smród ryb. Grzechot zepsutego wentylatora. Wyobraźnia pracuje. Na pewno tam za kotarą leżą ludzkie głowy. A nad całością czuwa boss tutejszej szajki. Brakuje tylko wpadającego przez okno czarnej samuraja z mieczem.

– E! Gringos! Czego tu szukacie?! – słyszę nagle z prawej strony. Spod lady niczym duch pojawia się barczysty mężczyzna. Przyznam, że nie mam pojęcia, gdzie on był do tej pory.

– Buenos dias, señor! Szukamy Cristiny.

– A... – uspokaja głos, by po chwili ryknąć znów: – Cristina! Do ciebie!

– Fajny lokal, nie ma co... – szepcze Kuba, z którym od kilku dni wertujemy Puerto Ayacucho niczym najlepszy kryminał. Delektując się każdą nową chwilą.

– W porządku, panowie. Usiądźcie spokojnie – uśmiechnięty już Latynos kuchennym nożem wskazuje plastikowe krzesła za drzwiami. Rzecz jasna, popękane.

– Nie, dziękujemy. Postoimy.

– Słucham, w czym mogę pomóc? – słysząc zza kolorowych ceratowych pasów, które odgradzają część sklepową od zaplecza. Po chwili pojawia się okazały rozmiarów kobieta. Z grubą szyją otuloną pierścieniem zło-



Sprzedawcy zimnych napojów odpoczywają w cieniu muralu z krokodylem. Nawet w centrum Puerto Ayacucho nie sposób uciec od amazońskiej symboliki puszcy

tych łańcuszków. Z błyskotkami okalającymi każdy chyba palec dłoni. Nie ma ich tylko na obu kciukach.

– Señora Cristina?

– Nie inaczej. Słucham, panowie – mówi z typowo latynoskim akcentem. I ten niski, podchodzący pod chrypkę głos... Mmm... Czarujące.

– Powiedziano nam, że pływa pani w górę rzeki – przechodzę do rzeczy.

– Zdarza się. Współpracujemy z Las Esmeraldas.

– Chcielibyśmy się tam dostać. Bardzo nam zależy. Oczywiście zapłacimy.

– A ilu was jest? Tylko dwóch? – señora wskazuje na nas palcem, a całe pomieszczenie wypełnia się dźwiękiem brzęczących bransoletek.

– Tak, dwóch – odpowiadam, nie patrząc na Kubę.

– Możemy was zabrać. Płyniemy w czwartek. Bądźcie rano w porcie.

– Naprawdę?! Nie wiem, jak mam dziękować! – w tej chwili mam ochotę rzucić się jej na szyję.

– Wyluzuj, chłopaku, wyluzuj...

Podkscytowany spoglądam na otoczenie. Już mi nie przeszkadza rybny smrodek. Mógłbym teraz z tymi wypatroszonymi rybami płynąć i płynąć. Byle tylko znaleźć się u celu! Macham na pożegnanie do operującego nożem w rybnych wnętrznościach sprzedawcy i otwieram drzwi.

– Nie zapomnijcie tylko o pozwoleniach – słyszę znajomy głos.

– Jakich pozwoleniach? – zawracam.

– No jak to jakich? Pozwoleń od wojska. Rozumiem, że już je macie?

– No właśnie nie do końca. Zrozumiałem, że jak popłyniemy z waszym transportem, to obędzie się bez nich.

– Nie ma mowy – jej twarz przybiera naraz surowy wyraz. – Bez pozwoleń was nie biorę. Jeszcze doszczętnie nie zgłupiałam.

Stoimy z Kubą nieco oniemiałi. Prędką podróż dobiega właśnie końca: ze stanu ekstazy do nagłego zdenerowania się ze ścianą. Stoję tak przez kilka sekund w milczeniu. Chce mi się po prostu płakać. Przecież było tak blisko.

► U kapitana Valdésa

Pięćdziesiąty drugi batalion położony jest już praktycznie poza granicami miasta. Po kilku chwilach jazdy rozlatującą się hondą małowówny taryfiarz dyskretnym gestem ręki wskazuje rozpoczynający się po prawej stronie jezdní plot. „Batallón quincuagésimo segundo” – szepcze ponuro. Najwyraźniej ma nam do zakomunikowania tylko tyle.

Kilka ładnych kilometrów płotu kończy się wieżyczką strażniczą i szlabanem. Przy budce kilkadziesiąt osób. Najwidoczniej na coś czekają. Większość z jakimiś



Codzienny transport towaru na lokalny targ

reklamówkami w ręku. Mam wrażenie, że wszyscy się tu już dobrze znają. Rozmowy, krzyki, czasem nawet jakieś śmiechy. Ot, jedna z kolejnych bzdurnych urzędniczych spraw do załatwienia w jednostce. Można się przyzwyczaić.

– Señores? – do zamkniętego szlabanu, przy którym czekamy, podchodzi wyposażony w karabin żołnierz.

– My w sprawie pozwoleń na wpłynięcie w górny odcinek Orinoko. Jesteśmy turystami – tłumaczy możliwe grzecznie Kuba. Przy jego znakomitej znajomości hiszpańskiego wołę się nie odzywać. Niech mają nas za godnych do rozmowy partnerów. Takich, z których nie wypada się śmiać i drwić.

– Zaczekajcie – instruuje poważnie, by po chwili zniknąć w budce z ciemną szybą. Z ledwo widocznych zarysów odczytuje, że chyba do kogoś dzwoni. Nie mija pół minuty, jak jest z powrotem.

– Oddział B – melduje, przypinając nam do koszulek odpowiednie identyfikatory. – Możecie już iść. Pytajcie o kapitana Valdésa.

Nic nie mówiąc, przekraczamy próg jednostki. Wokoło nas nieco inny świat niż ten pozostawiony po drugiej stronie szlabanu. Maszerujący dwójkami żołnierze. Powiewające flagi Wenezueli. Przez uchylone okna dostrzegam siedzących za komputerowymi biurkami mundurowych. Wszędzie ład i porządek.

– Kapitan Valdés? – pyta Kuba mężczyznę siedzącego przy okienku z literką B. To chyba tutaj.

– Zaczekajcie – słyszymy zza szybki, a ja czuję się, jakbym przeżywał déjà vu.

Nie za wiele tu rozmów. Zamiast nich słychać raczej warkot pracujących wiatraczków. Przydają się. Po deszczu już ani śladu. Powietrze w tej chwili raczej stoi. Słupki rtęci też ostro idą w górę.

– Proszę panów za mną – muszę przyznać, że pojawienie się dziewczyny z sympatycznie okrągłą buzią to w całej tej sytuacji dość duże zaskoczenie. Kogo jak kogo, ale uśmiechniętej Latynoski raczej się tutaj nie spodziewałem.

Po paru sekundach zasiadamy na plastikowych krzesłkach w niewielkim pokoiku.

– Kapitan jest zajęty. Ale jak tylko znajdzie chwilę, zaraz do panów przyjdzie – dziewczyna nadal się uśmiecha, co udziela się także i nam. „Może nie będzie tak źle?”.

Chwila dla siebie. Można się spokojnie wszystkiemu przyjrzeć. Choćby tym drewnianym figurkom na półce. Wystruganym pewnie przez lokalnych Indian. Dla żyjących w mieście plemion to najczęściej jedyna forma zarobku. Na ścianie gigantyczna mapa Wenezueli. A nad wejściem godło. A w nim trzy główne kolory, tak jak we fładze. W lewym górnym rogu czerwony. W jego środku snop pszenicy; znak jedności. W prawym górnym żółty.



Gdy trzeba pomóc zapracowanym rodzicom w biznesie

Tu z kolei lance z flagami narodowymi, miecz i szabla, a wszystko przeplecione wieniec laurowym. Hugo Chávez dodał do tej kwarty jeszcze maczetę, łuk i strzałę – mające stanowić symbol tradycyjnej broni używanej przez Indian. W wersji godła wiszącego w pokoiku kapitana jeszcze ich nie widać. Dolna część godła to kolor niebieski. W środku zaś galopujący biały koń, w pierwotnym założeniu symbol wolności. Wstaje, by przeczytać napis pod godłem. Biała czcionka nieco rozmywa się na jaskrawych wstęgach.

– Perdonen, señores – słyszę jednocześnie. W drzwiach pojawia się ciemnooki mężczyzna w mundurze. – Wybaczcie, że musieliście tyle czekać. Obowiązki...

– Buenos días, capitán. Proszę się nie tłumaczyć. Nie czekamy długo – Kuba szybko podejmuje rozmowę.

– Nie wstawajcie, nie wstawajcie. W czym mogę wam pomóc? – życzliwie spogląda, zdejmując marynarkę i zawieszając ją na oparciu swojego krzesła. Muszę przyznać, że jak na razie to chyba najsympatyczniejszy z dotychczas poznanych mieszkańców Puerto Ayacucho. Kto by się spodziewał?

– Chodzi o wpłynięcie do Amazonas.

– W górę Orinoko? – kapitan zaczyna głaskać brodę, zasłaniając jednocześnie usta. Poważnieje, marszczy brwi, by po chwili namysłu dodać: – Nie ma co ukrywać. Będzie problem.

– Chcielibyśmy się w ogóle dowiedzieć, czy mamy jakiegokolwiek szan...

– Diana! – przerywa Kubie wojskowy.

W drzwiach pojawia się dobrze już nam znana twarz.

– Diana, przygotuj papiery. Chodzi o przepustkę do jednostki w Las Esmeraldas. Wiesz, co potrzeba, prawda?

– Ministerio de Medio Ambiente y Recursos Naturales także?

– Także – ucina krótko, nie patrząc już na asystentkę.

– Panowie, niestety, nie jestem władny wydać wam przepustki. Jedyne, w czym mogę pomóc, to podać wam listę instytucji, do których musicie się udać. Diana za chwilę przyniesie wam specjalny formularz. Musicie zebrać na nim podpisy i pieczęcie. Dopiero wówczas będę mógł wydać wam pozwolenie. Takie mamy zasady. Nie jestem w stanie ich obejść. Przykro mi.

► Bezkarność i nepotyzm

– Pokaż, co tam wymyślili – patrzę przez ramię po zagrożonemu w lekturze formularza Kubie. Siedzimy przy ulicy. Już po naszej stronie szlabanu. Po kolejnej nieudanej misji. Przynajmniej nie pada.

Na kartce kolejne tajemniczo brzmiące nazwy. „Ministerio de Medio Ambiente y Recursos Naturales”. To chyba urząd ochrony środowiska? Pod nim urząd ds. In-



Pomimo biedy, bezrobocia i wysokiej przestępczości trzeba sobie jakoś radzić. A przynajmniej próbować

dian. Są jeszcze jakieś jednostki wojskowe. Urzędy. W sumie przynajmniej kilkanaście rubryk do ostemplowania i podpisania. Sytuacja staje się coraz bardziej beznadziejna.

Filia ministerstwa ds. ochrony środowiska znajduje się nieopodal centrum Puerto Ayacucho. Podobnie jak w batalionie, także tutaj: kolejka do jakiegoś okienka. Na co ci ludzie czekają? Biała skóra nieco się wyróżnia z tłumu. Pilnujący porządku strażnik szybko nas wylawia. Po chwili bez pytań wskazuje wolne okienko.

– Przyszliśmy z formularzem... – zaczyna nieśmiało Kuba. Tak cicho, że nawet ja, choć stoję obok, ledwo słyszę, co mówi.

– Poproszę... – pani z okienka wystawia prawą rękę przez chroniące ją od petentów kraty. Lewej nie może. Ma świeżo pomalowane paznokcie. Po stojącym na jej biurku flakoniku z lakierem wnioskuję, że chyba jej przeszkadzaliśmy. Spoglądamy na siebie wymownie. Pani tymczasem uważnie czyta pismo. Po chwili odkłada i wraca do... malowania paznokci.

– I co? Dostaniemy stempelek? Podpisze to pani?

– Nie mogę – nawet na nas nie patrzy. Przed nią malowanie małego palca.

– Ale dlaczego? – podziwiam Kubę za ten jego rozważny i grzeczny ton.

– To ma podpisać naczelnik.

– To proszę go zawołać. Poczekamy.

– Nie ma.

– A gdzie jest? – najwyraźniej Kuba też powoli traci cierpliwość.

– W Caracas.

– A wiadomo, kiedy wróci?

– Nie.

– Nie wie pani, kiedy wróci pani przełożony?!

– Może za tydzień. Może za dwa. Nie umiem powiedzieć.

– I nikt inny nie może nam tego podpisać w jego zastępstwie?

– Nie. Zresztą... – tu na chwilę przestaje malować, by nachylić się bliżej oddzielających nas od siebie krat – ...sprawa przepustek do Las Esmeraldas jest, jakby to ująć... dość delikatna.

– Delikatna czy niemożliwa?

– Panowie, mam kolejnych czekających...

– Co mamy zatem zrobić w tej sytuacji?! – Kuba ani myśli odchodzić od okienka.

– Proszę spróbować w batalionie pięćdziesiątym drugim.

– Tak się składa, że właśnie tam dostaliśmy to pismo... – kończy zrezygnowany.

Tak wygląda zderzenie z prawdziwym latynoskim socjalizmem. Do tej pory znalazłem go tylko w teorii. „Spychologia stosowana”. Załatwienie czegokolwiek bez znajomości staje się praktycznie niewykonalne. Nepo-



Niestety. Kult komunistycznego zbrodniarza Che Guevary jest tu zupełną normą

tyzm w zatrudnianiu, łapówki, opieszałość i zła wola urzędników. I ta ich bezkarność.

► Miasto wyzwolenia

Przy Avenida Rio Negra siedzą zmęczeni życiem Indianie. Odpoczywają. Część z nich, chyba wyłącznie dla uspokojenia własnego sumienia, nawet w tej pozycji trzyma wystawioną do przodu rękę. A na niej oplecione różańce, łańcuszki, lniane torby. Ich znużone twarze unikają słońca. Czekają.

– Gringo, może wisiołek dla pięknej chica! – zatrzymuje mnie siedząca na schodach starsza kobieta.

– Ale ja nie mam żadnej chica – oponuję z rozbawieniem.

– Właśnie dlatego nie masz, bo nie kupiłeś jej wiorka – upiera się uśmiechnięta Indianka.

Jest naprawdę piękna. Zmarszczki na twarzy tylko dodają jej majestatu. Czarne włosy spięte w kok. Pogodne oblicze. Uśmiechając się, delikatnie wykrzywia w dół kąci ust. Tak jakby chciała ukryć przed innymi swoje poczucie humoru. I te stare, mądre oczy...

Za kobietą widać ciągnącą się od samego Plaza Bolívar ścianę. A na niej graffiti z wymalowanymi scenami indiańskiego wyzwolenia. Na niebieskim tle Indianka. Wpatrzona w niebo, wyzwala ręce z kajdan. Wszystko obserwują jej bracia. Patrzą z podziwem. Zaraz sami uczynią to samo. Nad

bohaterami sceny latają dziwne postacie. Z kobiecymi sylwetkami, lecz z głowami papug. Zamiast rąk – orle skrzydła. Jedno rozpostarte w kierunku słońca – symbolu dnia. Drugie – w kierunku nocy. Kilka metrów dalej kolejne ścienne graffiti. Tym razem sielanka. Indiańskie chaty, polana, ognisko, snopy zbóż. W tle wznosząca się ostro zielona góra. Jeszcze dalej rzeka. Piroga. Patrzę wyżej. Potężna dłoń. To z niej spływa woda zasilająca rzeczne wodospady. Na pierwszym planie indiański wojownik. Za rzeką gigantyczne tepui.

► Puerto Ayacucho

Dziwna miejscina z tego Puerto Ayacucho. Takie miasteczko dla zuchwałych. Już dalej na południe od Caracas żyć się nie da. A i tak stąd do stolicy jest dobre 550 km. Warto dodać, że taki sam dystans dzieli Puerto Ayacucho od południowych granic kraju. Od miasteczka na południe nie ma już jednak nic. Prócz kilku indiańskich plemion nie znajdziemy tam praktycznie nikogo. Sama selwa. I odmetęty wzburzonej Orinoko.

W Puerto Ayacucho jeszcze do niedawna istniało życie. Działal indiański targ. Z puszczy przybywali nań codziennie przedstawiciele amazońskich plemion. Z rybami, z rekodzielami przeznaczonymi na sprzedaż. Po kilku dniach z obfitym utargiem wracali do siebie. Nad rzekę. Przyjeżdżali też turyści. Funkcjonowały hotele. Puerto Ayacucho pęczyło. Na oczach ludzi rosła pulsująca plama przedsię-



Takich jak ten Indianin, który podobnie jak inni przybywają do miasta z głębokiej puszczy, aby zarobić na chleb, widać w Puerto Ayacucho coraz więcej

biorczej myśli Latynosów z południa Wenezueli. Działających na przekór naturze, która, gdyby mogła, najchętniej połknęłaby całe to miasteczko w całości. Zalała wodami Orinoko, opłotła bluszczem dżungli.

– Puerto Ayacucho, które ja pamiętam, już nie ma – powiedział mi któregoś dnia ojciec Jorge. – Przyznam, że nie wiem, co was tam dziś spotka. Kiedyś jeździło się tam na wakacje. I nawet fajnie było. Sporo do robienia. Było gdzie spać, było gdzie zjeść. Bezpieczne, cywilizowane miasteczko u wrót zielonego piekła selwy. A dziś?... Dziś po hotelach zostały dziury w ziemi. Miałem łzy w oczach, gdy to zobaczyłem. Natura zwyciężyła. Indianie puciekali do siebie. Zostali najtwardsi. Albo ci, którym wszystko jedno.

Takie jest dzisiejsze Puerto Ayacucho. Dla prawdziwych i nieustraszonych macho snujących się po Plaza Bolívar. Oraz dla tych drapiących się po brzuchu lumpów, którym i tak już wszystko jedno. Po wspomnianym indiańskim targowisku zostały puste blachy. „A kiedyś to tu właśnie było prawdziwe serce miasta” – z rozrzwinięciem wspomina właściciel kafejki internetowej z widokiem na obecne mercado.

Dziś ze 150 arów bazaru handlarze zajmują może jedną czwartą. Tylko tylu ich zostało. Nie narzekają jednak. Mają z czego żyć. Wprawdzie nie da się tego porównać z czasami hossy, ale interes jakoś idzie. A to przyjdzie jakiś wojskowy kupić rzemysł dla żony. A to pojawi się bogaty urzędnik z Ca-

racas. A to wreszcie jakiś rodzimy turysta, któremu w smak będą indiańskie różańce. Handlarzom nie wypada narzekać. Dobrze wiedzą, jaki los spotkał innych. Wystarczy przejść się po zmroku w okolice kościoła. Smętne twarze uważnie lustrujące śmietniki. Zmęczone kobiety zbierające plastikowe butelki. Czy ten starzec na ławce. Z koralami przewieszonymi przez ciało. Próbuje cokolwiek sprzedać. Na stragan go nie stać. A do dżungli nie wróci. Boi się. Podobnie jak jego rodzina. Na południowym pograniczu selwy rozciąga się przecież rewir narkotykowych karteli. Woli zostać tutaj. W upadającym i mającym za sobą lata świetności Puerto Ayacucho. Nawet jeśli to nie jego miasto.

I jest jeszcze ktoś. Idzie powoli. Pod pachą niesie jakieś materiały. Zanim przejdzie pustą jezdnię, leniwie spogląda to prawo, to w lewo. Czysta koszula w kolorze khaki leży na nim luźno. Przy mocniejszych podmuchach delikatnie się unosi. Zaś wymalowana na jej plecach twarz nieco się marszczy. Za kilka minut w okolicach oczu owej twarzy pojawią się pierwsze plamki potu. Splamą wizerunek znanej twarzy, która jest mi już tak dobrze znana. Za dobrze.

To wizerunek Che Guevary. W tym systemie, w tej rzeczywistości osoby nadal hołubionej. Akurat tutaj w Puerto Ayacucho „legenda” o komunistycznym zbrodniarzu trafia na bardzo żyzny grunt. I pewnie chociażby dlatego tak trudno nam o te przepustki. Bo to, czy je dostaniemy, to już zupełnie inna historia. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Wnioski jak bumerang

1 lipca Niemcy oficjalnie przejęły od Chorwacji prezydencję w Radzie UE i będą ją sprawować do końca tego roku. W Bundestagu przemawiali z tej okazji kanclerz Angela Merkel i szef MSZ-u, Heiko Maas. Hasło niemieckiej prezydencji „Razem wzmocnimy Europę” wybrzmiało w oficjalnych dokumentach i z mównicy parlamentu. Patrząc na plany Berlina związane z prezydencją, na razie nasuwa się jeden wniosek: każda (poza AfD) z partii reprezentowanych w Bundestagu znajdzie w nich coś dla siebie. Postulaty pokrywają się z inicjatywami partyjnych frakcji. Co ciekawe, nawet z tymi, które Bundestag oficjalnie... odrzucił.

Wśród ambitnych celów niemieckiej prezydencji znalazły się następujące punkty: „Trwałe przezwyciężenie pandemii COVID-19 i odnowa gospodarcza, silniejsza i bardziej innowacyjna Europa, sprawiedliwa Europa, zrównoważona Europa bezpieczeństwa i wspólnych wartości, silna Europa na arenie światowej”. Każdy zaś z sucho brzmiących celów odpowiednio uzasadniono.

► Szczególnie interesujący punkt 5

Z punktu widzenia Polski czy Węgier na szczególną uwagę jednak, pomijając biurokratyczno-podniosły charakter tego typu deklaracji, zasługuje punkt 5 zatytułowany „Europa bezpieczeństwa i wspólnych wartości”. Oto fragment:

„[...] Podstawową przesłanką dla ochrony pozostałych wartości jest przy tym praworządność. Jest ona niezbędna dla funkcjonowania UE. Dlatego podczas prezydencji zamierzamy angażować się w szerokim zakresie na rzecz wzmocnienia podstawowych wartości, a w szczególności na rzecz wspólnego, opartego na współdziałaniu i konstruktywnym traktowaniu, tematu praworządności. Na podstawie pierwszego rocznego sprawozdania Komisji na

temat sytuacji w dziedzinie praworządności w każdym z państw członkowskich chcemy z udziałem wszystkich państw prowadzić w Radzie równoprawny dialog polityczny na temat państwa prawa, na który złożą się dwie debaty: doroczna debata nad całością sprawozdania i jego aspektami horyzontalnymi oraz debata półroczna, umożliwiająca sukcesywne omówienie wszystkich państw członkowskich, na temat pierwszych rozdziałów sprawozdania poświęconych poszczególnym krajom. Naszym celem jest doprowadzenie do lepszego zrozumienia sytuacji w każdym z państw członkowskich, wczesne rozpoznawanie zagrożeń i umożliwienie propozycji wzajemnego wsparcia. Ten dialog może stanowić jedynie uzupełnienie innych mechanizmów. Przestrzeganie standardów praworządności w Unii i w jej państwach członkowskich jest też podstawowym warunkiem prawidłowego wykorzystania środków budżetowych UE. W związku z tym wspieramy propozycję Komisji w sprawie powiązania środków budżetowych UE z przestrzeganiem standardów w zakresie praworządności w państwach członkowskich. Ponadto jesteśmy przekonani, że wszędzie tam, gdzie w państwach członkowskich występują uchybienia w zakresie praworządności, trzeba zdecydowanie wykorzystywać mechanizmy przewi-

dziane w traktatach europejskich. Dotyczy to zarówno procedur z art. 7 TUE, jak też postępowań przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej”. Koniec cytatu.

► Zajrzyjmy do Bundestagu

Tyle państwo niemieckie. Ma być praworządne, a przestrzeganie standardów praworządności powinno być ostatecznie powiązane ze środkami budżetowymi UE. W tym sensie plan niemieckiej prezydencji nie zwiastuje dla unijnych buntowników, a za takich uchodzą m.in. Polska i Węgry, nic dobrego. Abstrahując jednak od nie najmiłszych polskich doświadczeń z Komisją Europejską od 2015 roku, warto zajrzeć do Bundestagu. Do kuźni pomysłów. Plan na prezydencję, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii praworządności, nie wygląda na przypadkowy zestaw idei. I raczej nim nie jest.

21 stycznia 2019 roku do Bundestagu wpłynął wniosek klubu parlamentarnego FDP pod tytułem „Dla europejskiej inicjatywy dotyczącej podstawowych wartości”. W dokumencie wzywano rząd federalny do podjęcia inicjatywy na poziomie europejskim, która celowała, mówiąc wprost – w państwa, które zdaniem klubu parlamentarnego liberałów są na bakier z praworządnością i łamią europejskie standardy. W dokumencie wymieniono na pierwszym miejscu Polskę, następnie Węgry, a pod koniec Rumunię. Liberalowie postulowali regularne monitorowanie przestrzegania standardów praworządności w państwach wspólnoty i w razie stwierdzenia uchybień wdrożenie mechanizmu dyscyplinującego winowajców oraz powiązania wypłaty środków unijnych z przestrzeganiem praworządności. FDP wskazywało, że nie może być tak, by państwo objęte na przykład procedurą wynikającą z art. 7 Traktatu o UE, wywinęło się sprawiedliwości na skutek zablokowania postępowania przez państwa, wobec których również wdrożono ten sam mechanizm. Panaceum miało być odebranie takiemu państwu prawa głosu. Idea, która kielkowała w umysłach niektórych niemieckich prawników za czasu apogeum bitwy Warszawa contra Timmermans. Z podobnym wnioskiem wystąpił 30 stycznia 2019 roku klub parlamentarny Zielonych. Miłośnicy bezkompromisowej walki o klimat postulowali utworzenie Komisji ds. Praworządności. Państwa, które nie spełniłyby standardów nowej komisji, nie dostałyby środków z unijnej kasy. Oba wnioski miały trafić pod obrady Bundestagu 6 maja. Ale nie trafiły. Na stronie Bundestagu 6 maja pojawiła się informacja, że dokumenty nie będą procedowane tego dnia. Faktycznie, nie był to wymarzony dzień na wytykanie innym niesubordynacji względem unijnych instytucji.

► Ten straszliwy Orban

Nie ma sensu spekulować, czy przeniesienie debaty miało związek z ogłoszonym przeddzień planowanej debaty w roku Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe.

Wyroku, który w Niemczech wywołał burzę, a w Polsce został przyjęty z nieukrywaną satysfakcją jako dowód na to, że prawo UE nie stoi ponad tym narodowym. Politycy niemieccy byli zresztą zszokowani obrotem sprawy. Dlaczego? Dlatego że sędziowie z Karlsruhe uznali program skupowania obligacji przez Europejski Bank Centralny (czego dokonano z błogosławieństwem rządu federalnego) za częściowo niezgodny z niemiecką konstytucją i przy okazji pierwszy raz napiętnowali unijny akt prawny jako przekroczenie kompetencji. Debata nad zwiększeniem unijnego nadzoru nad państwami wspólnoty (ze szczególnym naciskiem na Polskę i Węgry) w takich okolicznościach byłaby faktycznie nie na miejscu. Tak czy inaczej obrady nad wnioskami liberałów i Zielonych odłożono. Odbyły się one 14 maja, gdy sprawa z wyrokiem Trybunału już nieco okrzepla. I... oba wnioski odrzucono głosami CDU/CSU, SPD, AfD i po części Die Linke. Tylko w sumie nie wiadomo dlaczego, ponieważ wszyscy poza AfD zgodzili się, że trzeba jakoś te niepokorne państwa kontrolować. Jedyną partią, która odrzuciła sam pomysł ingerowania instytucji unijnych w kwestię praworządności państw członkowskich, była AfD. Reszta partii jednym głosem poparała dyscyplinowanie niesfornych członków UE przy pomocy kija sankcji i marchewki finansowej. Przewodniczący Komisji ds. Unii Europejskiej w Bundestagu, Gunther Krichbaum, nawiązując do idei powiązania wypłacania środków unijnych z przestrzeganiem praworządności, stwierdził nawet, że kiedy Komisja Europejska reaguje na nieprawidłowości, to to nie jest absolutnie żadna ingerencja, ponieważ „państwa wstępując do UE godziły się na pewne warunki”, natomiast Konstantin Kuhle z FDP postulował zainicjowanie w UE „tarczy dla praworządności” analogicznie do „tarczy antykrzysowej” ratującej niemiecką gospodarkę w czasie pandemii. Przy okazji potępiono Victora Orbana i wywiązała się dość symboliczna dyskusja o granicach kompetencji węgierskiego premiera i ich przekraczaniu. Co prawie zgodnie napiętnowano. Tak, niemieccy parlamentarzyści zarzucali Węgrom naruszanie standardów demokracji w czasie, gdy pod Reichstagem tłumy przeciwników rządu federalnego skandowały „NIE dla polityki Wielkiej Koalicji”.

► Okrężna droga

Wracamy do Bundestagu i dyskusji z 14 maja bieżącego roku. Owszem, ostatecznie wnioski uderzające pośrednio w Polskę i Węgry odrzucono, ale szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas uspokoił obecnych, zapewniając, że jednym z punktów niemieckiej prezydencji w Radzie UE będzie dążenie do uzależnienia wypłaty unijnych środków od przestrzegania praworządności. I tym sposobem większość parlamentarzystów odesłała do kosza wnioski Zielonych i FDP, by następnie włączyć ich główne założenia... w plan niemieckiej prezydencji. Czekaj emocjonujące sześć miesięcy. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Wojna informacyjna USA–Chiny

W cieniu pandemii i wojny handlowej USA–Chiny, administracja prezydenta Donalda Trumpa toczy walkę z chińską dezinformacją w mediach w Stanach Zjednoczonych. 22 czerwca amerykańskie władze ogłosiły, że kolejne cztery duże chińskie media będą traktowane jak przedstawicielstwa dyplomatyczne. Waszyngton ocenił, że chińska telewizja CCTV, agencja prasowa CNS oraz gazety „Dziennik Ludowy” i „The Global Times” to w istocie tuby propagandowe Komunistycznej Partii Chin.

Decyzja władz USA oznacza, że te chińskie placówki medialne będą musiały przesłać amerykańskiemu Departamentowi Stanu pełne listy swoich pracowników w USA i ich nieruchomości. Może to także zmusić niektórych dziennikarzy z ChRL do opuszczenia Stanów Zjednoczonych.

W lutym bieżącego roku administracja Trumpa nakazała podobne wymagania na pięć innych chińskich mediów, m.in. agencję Xinhua. Kilka tygodni później Biały Dom nałożył ograniczenie na liczbę chińskich obywateli, którzy mogą pracować w USA dla tych pięciu placówek medialnych. Wtedy w odpowiedzi na działania Trumpa Chiny wydalily trzech dziennikarzy pracujących dla amerykańskich gazet „The New York Times”, „The Washington Post” i „The Wall Street Journal”.

Istotnym krokiem w walce z chińską dezinformacją jest także nominacja przez Trumpa Michaela Packa na nowego dyrektora generalnego Amerykańskiej Agencji ds. Globalnych Mediów (USAGM). Pack po objęciu stanowiska na początku czerwca bieżącego roku natychmiast doprowadził do zwolnienia kierującej Głosem Ameryka (VOA) Amandy Bennett, stojącego na czele Radia Wolna Azja (Radio Free Asia) Raya Fanga i Libby Liu z Open Technology Fun. Ta trójka oskarżana była przez wielu ekspertów ds. Chin i chińskich dysydentów o prezentowanie w mediach im podległych narracji komunistycznych Chin.

Sasha Gong, która kierowała chińskim oddziałem Głosu Ameryki za czasów Bennett, opowiedziała „Nowemu Państwu” (nr 9/2019), jak została zwolniona za to, że przeprowadziła wywiad z Guo Wenguem, chińskim miliarderem przebywającym na wygnaniu w USA i demaskującym działania władz ChRL. „14 kwietnia 2017 roku opublikowaliśmy materiał promujący wywiad, a rozmawiać mieliśmy 19. [...] Tymczasem w poniedziałek rano (16 kwietnia) chińska bezpieka rozesłała nakaz aresztowania Guo. W południe chiński MSZ wezwał do siebie pekińskiego korespondenta VOA i zagroził konsekwencjami. Dokładny cytat z wypowiedzi chińskiego urzędnika brzmiał: »Jeżeli przeprowadzicie wywiad z Guo, to będzie to ingerencja w wewnętrzne sprawy Chin i zakłóci to także XIX Zjazd KPCh«. [...] W VOA przeprowadzaliśmy wiele wywiadów, na przykład z dysydentami, ale nigdy nie otrzymaliśmy tak wyraźnych gróźb z Chin. Chińczycy zagrozili VOA, że anulują wizy dla dwóch pracowników stacji w Pekinie. Byłam już wtedy w drodze na wywiad w Nowym Jorku. Skontaktowałam się z głównym biurem VOA. Ja i kilka innych osób uważaliśmy, że skoro Chińczycy zareagowali w taki sposób, to wywiad musi się odbyć. Następnego dnia Ambasada ChRL w USA dzwoniła do VOA wielokrotnie od samego rana. W końcu kierownictwo VOA oddzwoniło do placówki [...]. Po tym moi zwierzchnicy zadzwonili do mnie do Nowego Jorku i kazali mi odwołać wywiad. Odpowiedziałam, że w żadnym wypadku i że nie możemy tego zrobić tylko dlatego, iż Chińczycy nam grożą. Usłyszałam, że musimy prezentować wyważony punkt widzenia. Odrzekłam, że Chińczycy od dwóch lat atakują Guo Wenguia. Chińskie media, tuby chińskiej propagandy mówią o nim tak dużo, a dlaczego my nie możemy przeprowadzić z nim tylko jednego wywiadu? Mimo to nalegano na odwołanie rozmowy, ale ja powiedziałam »nie«. [...] Dzień przed

wywiadem, wieczorem, Chiny wydały poprzez Interpol tzw. Red Notice dotyczący Guo Wenguia.

Następnego dnia udaliśmy się na wywiad. Po około godzinie i 15 minutach rozmowy, gdy Guo opisywał z detalami m.in. stopień korupcji w Chinach, kierownictwo VOA nakazało wstrzymać wywiad. Fizycznie kazali wyrwać kable ze sprzętu. Ale i tak musieliśmy skończyć rozmowę. Była to bardzo wyraźna chińska interwencja w działania amerykańskiej rozgłośni rządowej. Nawiasem mówiąc, mąż Amandy Bennett¹, szefowej VOA, prowadzi interesy w Chinach o wartości setki milionów dolarów, więc rozumiem, dlaczego tak się bali”.

Według dziennikarki i pisarki Maury Moynihan, córki zmarłego amerykańskiego senatora Daniela Patricka Moynihana, inna osoba zwolniona przez Packa, Libby Liu, od lat pilnowała, by w mediach związanych z USAGM w tematyce dotyczącej Tybetu przeważała narracja wygodna dla ChRL.

Nowy szef USAGM Michael Pack to konserwatywny twórca filmowy, który współpracował z byłym doradcą prezydenta Trumpa Stevem Bannonem. Pack zapowiedział, że trzeba dostosować pracę USAGM do „globalnych interesów USA” i zapowiedział silniejsze kroki wobec „amerykańskich przeciwników, którzy zintensyfikowali działania propagandowe i dezinformacyjne”.

Kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta USA Joe Biden, którego Pekin chce widzieć na stanowisku prezydenta USA², zapowiedział, że jeśli wygra wybory, to odwoła Michela Packa ze stanowiska szefa USAGM.

► Chiny-Watykan

Według Guo Wengui, chińskiego miliardera ubiegającego się o azyl w USA i współpracującego w tej chwili z byłym doradcą prezydenta Donalda Trumpa, Stevem Bannonem, w celu ujawniania korupcyjnych działań komunistycznych Chin,

Komunistyczna Partia Chin (KPCh) „przeznacza 2 miliardy dolarów rocznie”, aby uzyskać wpływ na kształtowanie polityki wewnętrznej Watykanu i by zapewnić sobie milczenie Stolicy Apostolskiej w sprawie łamania wolności religijnej przez KPCh w Chinach.

¹ Kaplan Inc., firma Donalda E. Grahama, męża Bennett, działa na polu edukacji i do tej pory zarobiła w Chinach ponad 25 mld USD.

² O tym, że Biden jest faworytem Pekinu, mówi m.in. Gordon G. Chang, amerykański prawnik, często występujący w programach w mediach w Stanach Zjednoczonych jako ekspert w sprawach Chin i Korei Północnej.

I rzeczywiście od momentu podpisania tajnej umowy z Pekinem we wrześniu 2018 roku Watykan, jak to określił John L. Allen Jr., kierujący katolickim portalem Crux, „ruszył pełną parą z zalotami do Pekinu”, a celem papieża Franciszka jest ustanowienie relacji dyplomatycznych z Chinami.

Według Albana Mikoczy, francuskiego dziennikarza specjalizującego się w tematyce watykańskiej, Franciszek, aby to osiągnąć, „jest gotów pójść na kilka ustępstw: nie mówić nic o Hongkongu, nie reagować, gdy chiński przywódca mówi o przerwaniach w chińskich tłumaczeniach Biblii i innych świętych tekstach”, tak aby dostosować je do ideologii socjalistycznej. Mikozy uważa, że papież jest też gotów przyznać oko na łamanie przez KPCh wolności religijnej i innych kwestii związanych z prawami człowieka.

W 2017 roku Franciszek udzielił wywiadu portalowi Asia Times, w którym ani słowem nie wspomniał o prześladowaniach chrześcijan w Chinach. Za to chwalił ChRL jako „skarbnicę mądrości” i „kraj błogosławiony z wielu względów”, a pytany na przykład o politykę kontroli populacji unikał odpowiedzi krytycznych wobec komunistycznych władz w Pekinie. Prowadzący wywiad Francesco Sisci zastrzegł, że celowo nie pytał papieża o skomplikowane kwestie polityczne i stosunki między Chinami a Watykanem. I nic dziwnego. Pytanie na przykład o sytuację katakumbowych katolików w Państwie Środka pewnie było niewygodne dla włoskiego dziennikarza, który jest częstym gościem państwowej stacji CCTV w Chinach, a swego czasu postulował współpracę Włoch z chińską Centralną Szkołą Partijną, instytucją, której celem jest kształcenie komunistycznych kadr przywódczych.

W ostatnich tygodniach papież Franciszek chwalił także władze Chin za to, że poradziły sobie bardzo dobrze z koronawirusem i nie wspominał o tym, że KPCh długo ukrywała przed światem informacje o wybuchu epidemii w Wuhan i że prześladowała tych, którzy już w grudniu alarmowali, iż w Chinach rozwija się niebezpieczny wirus.

Entuzjastycznie o komunistycznych Chinach wypowiada się też kanclerz Papieskiej Akademii Nauk Społecznych biskup Marcela Sáncheza Sorondo. Według tego duchownego Chiny są krajem, który najlepiej na świecie wciela w życie katolicką naukę społeczną. W opinii hierarchy ChRL powinno przejąć na świecie „moralne przywództwo”, którego wyrzekli się Amerykanie.

Oznaką bliskiej współpracy Watykanu z Pekinem jest konferencja w sprawie zawarcia Globalnego Paktu na rzecz Edukacji, jaka ma się odbyć w Watykanie w październiku bieżącego roku. Jednym ze sponsorów konferencji jest chińska inicjatywa „Jeden naród, jedna planeta” (One People, One Planet), należąca do kontrolowanej przez Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą firmy Huawei. Jednym z gości konferencji ma być Greta Thunberg.

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Północna flanka światowej rewolucji. Dlaczego ZSRS zajął kraje bałtyckie

80 lat temu, 15–17 czerwca 1940 roku, mieszkańcy Litwy, Łotwy i Estonii w oszołomieniu patrzyli, jak kolumny czołgów Armii Czerwonej wjeżdżają do ich krajów. Poprzedziło to wręczenie ultimatum przywódcom trzech krajów.

Tak pod przykryciem szumu związanego z rozgromieniem Francji przez Hitlera nastąpiła sowiecka okupacja trzech państw bałtyckich, zrealizowana miesiąc później z pomocą pokazowych „wyborów” i deklaracji o przyłączeniu Litwy, Łotwy i Estonii do Związku Sowieckiego. Artykuł Aleksandra Goguna, opublikowany 15 czerwca 2020 roku na stronie Radia Swoboda.

Kremłowska propaganda do tej pory przedstawia te wydarzenia jako słuszne z racji na wzmocnienie nazistowskich Niemiec i mające wzmocnić obronę ZSRS. Na Zachodzie mówią o aneksji, zwykle wiążąc to z imperializmem Sowietów. W rzeczywistości był to krok w globalnym programie bolszewików.

► **Łotyszy można nastraszyć,
z Polakami tak się nie da**

Zaraz po październikowym puczu bolszewicy stworzyli dla krajów bałtyckich trzy komunistyczne rządy. Ale w tamtym czasie Lenin patrzył na te ziemie jak na kartę przetargową w dużej grze o władzę, o czym bez skrępowania mówił na posiedzeniu Komitetu Centralnego partii bolszewickiej wieczorem 18 lutego 1918 roku: „Mówiono tu, że niemieckie wojska wezmą Liwlandię i Estlandię, ale my możemy je oddać w imię rewolucji. Jeśli oni chcą wyprowadzenia wojsk z Finlandii – proszę, niech wezmą rewolucyjną Finlandię. Jeśli oddamy im Finlandię, Liwlandię i Estlandię – rewolucja nie straci”. W tym czasie wojska niemieckie szybko maszerowały na wschód i północny wschód, korzystając z tego, że re-

wolucja i bolszewicka propaganda rozbiły rosyjską armię. Bolszewicy toczyli zaś spory o warunki separatystycznego pokoju z Niemcami i ich sojusznikami, który został później podpisany w Brześciu. Dzień później po tym, jak niemieckie imperium przegrało wojnę na Zachodzie, Lenin postanowił odzyskać ziemie utracone w wyniku pokoju brzeskiego. Pisał o tym w telegramie do głównodowodzącego Armii Czerwonej Vacetisa: „Wraz z przesuwaniem się naszych wojsk na zachód i na Ukrainę, powstają obwodowe tymczasowe rządy sowieckie, mające na miejscu umocnić Sowietów. Ta okoliczność ma taką dobrą stronę, że odbiera możliwość szowinistom Ukrainy, Litwy, Łotwy, Estlandii określania ruchu naszych oddziałów jako okupacji i stwarza przychylną atmosferę dla dalszego marszu naszych wojsk. Bez tej okoliczności nasze wojska byłyby postrzegane przez ludność jako okupanci, a nie wyzwolicieli. Dlatego prosimy wydać dowódcom odpowiednich jednostek rozkaz, aby nasze wojska wspierały tymczasowe sowieckie rządy Łotwy, Estlandii, Ukrainy i Litwy, ale – co się rozumie – tylko sowieckie rządy”. We wrześniu 1919 roku, występując przed robotnikami i czerwonoarmistami Moskwy, Lenin opisał wydarzenia w krajach bałtyckich jako ogniwo globalnego łańcu-

cha: „W białogwardyjskiej Estlandii odbyła się bezpartyjna konferencja pracowników związków zawodowych... Było 417 delegatów, a z nich tylko 33 mieniszewików, wszyscy pozostali bolszewicy! Konferencja zażądała zawarcia pokoju z Rosją. Kiedy o tym dowiedzieli się Anglicy, to ich przedstawiciel pojawił się na konferencji i zaproponował obalenie białogwardyjskiego rządu Estlandii, ale robotnicy w odpowiedzi przegnali go i zażądali zawarcia pokoju z Rosją... Wtedy konferencja została rozpuśćzona [...] 26 ludzi zatrzymali i zamierzają ich rozstrzelać. Na takie działanie białogwardyjskiej Estlandii odpowiedzieliśmy wezwaniem do robotników i ludności ich kraju, a rządowi powiedzieliśmy, że rozstrzelamy wszystkich zakładników, którzy są u nas [...]. Pozwólcie wyrazić mi przekonanie, że Rosja Sowiecka, która zwyciężyła u siebie, w ciągu dwóch lat, szybko pokona władzę burżuazji na całym świecie”.

2 lutego 1920 roku zawarto pokój z demokratycznym rządem Estonii, ale bolszewicy nie przywiązywali do tego znaczenia. Na łamach „Prawdy” w styczniu 1920 roku pojawiły się takie słowa Lenina: „Poszliśmy

wzmocnić nasze położenie: trzeba zwiększyć nasze wpływy w państwach granicznych. Trzeba zebrać i rzucić tam komunistów tych narodowości. Bardzo ważny jest dla nas kawałek wspólnej granicy z Niemcami. Trzeba postarać się obalić jedno z tych burżuazyjnych granicznych państw i stworzyć korytarz do Niemiec”. Dwa miesiące później, 18 października, na posiedzeniu Politbiura Stalin znów rozmyślał, jak przebić się do Niemiec i wskazał kraje bałtyckie jako słabe ogniwo: „Myślę, że lepiej dać sobie spokój z Polakami i zająć się Łotyszami – Łotyszy można nastraszyć, postawić pod ścianą itp. Z Polakami tak się nie da. Polaków należy izolować, z nimi przyjdzie się bić. Nic od nich nie uzyskamy, a tylko odkryjemy karty [...] Polaków izolować, Łotyszy kupić (i nastraszyć), Rumunię kupić”.

► Pucz w Tallinie

W listopadzie 1923 roku w Moskwie zdecydowano się odłożyć rewolucję w Berlinie do lepszych czasów. Ale pojawiły się inne plany. Jako że zgodnie z warunkami wersalskimi flota niemiecka była

STALIN ROZMYŚLAJĄC, JAK PRZEBIĆ SIĘ DO NIEMIEC, WSKAZAŁ KRAJE BAŁTYCKIE JAKO SŁABE
OGNIWO: „MYŚLĘ, ŻE LEPIJ DAĆ SOBIE SPOKÓJ Z POLAKAMI I ZAJĄĆ SIĘ ŁOTYSZAMI –
ŁOTYSZY MOŻNA NASTRASZYĆ, POSTAWIĆ POD ŚCIANĄ ITP. Z POLAKAMI TAK SIĘ NIE DA.
POLAKÓW NALEŻY IZOLOWAĆ, Z NIMI PRZYJDZIE SIĘ BIĆ.

na wiele ustępstw, głównym z których jest ustąpienie w sprawie spornego terytorium, zamieszkałego przez mieszaną, rosyjską i estońską, ludność... Ustępstwo to jest czynione nie na zawsze: Estonia przechodzi okres kiereńszczyzny, robotnicy szybko obalą tę władzę i powołają Estonię Sowiecką, która zawrze z nami nowy pokój”. Pokojowe porozumienia z Litwą i Łotwą zostały zawarte 12 lipca i 11 sierpnia 1920 roku – wyraźnie po to, by nie odciągać sił od marszu na Polskę. 4 sierpnia, kiedy Armia Czerwona była już na podejściach do Warszawy, Lenin wysłał telegram do członka Rady Frontu Zachodniego Iwara Smilgi, gdzie wyrażał zgodę na oddanie Kraju Wileńskiego demokratycznemu rządowi Litwy w Kownie. W telegramie dawał do zrozumienia, że to tymczasowe ustępstwo: „Wszystko to uważamy nie za rezygnację z sowietyzacji Litwy, ale odroczenie i modyfikację formy sowietyzacji”. Ale to odroczenie się przeciągnęło z powodu klęski poniesionej z rąk Polski. Stalin 21 sierpnia 1923 roku na posiedzeniu Politbiura poświeconego przygotowaniom puczu w Berlinie mówił: „Jest jeszcze środek, który będzie mógł mocno

skrajnie słaba, bolszewicy uznali, że można morską drogą trafić do serca Europy. Chcieli czerwonej Flocie Bałtyckiej umożliwić wyjście z zamarzającej zimą Zatoki Fińskiej. Dlatego zajęli się przygotowaniem do puczu w Tallinie. Z inicjatywą wystąpili wczesną wiosną nie Stalin i jego otoczenie, a Komitet Centralny estońskiej kompartii, a zwłaszcza jej szef Jan Anvelt. Kreml szybko dał zgodę i zaczął dostarczać broń i amunicję estońskim komunistom. 24 sierpnia 1924 roku Politbiuro przyjęło decyzję, w której zaszyfrowało przygotowania do puczu jako obrony demokracji u sąsiada: „1) Nadać działalności estońskiej kompartii bojowy charakter, okazując jej wsparcie w przygotowaniach do postawienia zbrojnego oporu próbom faszystowskiego przewrotu. 2) Sprawdzić poprzez odpowiednie organy ekonomiczne i polityczne położenie Estonii i stopień rewolucyjnego fermentu pozwalający liczyć na sukces ruchu”. Tymi odpowiednimi organami były zagraniczny wydział OGPU i wywiad wojskowy – to ten ostatni nadzorował, a właściwie przygotowywał przewrót. Ogól-

ne dowództwo sprawował Michaił Frunze, ówczesny szef sztabu Armii Czerwonej. Ruszyły podziemne transporty broni z północnego zachodu Rosji na ziemie Estonii. Choć Kreml nie dawał żadnych twardej obietnic, spore nadzieje estońscy puczyści wiali z wkroczeniem Armii Czerwonej na wezwanie lokalnych „robotniczych powstańców”. Innymi słowy, obmyślano zajęcie Estonii w sposób już znany z aneksji Gruzji w 1921 roku. 24 września na posiedzeniu odpowiedniej komisji Politbiura podjęto decyzję, by w dwa tygodnie opracować plan „na wypadek możliwych wydarzeń w Estonii”, rozpocząć tworzenie oddziału 300 ludzi z mieszkających w ZSRS estońskich komunistów, poprosić KC RKP(b) o środki na pozyskanie 500 karabinów, 70 karabinów maszynowych Thompson i 200 pistoletów parabelum. Jak pisał historyk Jaak Valge, pieniądze na zakup

mentu, rezydencję głowy państwa, pocztę główną, Dworzec Bałtycki. Zabili ministra łączności Karla Karika. W momencie napaści głowa państwa [riigivanem – czyli tłumacząc dosłownie Starszy Państwa – taki tytuł do 1937 roku nosiła głowa państwa w Estonii – przyp. tłum.] Fridrich Akel wykazał się zimną krwią – kiedy komuniści wtargnęli do rezydencji, on nie spiesząc się, przechodził z sali do sali, zamykając za sobą każde drzwi na klucz. Zanim puczyści sobie z nimi poradzili, współpracownik Akela zdołał pod ostrzałem uciec przez okno i wezwać odsiecz, która szybko odbiła rezydencję. W tym samym czasie żony puczystów udały się do dzielnic, gdzie mieszkali robotnicy, agitując za komunistami. Ale estońscy robotnicy albo czekali na rozwój wydarzeń, albo z miejsca zatrzymywali i wydawali władzom agitatorów. W dwóch miejscach na kolei doszło do wybuchów.

DO KRAJÓW BAŁTYCKICH ZA ARMIA CZERWONĄ WESZŁO NKWD. NAJWIĘKSZA FALA ARESZTOWAŃ I DEPORTACJI ZACZĘŁA SIĘ W NOCY Z 14 NA 15 CZERWCA 1941 ROKU. STALINOWI UDAŁO SIĘ ZAJĄĆ NIE TYLKO POŁUDNIOWO-WSCHODNI, LECZ TAKŻE POŁUDNIOWO-ZACHODNI BRZEG BAŁTYKU.

broni bezpośrednio na miejsce dostarczył konduktor pociągu linii Moskwa–Tallin–Moskwa. 17 listopada Politbiuro po wystąpieniu Frunze przyjęło postanowienie: „Powołać komisję w składzie towarzyszy Stalina, Zinowjewa, Cziczerina, Frunze, Trockiego i Unszlichta dla sprawdzenia sytuacji i przeprowadzenia wszystkich koniecznych działań”. Inicjatorem i faktycznym szefem komisji był Stalin, a nie Frunze. W celu przerzucenia do Tallina, na północnym zachodzie Rosji skoncentrowano około tysiąca bojowników – głównie Estończyków, ale też około 200 łotewskich strzelców. W samej Estonii gotowych do wystąpienia było tyle samo ludzi. To pokazuje, że nawet łącznie były to siły zbyt małe do pokonania nawet tak małego państwa, ale organizatorzy zakładali, że część estońskiej armii przejdzie na stronę komunistów. Ale Stalin miał wątpliwości i tuż przed atakiem, 29 listopada poszedł rozkaz o odłożeniu puczu. „Legion czerwonych Estończyków” zatrzymano dosłownie w marszu na granicę. [...] Jednak talińscy bolszewicy, nie zważając na decyzję Stalina o odłożeniu akcji, zdecydowali się działać. Liczyli na to, że już w trakcie puczu wezwą Rosjan, a ci przyjdą z pomocą.

Blisko 300 bolszewików pod osłoną ciemności 1 grudnia o 5.30 rano zajęło budynek rządu i parla-

Miało to przeszkodzić ściągnięciu wojsk do stolicy z prowincji. Ale stołeczna policja i lokalne oddziały armii, choć nie znały szczegółów realizowanego puczu, szybko zareagowały i wyparły puczystów z głównych budynków państwowych w dwie godziny. Szturm bolszewików na siedzibę ministerstwa obrony, koszar batalionu łączności i rezerwy konnej policji był nieudany, podobnie jak próba zajęcia uczelni wojskowej w dzielnicy Tondi, gdzie kadeci przywitani napastników ogniem. Jeszcze tego samego dnia siły rządowe odbiły zajęte przez czerwonych lotnisko w Lasnamäe. W innych miastach lokalni komuniści, wbrew planom, w ogóle się nie ruszyli. Straty strony rządowej wyniosły 21 ludzi. 12 puczystów zginęło w dniu puczu, sześciu zastrzelono w następnych dniach przy próbie okazania oporu policji. Później, w wyniku procesów, na śmierć skazano 145 mężczyzn i 10 kobiet. 209 osób dostało kary więzienia od 5 do 20 lat.

Do Związku Sowieckiego zdołała uciec część buntowników. Także lider komunistów estońskich Jan Anvelt, którego aresztowało w 1937 roku NKWD (zmarł podczas tortur). Władze Estonii postanowiły zamieść pod dywan udział sowieckiego wywiadu, wszystko zrzucając na kierownictwo partii komunistycznej Estonii. Nie chciano ryzykować relacji z Moskwą także z po-

wodów gospodarczych (sowiecki tranzyt, przemysłowe zamówienia).

► Stalin gra w kotka i myszkę

Następną dekadę można w relacjach ZSRS z bałtyckimi sąsiadami uznać za stabilizację. 28 września 1926 roku podpisany został sowiecko-litewski traktat o przyjaźni i neutralności, w lutym i maju 1932 roku – pakt o nieagresji z Łotwą i Estonią. Dwa lata później ZSRS przedłużył okres obowiązywania dwustronnych umów o nieagresji ze wszystkimi trzema krajami bałtyckimi na 10 lat – do 1945 roku. Jednocześnie Stalin wzmacniał siłę Armii Czerwonej, z flot której przez cały okres międzywojenny najsilniejsza była Flota Bałtycka. Wśród stawianych jej zadań na wypadek wojny, jak zauważał szwedzki historyk Gunnar Aseius, do końca lat 30. XX wieku były nie tylko wsparcie z morza zajęcia przez siły lądowe Finlandii, Estonii i Łotwy, lecz także ataki na transporty z rudą żelaza płynące ze Szwecji do Niemiec. Do tego w 1936 roku zaczęło się tworzyć coś podobnego do przygotowań do wojskowego sojuszu: w Moskwie pojawili się szefowie sztabów wojsk Łotwy, Litwy i Estonii, co więcej, wzięli oni udział w paradzie z okazji 1 maja 1936 roku. Następnie szef sztabu generalnego armii sowieckiej marszałek Aleksandr Jegorow odwiedził wszystkie trzy kraje bałtyckie – w Tallinie na jego cześć zorganizowano nawet paradę wojskową 23 lutego 1937 roku. Wszystko to było wywołane obawami krajów bałtyckich przed nazizmem, a Litwa dodatkowo była w ostrym sporze z Polską. Kreml decydował się na takie kontakty, bo chciał uniknąć powstania regionalnego sojuszu obronnego przed ZSRS, a także wywrzeć lekką dyplomatyczną presję na Niemcy, by nakłonić je do rozmów i porozumienia. Udało się to 23 sierpnia 1939 roku – tajny protokół paktu Ribbentrop–Mołotow przekreślał wszystkie trzy podpisane wcześniej przez ZSRS pakt o nieagresji z krajami bałtyckimi.

We wrześniu 1939 roku ZSRS rozwinął na swoich północno-zachodnich granicach trzy armie – 8., 7. i 3. – od południowego wybrzeża Zatoki Fińskiej po Wileńszczyznę. Pod naciskiem takich „argumentów” wszystkim trzem krajom bałtyckim narzucono umowy o wzajemnej pomocy. Na ich podstawie na wszystkich tych ziemiach powstawały sowieckie bazy wojskowe, a już po paru tygodniach wprowadzono tu jednostki Armii Czerwonej. 25 października Stalin i Żdanow rozmawiali z szefem Kominternu Giorgijem Dymitrowem, który po tej rozmowie w pamiętniku napisał: „Myślimy, że w paktach o wzajemnej pomocy (Estonia, Łotwa, Litwa) znaleźliśmy tę formułę, która pozwoli nam umieścić w orbicie wpływów Związku Sowieckiego szereg krajów. Ale w tym celu

musimy wytrzymać – pilnie przestrzegać ich wewnętrznego reżimu i samodzielności. – Nie będziemy dążyć do ich sowietyzacji. – Przyjdzie czas, że sami to zrobią”. Otrzymałszy po rozbiore Polski Wileńszczyznę, ZSRS łaskawie przekazał ją Litwie. Ale, jak wspominali żyjący tam przyszły premier Izraela Menachem Begin, jej obywatele „nie w pełni wierzyli szczerości zamiarów swojego dobroczyńcy. Zimą 1940 roku, w samym środku świętowania z okazji odzyskania Wilna, wielu Litwinów z uśmiechem mówiło: Vilnius musu, o Lietuva rusu (Wilno nasze, ale Litwa – Rosji)”. Wychodząc na nowe rubieże, Stalin kazał sztabowi generalnemu zacząć opracowywać plan wojny z Hitlerem. W ciągu roku – do 14 października 1940 roku – podstawowym był tzw. północny wariant, gdzie główne uderzenie miało być wykonane na Prusy Wschodnie. Rozwijano flotę, na którą w 1940 roku przeznaczono rekordowe, bo aż 20 proc., całego wojskowego budżetu. Przy czym lwia część środków szła na rozbudowę Floty Bałtyckiej.

Do krajów bałtyckich za Armiją Czerwoną weszło NKWD. Największa fala aresztowań i deportacji zaczęła się w nocy z 14 na 15 czerwca 1941 roku. [...] Choć sowiecko-niemieckie starcie poszło nie według pierwotnego planu Stalina, udało mu się zająć nie tylko południowo-wschodni, lecz także południowo-zachodni brzeg Bałtyku, zaś przed sowieckimi admirałami pojawiła się wizja oceanów. W ZSRS uruchomiono 10-letni program rozbudowy floty wojennej, mający się zakończyć w 1955 roku. Flota sowiecka z „przybrzeżnej” miała się stać oceaniczną – szczególnie dotyczyło to wzmocnienia sił nawodnych. W 1946 roku Flota Bałtycka została podzielona na dwie: Południowo-Bałtycką i Północno-Bałtycką, przy czym ich główne bazy leżały na zdobycznych ziemiach: we wschodniopruskiej Pilawie przemianowanej na Bałtjisk i w Tallinie. Obie te floty miały różne zadania. Flota Północno-Bałtycka powinna pilnować wybrzeży Finlandii i Szwecji oraz być rezerwą dla Floty Południowo-Bałtyckiej mającej zadania bojowe w Kanale La Manche i na Atlantyku. W 1953 roku pierwszy lord Admiralicji James Thomas porównał ZSRS z III Rzeszą: „Doniesienia o budowie 350 sowieckich okrętów podwodnych skłaniają Brytyjczyków do wspomnień, że admirał Donenitz, mając 300 podwodnych okrętów mógł blokować Anglię”. Do tego swoje programy rozbudowy sił morskich uruchomiły satelity sowieckie: NRD i PRL. Zgodnie ze wspomnieniami jednego z generałów polskiego sztabu generalnego, plan operacyjny Ludowego Wojska Polskiego z początku lat 50. XX wieku, będący częścią wielkiego stalinowskiego planu, zakładał marsz na Jutlandię. Dzięki śmierci Stalina kraje bałtyckie nie zamieniły się w radioaktywną chmurę, a stały się kurortem dla pokoleń poddanych Kremla. ■



Marcin Wolski

TARA I SOPLICOWO

Wydawać by się mogło, obserwując historię Polski i Stanów Zjednoczonych, że różnice w naszych dziejach przeważają nad podobieństwami. My – najbardziej osiadły lud Europy, przesuwany jedynie przez sąsiadów to na wschód, to na zachód, oni – społeczeństwo nieustannego ruchu. Tu żarliwy katolicyzm, tam surowy etos protestancki...

A jednak podobieństw nie brak, poczynając od republikanizmu, który mamy we krwi, przez całe dzieje strzegłszy swej wolności, patrząc władzy na ręce i ograniczając ją często ponad miarę.

Jednak najwięcej analogii znajdziemy, przenosząc się na amerykańskie Południe – które, ilekroć oglądałem filmy w rodzaju „Przeminęło z wiatrem”, dziś surowo zakazane przez poprawność polityczną, w zadziwiający sposób przypomina polskie Kresy. Zbliżona kultura dworów, rytm życia, ethos towarzyski. Z tym że tam niewolnicy, a tu chłopci pańszczyźniani. Nigdy nie ufałem wizjom roztaczanym przez powieściopisarki o czułych sercach, które w życiu nie widziały Murzyna (chyba że w fantasmagoriach seksualnych). Niewolnictwo było pewnym systemem, na który właściciele plantacji wpływ mieli niewielki i podejrzewam, że ekonomia nakazywała obchodzić się ze swymi pracownikami w miarę przyzwoicie – bo poza patologicznymi typami nikt nie niszczy swych narzędzi pracy. Wedle analiz porównawczych ich los był przeważnie lepszy niż chłopów pańszczyźnianych w Rosji (o łagierniakach nie wspomnę).

Ale współcześni lewacy troglodyci (według badań od 50 lat przeciętny poziom IQ ludzi rzekomo wykształconych maleje z dekady na dekadę) uważają epokę niewolnictwa za nieustanny powód do wstydu, ciągłego przeproszania i rekompensat. Ciekawe, czy kiedyś mieszkańcy Czarnej Afryki nie zażądają rekompensaty za pozostawienie ich w domu i brak życiowej szansy, jaką dostali ci sprzedani przez muzułmańskich handlarzy. Przeproszanie może mieć sens, dopó-

ki istnieją bezpośredni sprawcy, potem to paranoja, bo na tej zasadzie powinniśmy wymagać od Mongołów przeproszania za Czyngis-chana, a jak sięgnąć głębiej, okaże się, że nasi przodkowie byli ludożercami. I co z tego? Historia to przeszłość, po prostu była, z jednych rzeczy możemy być bardziej dumni, z innych nie. Czy posiadanie niewolników dyskryminuje Washingtona czy Jeffersona jako twórców amerykańskiego państwa? Można obalać pomniki Kolumba, ale nie da się cofnąć skutków jego działań, bo wtedy wszyscy, łącznie z lewakami z antify, mu-

PRZESZŁOŚĆ, NAWET TA, KTÓRA SIĘ NIE
PODOBA, JEST ELEMENTEM NARODOWEGO
DZIEDZICTWA; PANOWIE I NIEWOLNICY,
KWAKRZY I ABOLICJONIŚCI, WOZY JADĄCE
NA ZACHÓD I WOJNA SECESYJNA – TEGO NIE
DA SIĘ WYMAZAĆ. CHOĆ WIELU PRÓBUJE.

sieliby wrócić do Europy, a Czarni do Afryki. Przeszłość, nawet ta, która się nie podoba, jest elementem narodowego dziedzictwa; panowie i niewolnicy, kwakrzy i abolicjoniści, wozy jadące na zachód i wojna secesyjna – tego nie da się wymazać. Choć wielu próbuje. Nasza wschodnioeuropejska przewaga polega na tym, że wiemy, jak się to kończy, przeżyliśmy indoktrynację komunistyczną, próby amputacji naszej historii i zastępowania dawnych bohaterów podróbkami. Bez legendy takich legend jak Tara – odpowiednik naszych Sienkiewiczowskich Rozłogów czy Adamowego Soplicowa – Ameryka stałaby się krajem jednorazowych naczyń z plastiku i hamburgerów. I to tylko tak długo, póki używania tych pierwszych nie zakazą ekolodzy, a spożywania drugich – obrońcy praw zwierząt. ■



Tomasz Sakiewicz

Wyborca postkomunistyczny i wyborca demokratyczny

Polska demokracja coraz bardziej przypomina demokracje zachodnie. Nie tylko dlatego, że od 30 lat odbywają się u nas wybory, lecz przede wszystkim dlatego, że biorący w nich udział coraz bardziej świadomie wybierają i rozumieją skutek swoich decyzji. W czasach komunistycznych ludzie też chodzili głosować. Problem w tym, że robili to, bo musieli. Wpływu na władzę w wyborach żadnego nie mieli, wszystko było ustalane w Moskwie. W demokracji jest oczywiście odwrotnie. Wyborca nie musi głosować, a złe skutki może odczuć co najwyżej w wyniku fatalnej sytuacji państwa.

Czy wszystko zmieniło się w 1989 roku wraz z częściowo wolnymi wyborami? Zmieniło się, ale tylko na chwilę. Polacy świadomie odrzucili komunizm. Czy nie domyślali się, że mnóstwo rzeczy poukładano za ich plecami? Domyślali się. Mimo to głosowali tak, jakby byli na referendum. Kto zostanie posłem i senatorem, miało mniejsze znaczenie. Chodziło o odrzucenie sowieckiego systemu, i tak się stało. Zresztą to głosowanie faktycznie unieważniło porozumienia Okrągłego Stołu, bo Polacy po prostu nie chcieli komunistów w żadnym przebraniu.

Niestety chwilę później powiedziano wyborcom, że ich głosowanie najważniejsze nie jest. Stało się to przy okazji tzw. listy krajowej. Była to lista kandydatów ustalona przez komunistyczne władze, którzy mogli zostać wybrani przy odpowiednio dużej ilości głosów. Polacy świadomie ich skreślili. Mimo to niewybrani w wyborach, zostali posłami. Jaruzelski został prezydentem dzięki tym głosom i paru posłom z listy „Solidarności”. Stało się to wbrew woli wyborców i przyniosło skutki na lata – niska frekwencja w wyborach parlamentarnych. Przyczyn było więcej, ale tamtą lekcję Polacy zapamiętali. Do niszczenia początków polskiej demokracji ostatecznie przyłożył rękę Lech Wałęsa, który wytoczył wojnę własnym wyborcom. W pewnym sensie oni go ukarali, nie wybierając go na drugą kadencję, ale zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego po sukcesie postkomunistów w 1993 roku było swoistą kpiną z historii. Zamieszanie, jakie powstało w głowach ludzi, do dziś skutkuje fatalnym wyobrażeniem demokracji. Nie byłoby oczywiście tego wszystkiego, gdyby nie dominacja w la-

tach 90. „Gazety Wyborczej”, która robiła, co mogła, by Polacy kompletnie nic nie rozumieli z tego, co się dzieje. Pocucie alienacji od wybieranych przedstawicieli władzy powodowało, że albo głosowano na to, co „wypada”, albo nie głosowano wcale. Raz po raz popularność zyskiwali tzw. kandydaci antyestablishmentowi. Już w wyborach prezydenckich 1990 roku objawił się niejaki Stanisław Tymirski, który zasłynął tym, że wyprzedził w pierwszej turze urzędującego premiera Tadeusza Mazowieckiego. Widać było wyraźnie, że za tym projektem stała pewna grupa ludzi służb specjalnych. Sukces Tymirskiego powtarzali potem inni antyestablishmentowi „trybuni ludu”. Elity III RP bojąc się realnego buntu, same zaczęły takich „produkować”. Kolejnym przykładem takiej operacji była Samoobrona z Andrzejem Lepperem na czele, w jakiejś mierze wsparta przez Lecha Wałęsę, a osobiście Mieczysława Wachowskiego. Produkty lat 90. to Paweł Kukiz, a dzisiaj Szymon Hołownia. Wszyscy startowali pod hasłami walki z partyjniactwem po to, by zagospodarować dla elit III RP elektorat zbuntowany. Oczywiście niektórzy z nich, jak Lepper czy Kukiz, potrafili zaskoczyć swoich prawdziwych twórców i poprzeć kogoś, kogo mieli nie popierać. Wszystko to było efektem potwornego zmieszania w głowach wyborców, kiedy wielu z nich po prostu wybierało wbrew swoim interesom: bo tak „wypada” albo na tamtych „nie wypada”. Brak świadomości konsekwencji swojego głosu jest cechą wynikającą z komunizmu i wielu lat systemu postkomunistycznego. Wyborca ukształtowany demokratycznie głosuje zgodnie ze swoimi poglądami i interesem, nie przejmując się tym, co powiedzą inni. ■

NAJLEPSZE FILMY, BAJKI I SPORT!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!



Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Bundesliga w ELEVEN SPORTS. Fot. DFL/Bundesliga/Getty Images.